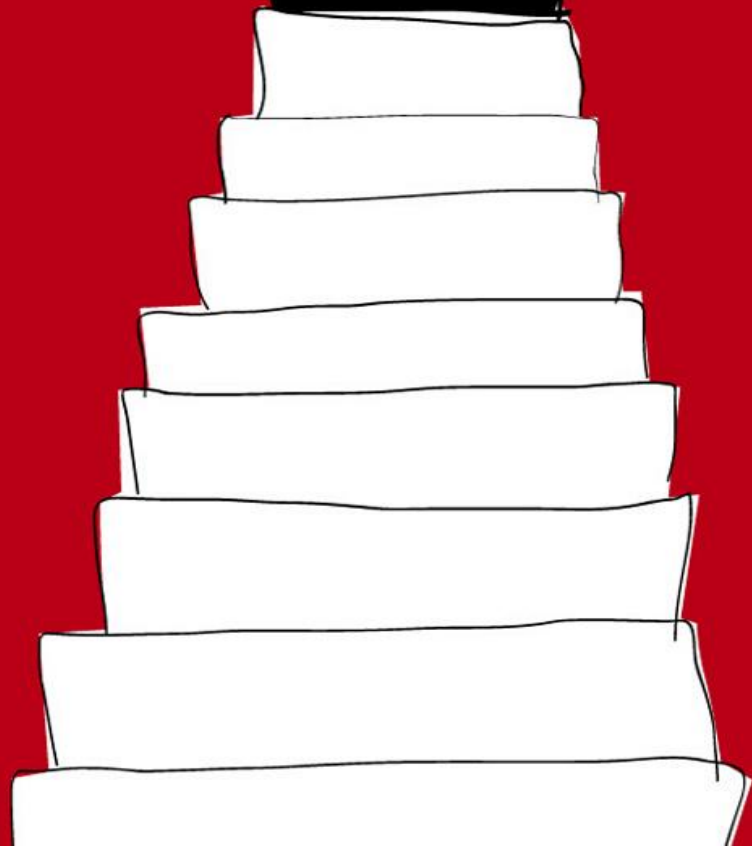


Number

10



S u e T o w n s e n d

The logo for RMF, consisting of the letters 'RMF' in a bold, blue, sans-serif font, set against a yellow, rounded rectangular background.

poleca

Edward Clare jest premierem  
Wraz z żoną i trojgiem dzieci mieszka  
przy Downing Street 10.

Jack Spratt wychował się w ubogiej  
dzielnicy w Leicester, również w domu  
pod numerem dziesięć.

Mimo protestów rodziny, utrzymującej  
się z drobnych przestępstw, został  
policjantem, ochroniarzem premiera.  
Kiedy Edward zauważa, że kompletnie  
utracił kontakt z codziennym życiem  
obywateli, postanawia – wraz z Jackiem  
– udać się w objazd po kraju.

I tak niesforna Edwina (premier  
podróżuje bowiem w damskim  
przebraniu) i pedantyczny oficer  
w cywilu ruszają przez pogrążoną  
w chaosie Wielką Brytanię w podróż,  
która całkowicie ich odmieni.

ISBN 83-7414-113-1



9 788374 141130

cena 29,90 zł

Sue Townsend

Numer

10

przełożyła Dorota Dziewońska

**w  
ak**

Tytuł oryginału: *Number Ten*

Copyright © 2002 by Sue Townsend

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo WAB., 2005

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Wydanie I Warszawa 2005

Książki oraz bezpłatny katalog

Wydawnictwa W.A.B, można zamówić pod adresem:

02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

e-mail: [wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Redakcja: Filip Modrzejewski

Korekta: Joanna Młodzińska, Maria Przysiecka

Redakcja techniczna: Alek Radomski

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Lenartowicz

Fotografia autorki: © Niall McDiarmid

Wydawnictwo W.A.B.

02-502 Warszawa, Łowicka 31

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca S.A., Kraków

ISBN 83-7414-113-1

*Colinowi, w dowód miłości i wdzięczności*

Jack Sprat chudo jadł  
Jego żona wygłodzona  
Siedli do stołu  
I wnet pospołu  
Wylizali gar do cna<sup>1</sup>

John Clarke, *Paremiologia angielsko-lacińska*  
z 1639 roku

# Prolog

Edward Clare czyścił zęby w ogromnej łazience przy Ann Street 5 w Edynburgu. Odliczał w myślach ruchy szczoteczki, tak jak uczyła go mama - nie mogło ich być mniej niż dwieście. Już prawie skończył, kiedy przypomniało mu się, że wieczorem doszedł tylko do stu pięćdziesięciu, bo tak mu się spieszyło do książki (autorstwa Blyton, tej o Wielkiej Piątce i złym latarniku), przerwanej w najciekawszym momencie.

Kiedy wreszcie oduczył tyle machnięć, ile trzeba, odszedł od umywalki i rozłożonej pod nią miękkiej maty i zaczął dreptać boso po zimnej wykładzinie, nie przerywając szczotkowania, tak by wykonać jeszcze pięćdziesiąt ruchów. Wiedział, że Pan Bóg spogląda na niego z góry i będzie zadowolony, widząc, jak Edward Clare nadrabia zaległości.

Wyplukał usta z pasty i przetarł umywalkę szmatką, którą mama zawsze wieszała obok. Podeszedł do sedesu i ostrożnie podniósł mahoniową deskę. Opuścił spodnie od pizamy, oderwał kawałek papieru toaletowego z dozownika na ścianie i starannie owinał nim swojego małego różowego siusiaka.

Sikał jeszcze, kiedy na dole zadzwonił telefon. Dzwonił i dzwonił. Mama nie mogła odebrać, bo była w szpitalu, ale gdzie tata?

Wreszcie usłyszał trzaśnięcie drzwiami, a potem kroki ojca w holu, i dzwonek umilkł. Słyszał, jak ojciec huczy do słuchawki:

- Percy Clare. Słucham!

Edward strząsnął ostatnie krople moczu do muszli klozetowej, odwinął członek z papieru i podciągnął spodnie. Dwa razy energicznie szarpnął za łańcuch spłuczki i jeszcze chwilę przyglądał się, jak papier wiruje w muszli i znika w jej czeluściach. Kiedy woda w sedesie już się uspokoiła, opuścił deskę. Wtedy usłyszał trzask drzwi do ogrodu. Szybko umył ręce i podszedł do okna w swoim pokoju, żeby wyjrzeć. Zobaczył odwróconego tyłem ojca, idącego kamienną ścieżką. Widział jego ramiona podrygujące tak, jak zwykle podczas śmiechu. Chłopiec uśmiechnął się, próbując przewidzieć kawał czy zabawną anegdotę, którą tata opowie mu przy śniadaniu.

Już siedem tygodni i trzy dni - od urodzenia Pameli, siostry Edwarda - mama była w szpitalu. Cały ten czas codziennie rano tata przy śniadaniu nie zajmował się, jak dawniej, czytaniem „Morning Star” czy jakichś listów, ale rozmawiał z Edwardem.

Na przykład wczoraj zapytał, czy Edward „chciałby uczyć się na czymś grać”. Chłopiec był tak pochłonięty myślą o tym, żeby zdążyć zjeść płatki, zanim nasiąkną mlekiem i staną się ohydne, że odpowiedział bez zastanowienia:

- Aha - i wymienił pierwszy instrument, jaki mu przyszedł do głowy: - Na gitarze.

Ojciec roześmiał się.

- Na gitarze! Zdaje się, że mamie chodziło o coś bardziej... chyba myślała, że przyłączysz się do tej jej grupy, no wiesz, do kwartetu smyczkowego.

Edwardowi od razu przypomnieli się ci wszyscy panowie i panie, z którymi mama spotyka się w czwartki. Ależ są nieciekawi! Zdejmują w przedpokoju płaszcze i kapelusze i zostają w grubych ubraniach i ciężkich butach. Mają dobrotliwe, pospolite twarze. Wyglądają na takich szczęśliwych, kiedy grają na swoich instrumentach.



Edward przyglądał się ojcu, który usiadł na oślizgłej, omszałej ławce w ogrodzie. Od dawna nikt tam nie siadał. Z początku chłopiec myślał, że tata wciąż się śmieje, bo widać było jego wykrzywione w dziwnym grymasie usta. Edward uśmiechnął się na ten widok. Ostatnio, odkąd mama poszła do szpitala, tatuś był ciągle przygnębiony. Może ten telefon przed chwilą był od lekarki z czarnymi wąsami i uszminkowanymi na czerwono ustami. Może mama wraca do domu.

Edward poczuł ulgę, że jego modlitwy zostały wysłuchane. Spojrzał na wiszący nad łóżkiem obrazek Pana Jezusa w jaskrawych kolorach. Pod lewą pachą Jezus trzyma baranka, a w prawej ręce ścisną kij pasterski. Wokół jego bosych stóp stoi potulnie stado owiec. Tata Edwarda czasami stroił sobie żarty:

- Eddy, ten twój Jezus wygląda jak Erol Flynn w damskim przebraniu.

Ale mamie obrazek na pewno się podobał, bo co tydzień czyściła szybko do połysku różowym windowlene.

Edward spróbował otworzyć okno. W końcu z trudem udało mu się podnieść ramę na tyle, żeby móc wysunąć głowę. Poczł stęchły zapach jesiennego powietrza i nagle usłyszał tak straszliwy jęk dobiegający z ust ojca, że aż go ścisnęło w dołku ze strachu. Tata zawodził jak te kobiety z obcych krajów, pokazywane w wiadomościach.

Wsunął głowę z powrotem do sypialni i przykucnął pod oknem, tułąc się plecami do ściany. Może tata go nie widział. Ręka jakoś sama powędrowała do spodni od piżamy i chwyciła za mały członek. Mama surowo zabraniała mu dotykać się w tych okolicach, ale on już wiedział, że od tej chwili mama o niczym się nie dowie.

Tego dnia nie poszedł do szkoły. Siedział cicho w swoim pokoju i przeczytał dwa rozdziały książki.

Do domu zaczęli się schodzić różni ludzie. Muzycy, przyjaciele taty, komuniści, sąsiedzi, członkowie zgromadzenia kościoła anglikańskiego,

w którym Heather grywała na organach na ślubach, chrztach i pogrzebach.

Nikt nie powiedział Edwardowi wprost, że mama nie żyje. Zapłakani krewni przytulali go i szlochali mu nad głową.

Ulubiona ciocia, Jean, westchnęła:

- Oj, Eddy, co my bez niej zrobimy!

Każdy myślał, że ktoś inny już go poinformował, i w rezultacie nikt nigdy tego nie zrobił. W ciągu kilku dni poprzedzających pogrzeb Edward zachowywał się jak wytrawny szpieg. Podслуchiwał pod drzwiami, czytał każdy skrawek papieru.

Dokładnie w chwili, kiedy ogień obracał w proch ciało jego matki, on był zajęty odłupywaniem skamieniałości od skały w Bamburgh, gdzie był na szkolnej wycieczce. Dorośli uznali, że obecność na pogrzebie byłaby zbyt ciężkim przeżyciem dla tak małego chłopca. Słyszał, jak ciocia Jean mówiła do ojca:

- Percy, on nie może iść. Wiesz, jak mocno był związany z matką. To było wręcz nienaturalne.

Z tej samej rozmowy wywnioskował, że Pamela - jego siostra, której jeszcze nie widział - ma zostać zabrana do kraju o nazwie Anglia, i mieszkać tam z ciocią Jean i wujkiem Ernestem.

Dokładnie o godzinie 11:00 w dniu 1 października 1959 roku Edward Clare przestał obłupywać skalną ścianę i wyjął z kieszeni kartkę z napisem: „Nabożeństwo żałobne Heather Mary Clare”.

Wyobraził sobie mamę w trumnie. Co ma na sobie? Czy ktoś ją uczesał? Czy naprawdę nie żyje? A co, jeśli lekarka z czerwoną szminką i czarnymi wąsami się pomyliła i mama nie umarła, tylko śpi? Czy tata nie mówił kiedyś jednemu ze swoich przyjaciół-komunistów, że ta lekarka przynosi wstyd całej pieprzonej służbie zdrowia?

Ściskając kurczowo kartkę z modlitwą żalobną, Edward ukląkł na piasku. Skalne odłamki wżerały mu się w gołe kolana, lecz nie zważał na ból. Próbował modlić się do Pana Jezusa, ale nie mógł od siebie odegnąć wizji mamy budzącej się w trumnie i krzyczącej do niego, żeby ją uwolnił. A co on mógł zrobić? Był ponad sto mil od niej. Gdyby nawet w tej chwili złapał pociąg pospieszny, i tak by się spóźnił.

Pan Little, nauczyciel przyrody, krzyknął:

- Clare, pospiesz się. Mamy tylko pół godziny do przypływu.

Inni chłopcy podnieśli głowy, zadowoleni, że surowy pan Little upomniał nie ich, ale Edwarda Clare'a, tego dziwnego chłopca, który czasami płacze w szkole bez powodu.

Po raz pierwszy Jack Sprat zdał sobie sprawę, że jest biedny, brudny, obdarty i z gorszej rodziny, kiedy matka wysłała go do sąsiadów, żeby pożyczył rondel. Miał wtedy sześć lat i na śnieg włożył tenisówki. Na ciepłe buty właśnie przyszła kolej Stuarta, jego brata. Stuart został posłany do sklepu z zapisaną na kartce prośbą o kredyt, biały chleb krojony, dwie puszki fasoli i dziesięć papierosów Woodbine.

Jack spoglądał na czerwony dywan i czuł ciepło kaloryfera umocowanego na ścianie blisko drzwi. Widział kuchnię na końcu korytarza. Na kuchence stały cztery rondle. Spod pokrywek wydobywała się para, a od zapachu potraw chłopcu aż ślina napłynęła do ust.

Wtedy pojawiła się mama Grahama i powiedziała:

- Jack, a gdzie masz kurtkę?!

- Nie wiem - odparł.

- Przecież nie możesz chodzić w krótkich rękawkach w taką pogodę! Mama wie, że wyszedłeś?

Powiedział, że mama przysłała go z prośbą, czy pani może nam pozyczyć rondel, bo nasz się spalił, „jak mama zasnęła i przypaliła ziemniaki”.

Pani Worth najpierw chwilę wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, a potem zapytała:

- To macie tylko jeden garnek?
- Tak - odpowiedział Jack.

Graham Worth spojrział na matkę i zachichotał. Ten cudowny zapach dochodzący z kuchni niczym jakaś fatamorgana migotał brązowo w powietrzu między nimi.

- Zamknij drzwi i chodź - powiedziała ponaglająco pani Worth.

Jack zamknął drzwi i ruszył za nią w głąb korytarza. Graham Worth wszedł do swojego pokoju, położył się na brzuchu na niebieskim puchatym dywanie przed gazowym kominkiem i wrócił do oglądania programu *Blue Peter*<sup>2</sup>. Obok kominka stał kosz na śmieci, z którego zwisała skórka pomarańczy. Jack widział przez otwarte drzwi, jak Graham wyciąga rękę i jak po chwili trzyma w niej pomarańczę, której obieranie widocznie przerwał mu dzwonek do drzwi.

Matka Grahama, pochylona, grzebała z hałasem w kredensie pełnym metalowych rzeczy. W końcu się wyprostowała i chłopiec ujrzał w jej rękach rondel i pokrywkę. Przetarła środek rondla szmatką w białoczerwona kratkę, nałożyła przykrywkę i całość wręczyła Jackowi.

- Powinieneś nosić kurtkę - powiedziała surowo.
- Stuart ją ma - odpowiedział chłopiec charakterystycznym niskim głosem.

Kobieta spoglądała za Jackiem, który szedł jej zadbaną ścieżką, zamiecioną ze śniegu, potem w poprzek zamarzniętych śladów opon na jezdni i dalej w kierunku własnego domu pod numerem 10. Stare zabawki, śmieci i zużyte opony, które zwykle zagracwały ogródek przed

domem Spratów, teraz litościwie przykrywał biały puch. Chociaż raz ich dom wyglądał na równie porządy i godny szacunku, jak inne na ulicy.

# 1.

Był trzydziesty marca. Posterunkowy Jack Sprat stał przed drzwiami domu przy Downing Street 10 i rozmawiał z premierem, czując pod kamizelką kuloodporną spływające po plecach strużki potu. Między rzadkimi włosami premiera przeblyskiwały promienie słońca. Szef rządu właśnie wrócił z ambasady Angoli.

- Co u matki, Jack?

- Dziękuję, powoli dochodzi do siebie. Jadę dzisiaj do niej do Leicester.

- No tak, napady uliczne to poważny problem - powiedział premier.

Jack skinął potakująco i od razu przypomniała mu się pokryta siniakami twarz matki. Jej sińce wyglądały jak groźne burzowe chmury.

Premier ścisnął Jacka za ramię i wyszeptał:

- Powiedz jej, że będę się za nią modlił. Bóg słucha naszych modlitw.

Jacka to wcale nie pocieszyło. Patrzył, jak premier uśmiecha się nieśmiało do kamer, a potem rozpina marynarkę granatowego garnituru i macha w stronę fotografów. Wreszcie niewidoczna dłoń otworzyła drzwi i szef rządu zniknął we wnętrzu domu.

Wtedy Jack odezwał się do maleńkiego mikrofonu w klapie - potwierdził, że mieszkaniec Downing Street 10 bezpiecznie dotarł na miejsce. Jack wątpił, by modlitwy premiera miały dla matki

jakiegokolwiek znaczenie. Była zagorzałą ateistką. Przestała wierzyć w Boga, kiedy brat Jacka, Stuart, zmarł w obskurnym pokoju w Bristolu, po wstrzyknięciu sobie zanieczyszczonej heroiny.

Głos w słuchawce poinformował go, że do numeru 10 zbliża się Amelia Badstock z grupą nastolatków, którzy chcą złożyć petycję w sprawie sprzętu sportowego dla młodzieży z Newtown Linford.

Mruknął tylko: „Dobra”, i przygotował się na przyjęcie pierwszej z pięciu planowanych na ten dzień petycji. To był zwyczajny dzień na Downing Street. Lśniące czarne drzwi otwierały się i zamykały setki razy, wpuszczając ludzi biznesu, kwiaciarzy, dyktatorów, szejka, grupę emerytów, urzędników, manikiurzystkę, speców od propagandy, nianię Poppy - Su Lo - ministrów, sekretarzy i agentów ochrony z MI5, udających monterów telefonicznych.

Turyści byli tak przyzwyyczajeni do widoku policjanta przed drzwiami, że chyba zapominali, iż pod mundurem i hełmem kryje się żywa istota, która słyszy i myśli. Jack mimowolnie wylapywał urywki rozmów i skrzętnie magazynował je w zakamarkach pamięci.

Wewnątrz szef rządu rozmawiał o pomocy dla Afryki ze swoim najbliższym współpracownikiem i zarazem przyjacielem - rzecznikiem prasowym rządu, Alexandrem McPhersonem.

McPherson bardzo wcześnie zyskał złą sławę. Był najmłodszy z sześciorga dzieci, z których wszystkie pozostałe były dziewczętami. W dzieciństwie starsze siostry tak go hołubiły i rozpieszczały, że gdy tylko coś nie układało się po jego myśli, wpadał w szał i odstawiał sceny złości na głównej ulicy przedmieścia, na którym mieszkali.

Pierwszą rzeczą, jaką zapamiętał z dzieciństwa, była zabawa na podwórku, kiedy siostry woziły go w wózku dla lalek, kłócąc się przy tym, czyja teraz kolej. Skupianie na sobie kobiecej uwagi uważał za jak

najbardziej naturalne, i w wieku trzynastu lat przestał być prawiczkim. Jego siostry gustowały w powieściach z silnymi bohaterkami - *Wichrowe wzgórza*, *Po prostu Katy*, *Lolita* - i takie czytywały mu na dobranoc.

Po skończeniu Balliol College w Oxfordzie zaczął pracować dla pisma erotycznego „Fetish” jako redaktor kolumny z listami od czytelników. Z Kraft-Ebingiem pod ręką pisał prostackie odpowiedzi na najczęściej smutne, a niekiedy pyszałkowe listy.

Swego czasu krążyła nawet złośliwa plotka, że McPherson i Edward Clare poznali się za pośrednictwem właśnie takiego listu, ale naprawdę spotkali się po raz pierwszy w Cambridge, kiedy McPherson zabrał kilka swoich dziewczyn na koncert amatorskiej grupy rockowej Vile Insinuations. Przyszły premier, z włosami do ramion, grał na gitarze basowej. McPherson wyszedł jednak zniesmaczony, ciągnąc za sobą swoje panny, kiedy Clare zapowiedział kolejny numer słowami: „Mam nadzieję, że ten kawałek się wam spodoba. Nazywa się *Taniec wokół Krzyża* i powstał z inspiracji Wszzechmocnego”.

Ich ścieżki skrzyżowały się ponownie na przyjęciu w Izbie Gmin - zostali na nie zaproszeni wydawcy, po których spodziewano się finansowego wsparcia Partii Pracy. McPherson wysupłał pięćdziesiąt funtów i powiedział Edwardowi Clare'owi, wówczas jeszcze w opozycji, co trzeba zrobić, żeby laburzyści wygrali wybory.

- Musisz wszystko sprowadzać do średniej, robić uniki, uchylać się, dostosowywać do wszystkich i jednocześnie podobać się kobietom, a jeżeli nie pokażą cię w prasie, jak kopniakami katrupisz psa albo robisz coś w tym stylu, będziesz się miło uśmiechał i nie zapominał o dobrych manierach, a do tego zrobisz ze mnie rzecznika prasowego, wygraną masz w kieszeni.

Teraz obaj znajdowali się w prywatnym salonie domu nr 10. Na ławie leżał gimnazjalny podręcznik geografii.



- Możemy uratować Afrykę, Alex - głos premiera drżał z podniecenia.

Alexander uniósł swoją zwalistą postać z podłokietnika kanapy, na którym wcześniej przysiadł, i zaczął się snuć po pokoju.

- Afrykę? Oczywiście żartujesz?

Nie było to pytanie retoryczne. Afryka w oczach Alexandra to miejsce w ogóle nie dla białych, a chęć „pomocy” Afryce uważał za oznakę poważnego zaburzenia umysłowego. Nikt i nic nie może uratować Afryki poza samymi Afrykańczykami.

- Powiem ci coś, Ed. To chyba niezbyt dobry pomysł, żeby teraz rozmawiać o Afryce, skoro jeszcze nie udało się nam sprawić, żeby nasze pociągi jeździły punktualnie.

Edward jednak był na to przygotowany.

- Afryka to ciemna plama na sumieniu świata. Ktoś musi wskazać ludziom drogę z ciemności upadających gospodarek do poczucia odpowiedzialności społecznej.

Alex odrzekł niecierpliwie:

- Ed, najpierw musimy załatwić sprawę polowań na lisy. Potem będziemy mogli się wpięprzać w sprawy Afryki.

Edward powiedział cicho:

- Uważaj trochę na słowa. Adele jest w pokoju obok. Karmi Poppy.

Alex odparł:

- Przepraszam, jeśli to zabrzmiało złośliwie, ale czy to nie Adele napisała książkę pt. *Dupki w historii?*

Edward przez moment mimowolnie się uśmiechnął, po czym powiedział:

- To była poważna praca naukowa. Nawet Henry Kissinger powiedział mi, że trzyma ją na szafce przy łóżku.

Adele krzyknęła z sąsiedniego pokoju:

- I była na szczycie listy bestsellerów „New York Times'a” przez dwanaście tygodni!

- No dobra - skwitował Alexander - ustalmy kilka rzeczy, Ed. Ten tydzień mamy przechlapany. Sześć raportów, wzrost przestępczości, do tego według Rowntree Trust w każdej chwili pięć na dziesięć osób jest pod wpływem gorzały albo narkotyków. Aha, i pracownicy kostnic będą strajkować w poniedziałek, jeśli nie przyzna się im dziesięcioprocentowej podwyżki i trzydziestopięciogodzinnego tygodnia pracy.

- W Afryce co dziesięć sekund umiera małe dziecko na jakąś chorobę przenoszoną przez wodę - nie dawał za wygraną Edward.

- No dobra. Już mi serce krwawi, ale jak się nie dogadamy z tymi z kostnic, będziemy mieli niezły pasztet z truposzami, a zbliżają się upały, przynajmniej według prognoz w telewizji. Czy w związku z tym uda mi się zwrócić twoją uwagę na *nasz*, nie mniej czarny kontynent?

W pokoju rozniósł się silny zapach Eau Sauvage i zebrani zauważyli, że wszedł David Samuelson. Wyjątkowo ciężką miał rano rękę w kontakcie z rozpylaczem buteleczki, a zabrakło mu czasu, żeby zmienić koszulę i marynarkę, które zdążyły już porządnie przesiąknąć tym zapachem.

Samuelson był w środowisku laburzystów ważną figurą. Jego dziad, Hector Samuelson, zorganizował pierwszą Wystawę Domu Idealnego w Earl's Court, która pobiła wszelkie rekordy popularności - liczba zwiedzających wynosiła średnio trzysta tysięcy dziennie.

Wystawa ta, z rewolucyjnymi żelazkami na parę, nieprzywierającymi patelniami i meblami w kosmicznym stylu, rozbudziła w Brytyjczykach chęć nabywania dóbr konsumpcyjnych, i tym samym zapoczątkowała boom produkcyjny.

Wnuk Hectora Samuelsona, David, został opisany przez swojego rówieśnika z Oxfordu jako „szatańsko bystry”, a inny mu współczesny,

któremu David winien był sporą sumkę, nie przebierając w słowach, nazwał go po prostu „szatanem”.

Powszechnie znane były jego homoseksualizm i szczególna słabość do portugalskich kelnerów. Aby mieć wielu z nich w pobliżu, Samuelson zamieszkał w dużym, zdobionym sztukaterią domu w Landbroke Grove. Prasa pokazywała go czasami w towarzystwie któregoś z zaprzyjaźnionych kelnerów, ale jak długo można w ten sposób podsycać zainteresowanie opinii publicznej? - w końcu wszyscy przystojni portugalscy młodziani w kelnerskich strojach wyglądają prawie tak samo.

Główną przywarą Samuelsona było umiłowanie pieniędzy i luksusu. Kiedy dorastał, często odwiedzał kopalnie i fabryki w regionach uprzemysłowionych na północy, które jego ojciec i dziadek reprezentowali w Parlamencie z ramienia Partii Pracy. Już jako mały chłopiec nie znosił wszystkiego, co kojarzyło się ze stylem życia robotników, jak też robotniczych oddechów i ciasnych pomieszczeń. Ciasno było nawet w ich miskach, do których tak upychali jedzenie, że aż przelewało się przez brzegi.

W liceum interesował się historią i wykazywał się dojrzałą, współczującą postawą, zgodną z ideologią brytyjskich laburzystów. Bywało, że wruszał się do łez, czytając archiwalne opisy zabiedzonych, głodnych dzieci pracujących w fabryce - jak po pracy zasypiały w drodze, wędrując boso do swoich ciasnych nor.

O wiele bardziej wolał klasę robotniczą z czytanek niż z prawdziwego życia, która wywoływała w nim taką odrazę, że aż się wzdragał, słysząc na ulicy podniesione twarde głosy robotników. Nie nienawidził ich jako całej grupy - niektórzy nawet przychodzili na jego imprezy - ale marzył o czasach, kiedy w każdym kredensie będzie tarka do sera Parmeggiano.

Samuelson powiedział z typowym dla siebie patosem w głosie:

- Eddy, *muszę* z tobą porozmawiać.
- Ale właśnie mamy naradę - zaproponował Alexander.

Edward spojrział na Davida, a ten powiedział:

- Chyba powinniście tego posłuchać. To naprawdę ważne. Przejrzałem wyniki badań prowadzonych w grupach dyskusyjnych. Nie spałem całą noc, ale nie o to chodzi - wtrącił tonem męczennika - czas całkowicie zmienić wizerunek partii, i to raz a dobrze, poczynając od nazwy. Przeprowadziłem mały sondaż i myślę, że to jest odpowiedni moment.

Edward i Alexander siedzieli bez ruchu całe dwie minuty i nie przerywali, kiedy David kreślił przed nimi swoje plany.

- Wyrzucamy z nazwy słowo „Labour”. „Labour”, czyli praca, trud, wysiłek, ma same negatywne skojarzenia - z potem, ciężką pracą, związkami zawodowymi oraz z długim, bolesnym porodem. No, sami pomyślcie: obecnie większość z nas przy pracy nie roni ani kropli potu, a nawet najbardziej oddane matki zamawiają sobie cesarkę, na przykład Adele.

- Jeśli wyrzucimy „Labour” z nazwy „New Labour”, zostanie nam tylko „New”. Przykro mi, ale taka nazwa jakoś nie rozpala we mnie namiętności - sucho stwierdził Alexander.

Edward zapytał:

- David, masz jakieś propozycje?

David przejechał dłonią po włosach, zgarniając je z czoła długimi bladymi palcami.

- Nie, na razie tylko przedstawiłem problem. Chciałem twojego przyzwolenia, zanim zajmę się rozwiązaniem.

- Proponuję zostawić „New” - powiedział Edward.

- Jak możemy zostawić „New”? „New” było nowe w 1997. Teraz jest już stare jak diabli - zaprotestował Alexander.

- No to zabierz się do szukania rozwiązania, David. Inaczej zostaniemy z niczym. Dosłownie - Edward opuścił wzrok na raport służb bezpieczeństwa w sprawie posła Boba Marshalla Andrewsa, będącego honorowym członkiem palestry. Raport leżał na biurku i czekał na podpis. mEdward jednak nic nie widział. Jego partia nie ma nazwy! Miał wrażenie, że i on powoli przestaje istnieć. Przeprósł zebranych i wszedł do swojej prywatnej łazienki. Zamknął za sobą drzwi, usiadł na brzegu wanny i urwał dwa płatki papieru toaletowego Bronco z rolki, którą trzymał w szafce pod umywalką. Z wprawą owinął papier wokół swojego penisa. Chwilę siedział nieruchomo, po czym spuścił papier w toalecie, umył ręce i uśmiechnął się do wypukłego lustra, które porządnie powiększało mu twarz i upewniało go, że wciąż istnieje.

Wrócił do salonu, gdzie Alex i David omawiali właśnie ustawę o polowaniach na lisy. David rozważał możliwość zastosowania hologramów przedstawiających lisy. Byłyby one wysyłane z satelitów kosmicznych do wszystkich hrabstw Wielkiej Brytanii, w których odbywają się polowania. Alexander mówił:

- Jak dla mnie, mogą ukrzyżować te futrzane rudzielce. Mam po dziurki w nosie całej tej pieprzonej sprawy.

Kiedy został sam, Edward usiadł przy biurku i podpisał dokument zezwalający służbom bezpieczeństwa na założenie podsłuchu w domu, samochodzie i gabinecie posła Boba Marshalla Andrewsa.

Weszła Adele.

- Ed, zostań na chwilę i bądź miły dla tej dziennikarki. Uśmiechnij się do niej i pogłaszcz mnie przy niej po głowie. Nazywa się Suzanne Nicholson, jest z redakcji „Joy”. To nowe pismo i będę tam na okładce.

Nos Adele był przeogromny. Jej ojciec, Guy Floret, kiedy zobaczył ją zaraz po urodzeniu, zauważył:

- *Mon dim, ma pauvrt enfant. Elle est Pinocchio.*

Edward przytulił się do jej pachnących mlekiem piersi i powiedział chrapliwym głosem:

- Powinnaś być na rozkładówce, kochanie.

- Jest taki słodki - westchnęła Suzanne Nicholson po tym, jak premier ucałował żonę, pogładził ją po włosach i opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi bardzo dyskretnie, niemal przepaszająco.

Adele podkurczyła długie, szczupłe nogi pod siebie i napiła się herbaty rumiankowej.

- Owszem, słodki, ale nie *cukierkowy*.

Suzanne pomyślała o własnym mężu, który wyszedł o siódmej, trzasnawszy drzwiami, a wcześniej wrzasnął w stronę sypialni: „Cholerna głupia dziwka!”

Był zły, bo przyznała mu się, że zostawiła jego trzy szyty na miarę garnitury w jednej z trzystu piętnastu pralni w centrum Londynu. Numerki zniknął w tajemniczy sposób z każdej z jej wielu torebek, nie było go w żadnej kieszeni żadnego ubrania ani w samochodzie, ani w żadnej szufladzie czy szafce w domu i w pracy.

Po tygodniu uników zalała się łzami i wyznała mu tę straszliwą prawdę. Obwiniła o wszystko stres związany z przygotowaniem do wyjazdu z Adele Floret-Clare.

- To najinteligentniejsza kobieta świata - jęczała. - O co mam ją zapytać? Pożre mnie żywcem!

Suzanne patrzyła, jak Adele podnosi słuchawkę telefonu i mówi, przeciągając samogłoski:

- Wendy, kochana, poproszę o jeszcze trochę tej *pysznej* herbaty.

Suzanne szybko zanotowała: „Gigantyczny nos. Nieskazitelna cera, profesjonalny makijaż, zęby świeżo bielone, buty od Prady (sprawdzić cenę w sklepie na Bond Street). Plebejski akcent bardziej zauważalny w rozmowie przez telefon”.

Adele posyłała do telefonu krótkie dźwięki wyrażające współczucie dla najwyraźniej zmartwionej Wendy. Wreszcie spojrzała na zegarek,

powiedziała do Suzanne: „Momencik” i zdecydowanym tonem przemówiła do słuchawki:

- Amputacja to jedyne rozsądne rozwiązanie - chciała odłożyć słuchawkę, ale Wendy najwyraźniej próbowała jeszcze podtrzymać rozmowę. - Nie teraz, Wendy, jestem zajęta.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Suzanne.

- Nie wiem, dzwoni człowiek po herbatę, a tu wpada w cudzą psychodramę. Biedna Wendy, nasza gospodyni. Jej syn Barry, między nami mówiąc, niezły chuligan, zmiażdżył sobie nogę w wypadku na motorze. Teraz noga się nie goi, on się objiży w szpitalnym łóżku na bardzo drogich antybiotykach... Ale to oczywiście nie do publikacji...

Suzanne przybrała poważny wyraz twarzy.

- Oczywiście. Ma pani prawo autoryzacji.

- Nie powinnam pani mówić o biednej Wendy, ale nie potrafię nie przejmować się sprawami personelu, ich kłopotami. Przepraszam, spróbuję nie myśleć teraz o Wendy i Barrym. Proszę, pani kolej.

Suzanne zerknęła na swoją listę pytań.

- Dobrze. A więc, jak to jest zostać nazwaną przez magazyn „People” najinteligentniejszą kobietą świata?

Adele roześmiała się.

- Ależ to nie było „świata” - sprostowała, skromnie spuszczać wzrok - tylko „Europy”.

Suzanne przeszła do następnego pytania.

- Jak wygląda typowy dzień Adele Floret-Clare?

Adele znowu się zaśmiała.

- Nie ma czegoś takiego jak typowy dzień. A jako filozof powinnam powiedzieć, że nie ma w zasadzie takiej rzeczy, jak „życie” czy „dzień”. Bo cóż pani rozumie przez „życie” i „dzień”?

Suzanne poczuła, że jej skronie zaczynają pulsować.

- No dobrze. W takim razie co pani robiła wczoraj?

Adele wyglądała na zaskoczoną.

- Wczoraj, czyli w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

Suzanne miała ochotę wrzasnąć na najinteligentniejszą kobietę Europy, ale w tym momencie drzwi się otworzyły i weszła kobieta z pośpynym spojrzeniem i czerwonymi, zapuchniętymi oczami. Niosła tacę ze szklanym dzbankiem herbaty i talerzykiem, na którym w kształt wachlarza ułożone były maślane ciasteczka.

Kiedy taca została już postawiona, Adele zwróciła się do kobiety żartobliwym tonem:

- Wendy, chcesz nas wykończyć? Maślane ciasteczka? Mój Boże, tyle tłuszczu i cukru!

- Kazano mi kupić coś brytyjskiego.

- A te owsiane ciasteczka, które mieliśmy wcześniej?

- Teraz są produkowane na licencji w Polsce - odparła Wendy.

Adele zamieszała saszetki herbaty w dzbanku, spoglądając na zegarek. Zwróciła się do Wendy dość ostro:

- A jeśli chodzi o nogę Barry'ego: on będzie mógł się poruszać. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu wręczaliśmy z Edwardem nagrodę „Junior na schwał” chłopcu, któremu zabytkowa ciuchcia parowa odcięła obie nogi. Teraz gra w koszykówkę na wózku.

Suzanne popatrzyła na wychodzącą Wendy i z satysfakcją dostrzegła na jej twarzy jadowite spojrzenie wbite w plecy Adele tuż przed zamknięciem drzwi.

- No więc, wracając do pani intrygującego pytania. Budzik dzwoni o piątej trzydzieści, ale my zwykle już wtedy jesteśmy na nogach. To dla nas bardzo cenne chwile, zanim wszystko się zwali na głowę. Ale panią interesuje dzień wczorajszy... czyli wstaliśmy o piątej, Ed zrobił herbatę i rozmawialiśmy. Mamy jedną zasadę: żadnych rozmów o polityce ani o rodzinie. To była ciekawa rozmowa.



- O czym? - zapytała Suzanne, chociaż nie spodziewała się odpowiedzi.

- Ach, o transsubstancjacji.

- O transsubstancjacji? - powtórzyła Suzanne niepewnie. - Czy to ma coś wspólnego z transportem?

Adele roześmiała się.

- Widać, że nie jest pani teologiem - przechyliła się wygodniej w tył i podłożyła sobie dłonie pod głowę. - Mówiąc o transsubstancjacji, dotykamy kwestii przeistoczenia podczas Eucharystii. Czy chleb i wino podpadają pod tę samą kategorię, co Ciało Chrystusa? - mówiła z zapalem.

- Fascynujące - mruknęła Suzanne, która miała ledwie mgliste pojęcie o tym, czym w ogóle jest Eucharystia.

Adele upiła łyk herbaty i natychmiast jej twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie.

- To nie herbata rumiankowa, tylko lapsang suchong. Naprawdę, im szybciej odejmą Barry'emu tę nogę, tym lepiej dla nas wszystkich - i wróciła do zajęć poprzedniego dnia. - No więc, o szóstej, jak już Ed się pomodlił, a ja skończyłam medytację, Ed włączył *Today*, wykapał się, ja wzięłam prysznic i wtedy przyszła Wendy ze śniadaniem. Potem pora karmienia Poppy, którą jeszcze karmię piersią, dalej czesanie, manicure, wyprawianie dzieci do szkoły i dziesięć minut na przejrzenie gazet. Jeszcze uzgodniłam z Wendy jadłospis na przyjęcie dla Stowarzyszenia Żon i Dziewczyn Zawodników Manchester United, organizowane tutaj, w naszym budynku. Pojechałam na Wydział Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu, gdzie wygłosiłam wykład na temat feminizacji mężczyzny Zachodu.

Wróciłam tutaj. Napisałam osiemset słów dla „Spectatora” o przeciążeniach poczty elektronicznej, potem lunch z Camillą P.B., która obiecała, że nauczy mnie jeździć konno, kiedy w przyszłym tygodniu pojedziemy do Highgrove. I co potem? A tak, karmiłam dziecko,

kupowałam buty z Gail Rebeck, przyjechałam delegację zakonnicek z Rwandy, weszłam na górę, zjadłam kanapkę ze starszymi dziećmi - Morganem i Estelle. On będzie w tym roku zdawał egzamin końcowy, a ona właśnie zaczęła naukę w Szkole dla Dziewcząt w Camden. Potem samochodem na lekcję tenisa z Andre, powrót, prysznic, czesanie, makijaż. Wykonałam telefony, napisałam listy, wysłałam maile, znowu nakarmiłam dziecko, i nadszedł czas na przyjęcie dla kobiet Man U. Ed się pojawił - kocha piłkę nożną. Potem, a właśnie, poszłam na górę do dzieci i pomogłam Morganowi napisać pracę o *Królu Learze*. Znowu czesanie, makijaż, przebieranie się i kolacja w ambasadzie Francji z Charlotte Rampling i Eddie'em Izzardem. Uzgodniliśmy...

Suzanne, która była fanką Eddiego Izzarda, wtrąciła:

- Jaki jest Eddie?

Adele odparła:

- Miał na sobie czarne trykoty i czerwone buty, i zdawał się sam sobą zachwycony. Jakoś nie przypadł mi do gustu.

Kiedy Wendy już odprowadziła Suzanne, Adele usiadła samotnie i odtworzyła w myślach całą rozmowę. Była pewna, że nie spodobała się Suzanne. Od dzieciństwa wiedziała, że inteligencja to coś, co powinno się ukrywać. Babcia ostrzegała ją: „Nikt nie lubi przemądrzałych”. Czasami zazdrościła tym grubasom w okręgach wyborczych Eda z ich banalnymi rozmowami o niczym i trywialnymi zajęciami. Dotknęła nosa i pomyślała o jego skorygowaniu. Ed zawsze mówił, że kocha jej nos, i całował go wzdłuż i wszerz. Ale ona miała już dosyć noszenia go przed sobą niczym ostrzegawczej chorągiewki.

Jak tylko Suzanne znalazła się na zewnątrz domu nr 10, włączyła komórkę. Jack Sprat, który przyglądał się z uznaniem jej nogom, usłyszał, jak odchodząc, mówiła:

- To głupia krowa.

Uśmiechnął się do siebie, dobrze wiedział, o jaką krowę chodzi.

## 2.

Adele Floret-Clare urodziła się w Paryżu jako nieślubne dziecko angielskiej artystki z Folies Bergère, i francuskiego księgowego. Dorastała w Hoxton pod okiem babki, która wstawiała o czwartej i sprzątała biura, żeby zarobić na prywatną szkołę, bo uważała, że tam inne dziewczęta nie będą wyśmiewać się z nosa Adele. Myliła się; szkolne przezwisko jej wnuczki brzmiało: Le Nez. Adele była autorką czterech popularnonaukowych książek poświęconych filozofii. Pierwsza z nich ukazała się, gdy dziewczyna miała dziewiętnaście lat, i natychmiast stała się międzynarodowym bestsellerem. Prowokacyjny tytuł *Bóg jest lesbijką* przyciągnął zainteresowanie prasy, radia i telewizji. Wiele razy pytano Adele, czy sama jest lesbijką, a ona zawsze starała się udzielać na to pytanie dwuznacznych odpowiedzi. Prowokowała w ten sposób dziennikarzy do najróżniejszych domysłów, dzięki czemu jej zdjęcie i nazwisko pojawiało się regularnie nie tylko na stronach książek, ale też w plotkarskich kolumnach gazet.

W wieku dwudziestu jeden lat Adele była już gościnnym wykładownicą na Sorbonie, a w jej dorobku znalazły się kolejne dwie książki: *Żony filozofów* oraz *Wittgenstein: kretyn owiany legendą*.

Miała małe mieszkanko w Londynie na St Martin's Lane i pokój do dyspozycji w hotelu Rivoli w Paryżu.

Była szczęśliwa: młoda, zdrowa, elegancka, inteligentna, z sukcesami na koncie, szanowana i sławna. Niestety, nie dawały jej spokoju

głosy. Przemawiały do niej, używając paskudnych, obscenicznych słów. Chodziła do psychiatrów w Londynie i Paryżu, ale w żadnym języku nie zaznała ukojenia. Leki psychotropowe nie przynosiły efektów. Głosy bezustannie ją nagabywały i oskarżały o haniebne zbrodnie. Kiedyś podczas udzielania wywiadu Melvynowi Braggowi w programie *The South Bank Show* głosy zarzuciły jej, że jest zamieszana w zniknięcie konia wyścigowego o imieniu Shergar. Odpowiedziała im na głos: „Przecież to absurd!” Melvyn na to zaniemówił, bo jego pytanie brzmiało, czy Platon celowo wywierał wpływ na Aleksandra Wielkiego, by ten poszerzał obszar wpływów kultury helleńskiej. Jej wroga odpowiedź nie została usunięta z taśmy, bo uznano, że dobrze wypada na wizji.

Kiedy Adele Floret poznała Edwarda Clare'a, on był nowo wybranym posłem z okręgu Flitwick East. Poznali się na przyjęciu na cześć Gore'a Vidala i dla obojga było to wstrząsające przeżycie. Po kilku minutach intensywnej rozmowy o niczym - o rozprzestrzenianiu broni w państwach Zatoki Perskiej - oboje już wiedzieli, że są dla siebie stworzeni. Edward nie mógł oderwać oczu od jej wspaniałego nosa.

Kiedy Gore osobiście podszedł do nich, by zamienić kilka słów, jego wynurzenia o pewnej bogini ekranu, szefie CIA czy charcie afgańskim były im zupełnie obojętne. Zaraz po tym, jak Edward wyraził zainteresowanie chartem, znaleźli jakiś pretekst i parę chwil później odjechali czarną taksówką.

Gdy tylko taksówka skręciła za róg, rzucili się sobie w objęcia. Edward krzyknął jeszcze do taksówkarza, żeby krążył po mieście, aż każą mu przestać. Na taksówkarzu jednak ten romantyczny gest nie zrobił wrażenia - powiedział, że jedzie do Golders Green, gdzie w domu czeka na niego kolacja.

Szczęśliwy traf sprawił, że właśnie wtedy jakiś młody człowiek skoczył z wiaduktu na Edgware Road i wpadł prosto pod koła ich tak-sówki.

Adele zaimponowała zimna krew, z jaką zareagował Edward - uspokoił panikującego taksjarza, zdjął z siebie marynarkę i przykrył nią twarz zmarłego.

Edward marzył, aby ta noc się nie kończyła. Widział w Adele wspaniałą kobietę, z taką klasą, z takim opanowaniem. Dosłownie sekundy po tym, jak młodzieniec zważył się przed przednią szybę, zauważyła przez pisk hamulców:

- Ikar na Edgware Road.

Ten nieprzyjemny incydent szybko zaprowadził ich w rejony, do których dotarcie w normalnym tempie zajęłoby im miesiące.

Znali się niecałe dwie godziny, kiedy Edward wyjawiał Adele swoje ambicje polityczne. W zasadzie, zanim ją spotkał, sam nie zdawał sobie z nich sprawy. Ale trzymając ją w objęciach, czuł się jak Superman i niczym Superman był gotów ratować świat, gdy tylko nadarzy się okazja.

Kiedy raport policyjny został już spisany i krew z asfaltu zmyta, poszli do maleńkiego pied-à-terre Edwarda w Westminsterze. Adele uważnie przeglądała książki na półkach, zajmujących całe ściany od podłogi po sufit, kiedy Edward w aneksie kuchennym robił mocną kawę.

Wnosząc filizanki i spodeczki do salonu, Edward zastał ją, jak spryskiwała się między piersiami perfumami Paris od Saint Laurenta. Zupełnie nie okazała zażenowania. Zdjęła kremową jedwabną bluzkę i powiedziała:

- Jestem niezwykle podniecona. Nie wiem, czy to przez bliski kontakt z gwałtowną śmiercią, czy z tobą.

Zauważyła gitarę w kącie i zapytała go, czy umie grać. W odpowiedzi Edward wziął instrument i zagrał początkowe akordy *Brown Sugar*. Ona jakby w odruchu Pawłowa zerwała się na równe nogi i parodiując

Jaggera, zaczęła tańczyć w małym pokoiku z jedną ręką w górze. Byli dla siebie stworzeni. Przepelniała ją taka euforia, że aż zdobyła się na opowiedzenie mu o nękających ją głosach. On podał jej nazwisko kumpla z Cambridge, który był już wówczas znanym psychiatrą. Zapewnił ją, że kiedy laburzyści dojdą do władzy, kwestia zdrowia psychicznego obywateli będzie ich priorytetem.

Każde znalazło swoją drugą połowę. Adele już wiedziała, że będzie żoną przysłego premiera.

Jakiś miesiąc później razem stawili się w biurze koronera, gdzie powiedziano im, że młody samobójca nazywał się Mohammed Karzai i zabił się, ponieważ nie miał dość dobrych ocen, żeby przyjęto go na farmację na Uniwersytet w Sheffield, czego pragnęli jego rodzice.

Gdy Edward i Adele, idąc pod rękę, opuszczali budynek sądu, Adele zauważyła:

- Co za ironia losu: ten nieszczęsny nieuk, Mohammed, rzucił się do stóp akurat dwóm najwybitniejszym osobom w Wielkiej Brytanii.

Posterunkowy Jack Sprat często się zastanawiał, jak to się stało, że został przyjęty do policji. Jeżeli istniała jakaś rygorystyczna procedura sprawdzania kandydatów, to jak udało mu się przez nią przebrnąć i otrzymać funkcję, która według niego była w policji największą gratką - pilnowanie drzwi przy Downing Street 10.

Jack był czarną owcą w dużej rodzinie, w której nikt nigdy nie przyniósł do domu wideo kupionego w sklepie.

Kiedy w wieku trzynastu lat oznajmił najbliższymi, że chce zdawać egzamin gimnazjalny z ośmiu przedmiotów i w związku z tym będzie potrzebował „spokojnego miejsca na naukę”, wszystkich zamurowało. Ani jego brat, ani siostra nie wykazywali najmniejszego zainteresowania nauką. Oboje skończyli edukację najwcześniej, jak to było możliwe.

Trevor, jego ojczym, był zawodowym kryminalistą średniej klasy. Mieli już wtedy pełny zestaw garnków. Trevor rozpytywał wśród kumpi po fachu, gdzie można by wyrwać jakieś biurko, ale po kilku tygodniach bezowocnego czekania na cynk, wspaniałomyślnie zamówił z katalogu Littlewoods cały kącik do pracy, obejmujący biurko i półki na książki. Trzy tygodnie później firma Parcel Force dostarczyła meble w siedemnastu częściach wraz z kluczem do wkrętów, siedemdziesięcioma pięcioma śrubami, drewnianymi kołkami i tubą kleju Sellotaped do jednej z szuflad. Kiedy ojczym, klnąc na czym świat stoi, składał meble, serce Jacka kołatało z podniecenia tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Chłopak nie mógł się wprost doczekać, by móc ustawić książki na półkach i powkładać zeszyty do odpowiednich przegródek.

Biurko nie mieściło się w pokoju, który Jack dzielił ze swoim bratem Stuartem. Wstawiono je więc do salonu. Wymagało to niewielkiego przemeblowania. Telewizor został przestawiony z jednego kąta w inny, co łączyło się z przeniesieniem kabli i zmianą gniazdka antenowego. Trzeba było inaczej złożyć trzyczęściowy zestaw, a to oznaczało przeniesienie psiego koszyka pod stół kuchenny, gdzie już pozostał przez siedem następnych lat, aż do śmierci zwierzaka.

Za pieniądze z roznoszenia gazet Jack kupił sobie w Boots lampkę na biurko i co wieczór przy dźwiękach *Coronation Street* oraz innych programów telewizyjnych siedział nad książkami w strumieniu żółtego światła.

Raz po raz, w przerwach na reklamy, matka odwracała wzrok od telewizora, spoglądała na Jacka pochylonego nad biurkiem i mruzczała do Trevora:

- To niezdrowo dla chłopaka w tym wieku nie spać o tej porze.

Czasami, kiedy Jack był w szkole, Norma ukradkiem brała jego podręcznik, otwierała i podczytywała kilka stron, lekko poruszając wargami podczas lektury.

- Krew na dłoniach Lady Makbet jest symbolem wyrzutów sumienia, jakie odczuwa po zamordowaniu... - zamykała podręcznik z poczuciem dumy, ale też zastanawiając się, co takiego zrobiła źle. Jej pozostałe dzieci sprawiały wrażenie raczej szczęśliwych, czemu więc Jack zajmuje się krwią i morderstwami?

Pewnego razu podczas niedzielnego obiadu, siedząc przy kuchennym stole ze stopami opartymi o grzbiet psa, Jack próbował wyjaśnić rodzinie, że po zdaniu egzaminów świat stanie przed nim otworem i będzie mógł zdobyć dobrą pracę.

- Jak co, na przykład? - zapytał ojczym, zabierając się do puddingu.

Jack się zawahał. Poczuł, jak pies pod jego stopami się poruszył. Nadział kilka groszków na widelec i podniósł je do ust.

- Chciałbym zostać policjantem - wymamrotał przed przełknięciem groszku.

Najpierw zapadła cisza, a po chwili cała rodzina zanosila się śmiechem. Jego siostra, Yvonne, tak parsknęła, że aż wypluła na wpół przeżuty kawałek cielęciny w sosie miętowym.

Stuart powiedział:

- Chyba żartujesz!

Stuart dopiero co wyszedł z poprawczaka, gdzie spędził pięć miesięcy po tym, jak ochroniarze sklepowi złapali go z reklamówką pełną szamponów Head & Shoulders.

W dalszej rodzinie Jacka wszyscy byli drobnymi złodziejaskami. To był rodzinny interes. Prawie wszystko w domu i większość tego, co mieli na sobie, zostało albo ukradzione, albo kupione gdzieś na lewo za podrobione czeki. Buty Jacka, które właśnie oblizywał pies, ukradł dla



niego kochający wujek z ciężarówki zaparkowanej na parkingu przy autostradzie.

Nawet pierwsze ubranka Jacka - zestaw złożony z koszulki, pieluchy, foliowych majteczek, śpiochów, kaftanika i kocyka - pochodziły ze śmiałej kradzieży w sklepie Mothercare, której dokonała ciocia Marilyn.

Wieczorem Jack najczęściej siedział przy biurku, plecami do telewizora, i odrabiał lekcje. Od czasu do czasu, chyba wtedy, gdy śmiech publiczności w studiu przybierał na sile, odwracał się i spoglądał w ekran. Jego matka lubiła te krótkie chwile i na ogół wtedy usiłowała go namówić, żeby odłożył pióro i przysiadł się do niej na kanapę - czasem odsuwała popielniczkę i zapraszająco klepała dłonią w wolne miejsce obok siebie - ale Jack wiedział, że jeśli rzuci naukę, przepadnie z krete-sem i stanie się tak samo niedostrzegany i bez znaczenia, jak większość tych, których znał.

W piątki wieczorem do matki przychodziła ponura kobieta o imieniu Joan, żeby ułożyć jej włosy w kształt ula o kolorze platyny. Taką fryzurę mama nosiła od czasów, gdy była jeszcze nastolatką. Norma jakby nie zauważała, że na jej twarzy od tamtego czasu pojawiły się skórne osuwiska ani że niebieski cień do powiek i bladoróżowa szmin-ka nie są zbyt odpowiednie dla kobiety, której naturalne hormony daw-no już zastąpił estrogen w tabletkach. A te jej ubrania! To był dopiero koszmar!

Między innymi właśnie przez matczyne ubrania Jack został poli-cjantem. Dobrze pamiętał jeden z corocznych Dni Otwartych w szkole średniej, do której pilnie uczęszczał. Próbował odwieść matkę od pój-scia do szkoły - przekonywał, że się zanudzi w kolejkach do niecieka-nych nauczycieli - ale ona się zapała i argumentowała:

- To będzie miła odmiana usłyszeć od nich coś dobrego o jednym z moich dzieci.

Starsze latorośle Spratów przysporzyły swemu nazwisku w szkole złej sławy. W dodatku Yvonne Sprat niechętny podpałiła magazyn przy pracowni technicznej, zostawiwszy zapalonego papierosa na brzegu półki.

Jack z niepokojem przyglądał się z półpiętra, jak Norma waha się przed wypchaną po brzegi szafą.

Aż wstrzymał oddech, gdy wyciągnęła żakiet z czegoś, co udawało skórę ocelota, ale odetchnął, gdy rzuciła go na łóżko, mówiąc:

- Nie mogę go dopiąć, bo cycki mi urosły.

W końcu, po długim przymierzaniu i odkładaniu ciuchów na bok, popartym konsultacjami z siostrą Jacka, zdecydowała się na biały komplet z lateksu, złożony z mini-spódnicy oraz kurtki, której fason przypominał kurtkę lotniczą. Tym sposobem spełniły się najgorsze przecucia Jacka.

Wyszli z domu razem, ale Jack wkrótce przyspieszył kroku. Z początku matka wołała za nim, żeby na nią poczekał, ale on nie mógł się zdobyć na defilowanie obok niej. Wstydził się jej żył na nogach wepchniętych w białe szpilki i skrzywienia białego lateksowego kostiumu.

Płonął ze wstydu, kiedy już weszli do szkoły i dyrektor podszedł się przywitać.

- Pani Sprat, tak? Może pani być z syna dumna. Wszyscy pokładamy w nim duże nadzieje.

Zauważył rozbawienie w oczach dyrektora, kiedy ten napuszony bubek zlustrował jej wygląd: kołyszące się kolczyki z flamingami, kulki tuszu na końcach krótkich rzęs, pomarańczowy podkład, sięgający tylko podbródka, zmęczone piersi, zwisające ponad kamizelką w rozmazane barwne plamy.

Weszli do dużej sali, w której przy stolikach siedzieli nauczyciele i rozmawiali z rodzicami. Jack był przekonany, że wszyscy zwrócili głowy w ich stronę, żeby śmiać się z jego matki. Marzył o szacunku i

pragnął go także dla niej. Kiedy jakiś tłuścioch stojący w kolejce powiedział do kobiety obok: „O Boże, zobacz!”, Jack poczuł przypływ złości i objął ramieniem matkę wraz ze skrzypiącym lateksem. Czemu nie miałyby nosić kolczyków z flamingami - przecież to takie piękne ptaki!

### 3.

Podróż, która zwykle trwała dwie i pół godziny, tym razem zajęła Jackowi ponad pięć. Tir z naczepą pełną ziemniaków, jadący z Węgier do Milton Keynes, złożył się wpół i rozsypał ładunek, blokując dwie autostrady – M1 na północ i M25 w obie strony: na wschód i na zachód.

Jack dzwonił do matki z samochodu, ale nikt nie odbierał. Od jakiegoś czasu miała awersję do telefonów, bo w dzień i w nocy dzwonili do niej najróżniejsi przedstawiciele handlowi i błagali, żeby kupowała prąd od gazowni albo płaciła rachunki za telefon za pośrednictwem wodociągów. Według niej wszyscy oni stroili sobie okrutne żarty.

Była minuta przed północą, gdy Jack zatrzymał się przed domem matki. Wewnątrz świeciły się stuwatowe żarówki. „Nic dziwnego - pomyślał Jack - że ciągle ma długi w elektrowni”. Norma czekała na niego. Kiedy szedł ścieżką przez ogród, widział jej sylwetkę za cienkimi zasłonami - siedziała na kanapie i oglądała *Late Night Line-Up*<sup>7</sup>. Oglądała wszystko jak leci. Na ekranie pojawiła się wielka głowa Toma Paulina<sup>8</sup>.

Jack zapukał do drzwi i krzyknął w otwór skrzynki na listy. W końcu usłyszał, jak Norma mówi do Petera, starej papużki:

- Pete, nasz Jack przyjechał w odwiedziny.

Kiedy drzwi się uchyliły, Jack w pierwszej chwili nie poznał matki. Nigdy w życiu nie widział jej bez makijażu. Nawet w szpitalu, po

napadzie, uszminkowała sobie usta i upiękzyła jedno oko niebieskim cieniem i tuszem (drugie oko miała opuchnięte i zamknięte). Teraz, tydzień po wyjściu ze szpitala, nie miała sztucznej szczęki, jej włosy straciły kolor i napuszczoną wysokość, i zwisały jak nędzne białe sznurki wokół posiniaczonej twarzy bez wyrazu. Nie, to nie jego matka, to tylko szkielet matki. Była jak strona wyrwana z *Anatomii* Graya. Ten małaolat, który ukradł jej emeryturę, wraz z siatką na zakupy i portfelem, pozbawił ją ciała i sił witalnych.

- Cześć, mamó. Dobrze wyglądasz - powiedział Jack odruchowo. Zawsze przywiązywała wagę do swojego wyglądu.

- Zostawiłam dla ciebie obiad - powiedziała i ruszyła w głąb wąskiego przedpokoju, w stronę kuchni.

W rodzinie Spratów nie były przyjęte pocałunki ani inne czułe gesty.

Peter stał niepewnie w klatce pośród łupinek ziaren i własnych odchodów, jego niebieskie piórka wyglądały na wytarte i poszarzałe.

Jack wsunął palec między pręty i powiedział:

- Głowa do góry, Pete, z twoją panią już lepiej, potrzebuje tylko fryzjera.

Pete często służył jako pośrednik w rozmowach Jacka z matką.

Norma zareagowała:

- Nie byłam u fryzjera, bo boję się wychodzić.

Peter wskoczył na swój mały trapez i wpatrywał się ponuro w zawieszony przed nim lusterko.

- Ostatnio jest taki upierdliwy - powiedziała Norma, po czym otworzyła kuchenkę i wyjęła talerz przykryty drugim talerzem, odwróconym do góry dnem. Kiedy zdjęła talerz z góry, odsłoniła obiad, z którego buchnął kłęb pary. - To, co lubisz - zwróciła się do Jacka.

Jack spojrział na przezroczyste paski tłuszczu na cielejącym mostku, skurczone marchewki, groszek i utłuczone ziemniaki, które przywarły do talerza.

- No, Pete, gdybym tak dorwał tego drania, co tak załatwił naszą mamę, chyba bym go zabił.

Zmusił się do zjedzenia prawie całego tego ohydneho obiadu. Wiedział, że matka nie znosi gotować, nigdy jej to nie wychodziło. Nie miał jej też za złe, że zapomniała, iż od przeszło trzydziestu lat jest wegetarianinem i że to Stuart, jego zmarły brat, uwielbiał tłuszcz z cielejącego mostka.

Norma usiadła i przyglądała się, jak Jack je. Dojrzała na jego twarzy zmarszczki wokół oczu i dwie głębokie bruzdy, biegnące od nosa do kącików ust...

Przed pójściem spać Norma nakryła klatkę Petera poliestrowo-bawełnianą szmatką w słoneczniki. Peter nie przestawał buszować po zaciemnionej klatce. Jack odezwał się do niego surowo:

- Uspokój się!

Wyłączył światło w kuchni i wchodząc po schodach do pokoju, w którym miał spędzić noc, wyrzucał sobie, że potraktował biednego ptaszka tak obcesowo.

Spał niespokojnie w tanim sosnowym łóżku z okazjnie kupionym materacem: niewielki odcisk na stopie cały czas zahaczał o pościel z non-ironu, jaką lubiła jego matka.

W którymś momencie podczas długiej nocy Jack wyciągnął rękę po budzik i strącił z szafki nocnej glinianego osiołka. Usłyszał brzęk tłuczonej figurki, która spadła na podłogę przy samym łóżku.

Kiedy ponownie się obudził, było już rano. Leżał chwilę, patrząc na otaczające go miniaturowe osiołki. Były zdobione na wszelkie możliwe sposoby: jedne w kwiatki, inne realistycznie, jeszcze inne wykonane z wikliny i zaprzęzione do małych wozów. Wiele z nich miało na łbach

kapelusze, dwa były odziane w poncho, jeden niósł wiadomość „Prezent od Lavender Fields z Norfolk” i nadal miał kilka wysuszonych lodyg, sterczących z dziury w grzbiecie.

Latwo było kupować мамie prezenty na urodziny i Boże Narodzenie - w sklepach zawsze były jakieś osły w cenie przystępnej nawet dla dziecka.

Wstał i szybko się ubrał. Włożył cywilne ubranie w sportowym stylu, w którym ostatnio nigdy nie czuł się dobrze. Nie mógł się bowiem pozbyć uczucia, że się pod kogoś podszywa i tylko udaje podobieństwo do innych.

Przed wyjściem z pokoju pozbierał kawałki roztrzaskanego osła. Zauważył, że był to osiołek, którego zrobił Stuart na zajęciach z ceramiki w poprawczaku, kiedy siedział za posiadanie marihuany. Zawinął odłamki w chusteczkę i zszedł na dół, żeby poszukać kleju. Będzie musiał to skleić - ten więzienny osioł to jedyny prezent, jaki Stuart kiedykolwiek dał Normie, i ona często powtarzała, że w razie pożaru ratowałyby tylko Petera i osiołka od Stuarta.

Czekając, aż woda w czajniku w kształcie drapacza chmur się zagotuje, Jack wyczyścił zlew w kuchni metalowym zmywakiem, który pokryty był rdzą. Gdy robił herbatę, słyszał, jak Peter buszuje po zaciemnionej klatce. Potem przeszedł do pokoju, którego okno wychodziło na ulicę. Dom naprzeciwko, do którego kiedyś został wysłany po garnek, był zabity deskami, a w ogrodzie stał wrak kampera. Ulicą przechodziły jakieś dzieci, obrzucając się wyzwiskami. Ugięły się pod ciężarem olbrzymich plecaków, przez co wyglądały jak żołnierze piechoty w ruinach zburzonego miasta.

Jack usłyszał odgłos wody spuszczonej w toalecie na górze, ale nie doczekał się szumu wody z umywalki - matka uważała, że zarazki są potrzebne, i powtarzała, iż odkąd ludzie zaczęli codziennie się kąpać i

brać prysznic, są coraz bardziej chorowici. Kiedy Jack znalazł w jej lodówce ser, którego data przydatności dawno minęła, i postraszył ją opowieściami o robakach, tylko go wyśmiała.

Dzieci zniknęły za rogiem i ulica znowu wyglądała na opuszczoną. Przejechało co prawda kilka samochodów, ale dla Jacka to i tak był niezwykle spokój.

Dawno temu, w dniu, w którym opuszczał dom, żeby zacząć naukę w Hendon Police College, stał na tej samej ulicy - czekając dziesięć minut przed domem na taksówkę, która miała go zawieźć na dworzec - i dziwił się, że przechodzi tędy tyle osób i wszyscy go pozdrawiają. Małe dzieci bawiły się przed domami, a na ulicy, przy podjazdach, mężczyźni naprawiali samochody. W tamtych czasach - Jack pamiętał to dobrze - starsze panie w fartuchach oparte o furki plotkowały z sąsiadkami.

Kiedy mama weszła do pokoju, Jack spytał, gdzie się wszyscy podziiali.

- Nikt teraz nie wychodzi - odparła, podchodząc do niego do okna.  
- Już nawet nie zachodzę do sąsiadów i przestałam wieszać pranie na sznurku. W zeszłym tygodniu jakiś chuligan przelazł przez płot i zwędził to krzesło ogrodowe, które mi przywiozłeś.

- Zrobię ci wyższy płot i kupię nowe krzesło - powiedział Jack.

- Aj, nie zawracaj sobie głowy krzesłem - odparła Norma z irytacją. - Znowu je ukradną. A zresztą teraz i tak jakoś nigdy nie ma słońca.

Przeszli do kuchni. Norma cmoknęła z niezadowoleniem, gdy zauważyła, że klatka Petera ciągle jest zasłonięta szmatką w słoneczniki.

W domu nie było nic, co Jack byłby w stanie zjeść. Za puszkę na herbatę z brzegu suszarki do naczyń były wetknięte niezapłacone rachunki. Cały dom wymagał posprzątanego, przewietrzenia i uzupełnienia zapasów żywności. Nawet w misce Petera nie było ziarenek, a w szafce



obok słoików ze spleśniałymi dżemami i piklami stało puste opakowanie po ptasiej karmie. Jack miał zamiar wrócić do Londynu wieczorem, by jeszcze zdążyć wykorzystać drugi wolny dzień - planował wypad do Tate Modern, żeby naocznie się przekonać, co wszyscy w tym widzą - ale właśnie zdał sobie sprawę, że będzie musiał tu zostać jeszcze jedną noc i jakoś wyprowadzić matkę na prostą. Zrobił sobie miejsce na stole w kuchni i zabrał się do sporządzania listy:

Zadzwonić do ślusarza  
Wyczyścić klatkę  
Asda - jedzenie  
Znaleźć sprzątaczkę  
Poczta - odebrać emeryturę  
Bank - załatwić zlecenia stałe  
Znaleźć Yvonne?

Potem wyjął książeczkę czekową i wypisał kwoty potrzebne na opłacenie rachunków matki.

- Jakie to straszne nie mieć pieniędzy - odezwała się Norma. - Dłaczego Trevor musiał umrzeć?

- Po co łąził w nocy po dachu kościoła?

W głębi duszy Jack ucieszył się, słysząc o śmierci ojczyma. O jednego kryminalistę w rodzinie mniej. A przestępcza działalność Trevora w jego sytuacji była szczególnie kłopotliwa. Kilka razy miał powody podejrzewać, że przez ojczyma pominięto go przy awansie.

Norma z rozrzewnieniem zaczęła wspominać pogrzeb.

- Nigdy nie widziałam tak zatłoczonego kościoła. Ludzie stali aż na zewnątrz. Na cmentarzu wpadali na nagrobki, pamiętasz? A pastor tak ładnie mówił o Trevorze.

Jack przypomniał sobie, jak siedział w kościele kilka metrów od zdobionej trumny ojczyma, i zastanawiał się, jak też młody pastor wybrnie z sytuacji - jak przedstawi kryminalną przeszłość i podejrzane

okoliczności tej nagłej śmierci. Ten pajac w koloratce nazwał Trevora „barwną postacią”, a nawiązując do kradzieży ołowiu, określił go jako pioniera, który zajmował się recyklingiem na długo przed tym, jak stało się to modne.

- Teraz żałuję, że Trev nie został skremowany. Nie lubię myśleć, że leży tam w ziemi, taki samotny.

- Nigdy mi nie mówiłaś, ile ci zostawił - powiedział Jack.

Norma zaczęła szperać po kieszeniach różnych płaszczy, które wisiały skłębione na kołku na drzwiach kuchni. Jack wiedział, że szuka papierosów.

Całe jego dzieciństwo wydawało mu się spowite dymem z papierosów. W końcu Norma wydostała zmiętego na wpół wypalonego papierosa Lambert & Butler i podniosła go triumfalnie przed włożeniem do ust. Jack czekał w napięciu, kiedy zaczęła szukać ognia - otwierała szuflady i grzebała w torebkach, aż wreszcie w zapuszczonej szafce pod zlewem znalazła pudełko zapalek Swan Vesta.

Usiadła i wypuściła z ust obłok dymu.

- Nie lubię mówić o forsie - powiedziała stanowczym tonem.

Jack odparł:

- Ale musimy o tym pomówić. Dostałaś te pieniądze od Yvonne?

Norma potrząsnęła głową.

Jack ostrzegał matkę, żeby nie inwestowała w system Kobiety Kobietom, do którego namawiała ją Yvonne. Ona jednak włożyła w to trzy tysiące funtów, urzeczona opowieściami Yvonne o zwyczajnych kobietach, które wychodzą ze spotkań motywacyjnych, wynosząc pod pachą dwadzieścia cztery tysiące naraz.

Teraz Yvonne i matka nie rozmawiają ze sobą. Nie utrzymują kontaktów, odkąd Yvonne tak stanęła na nogi, że zostawiła zdumionego

męża po dwudziestu sześciu latach małżeństwa i zniknęła. Nie znalazł jej nawet policyjny komputer. Jack bardzo boleśnie odczuwał brak Yvonne. Wcześniej to ona opiekowała się Normą, a teraz wyglądało na to, że matka jest na jego głowie.

Jack zajął się realizacją punktów ze swojej listy. Zabrał matkę do działu mrożonek w Asda. W okienku na poczcie umieścił kartkę z napisem: „Potrzebna osoba do sprzątnia: 2 godziny w tygodniu”.

Kiedy wypakowywali mrożone dania z firmowych toreb Asda, w przedpokoju zadzwonił telefon. Jack podniósł słuchawkę i usłyszał głos młodego chłopca:

- Ja w sprawie sprzątnia.

Jack zawahał się.

- Umieję sprzątać. Pracowałem w szpitalu.

- Dlaczego już tam nie pracujesz? - podejrzliwie zapytał Jack.

- Zaczęłem naukę w college'u. Potrzebuję dorywczej pracy, żeby zarobić na książki.

Jack umówił się z Jamesem Hamiltonem - tak nazywał się ów młody człowiek - na spotkanie o piątej.

Morgan Clare zajmował się wypracowaniem o męczennikach z Tolpuddle. Napisał starannym charakterem pisma: „Męczennicy z Tolpuddle to sześciu parobków, którzy zjednoczyli się w 1833, tworząc Związek Przyjacielski, kiedy ich «pan» obciął im wynagrodzenie z dziewięćciu do sześciu szylingów tygodniowo”.

Dręczyła go świadomość, że jego siostra, Estelle, nie odrabia pracy domowej i z tego powodu będzie awantura, kiedy mama i tata wejdą na górę, żeby poświęcić dzieciom zalecane przez psychologów pół godziny rozsądnie spędzanego czasu.

Morgan powiedział:-

- Estelle, mogłabyś przynajmniej udawać, że coś robisz. Chociaż zacznij!

- Nie zależy mi, co będzie, jak dorosnę. Chcę być w przyszłości osobą niewykształconą.

Morgan roześmiał się.

- Już jesteś niewykształcona. Nie możesz się „nie wykształcić”.

- No to nie będę zdawać żadnych egzaminów.

Morgan pisał: „Według mnie tych sześciu mężczyzn:

James Brine, Thomas Stanfield, John Stanfield, James Hammett, George Loveless i James Loveless, było pionierami ruchu laburzystów i nie zasługiwało na tak okrutne i surowe traktowanie”. Odłożył pióro i powiedział:

- Czyli nie masz żadnych ambicji?

- O nie, jestem bardzo ambitna - odparła Estelle. - Chcę być piękną, mieć pełno drogich ubrań i butów, wyjść za przystojnego faceta, z którym będzie wesoło, i mieć dziecko.

Agenci ochrony słuchali, jak premier z żoną odbywają miłosne zbliżenie. Małeńki mikrofon wielkości dziecięcego paznokcia tkwił ukryty w desce u wezłowania ich wielkiego małżeńskiego łóża.

- Odgłosy, jakby zdobywali Snowden - skomentował Robert Palmer.

- Chciałbym, żeby już wleźli na ten cholerny szczyt - mruknął Alan Clarke.

- Głupio się czuję. Dzięki Bogu, to tylko dźwięk.

Po zmianie tonu w namiętych jękach premiera mężczyźni domyślili się, że za chwilę skończy i sięgnie po chusteczkę.

Morgan Clare nie spodziewał się zastać rodziców w łóżku o szóstej po południu. Kiedy cztery miesiące wcześniej urodziła się Poppy, Morgan musiał przyznać sam przed sobą, że rodzice, chociaż już tacy starzy, ciągle to robią. Ta myśl była obrzydliwa, naprawdę obrzydliwa, ale żeby zrobić to, kiedy jeszcze jest jasno, to już chyba nienormalne. Co to,

zwierzęta, czy co? Owszem, nie powinien tak wpadać bez pukania, ale chciał jak najszybciej opowiedzieć tacie o męczennikach z Tolpuddle.

- Tato, słyszałeś o męczennikach z Tolpuddle?

Podsluchujący agent Clarke zachichotał i powiedział:

- To się nazywa *coitus interruptus*.

- Oczywiście - dobiegł głos premiera.

- I co o nich myślisz?

- No, według mnie byli odważni, ale złądzili.

- Złądzili? To znaczy, że co? - w głosie Morgana słychać było zaczepkę.

- Myślę, że mogli zaoszczędzić sobie i swoim rodzinom mnóstwa kłopotów, gdyby się przygotowali do negocjowania podwyżek ze swoim panem, a nie wychodzili na ulice jako podżegacze.

W sypialni premiera twarz Morgana zapłonęła rumieńcem. Kochał sześcioro męczenników, ich żony i całe rodziny, i czuł, że mógłby oddać życie za ich sprawę.

- Tato, to nie byli podżegacze. Oni z własnej woli chronili budynki przed chuliganami i podpalaczami. I przecież nie chodziło im o podwyżkę... im obcięto płacę z dziewięciu do sześciu szylingów tygodniowo.

Edward uśmiechnął się i powiedział:

- Może trzeba było iść na kompromis i zgodzić się na siedem i trochę.

- Ale tato, nawet za dziewięć szylingów nie byli w stanie wyżywić swoich dzieci...

- Morgan, oni podpisali nielegalną przysięgę.

- Utworzyli Związek Przyjacielski. To wszystko. Mieli sto procent racji.

- Nic nie jest nigdy czarno-białe, synu. Byli wrogami państwa.

- Właśnie że nie! To byli porządni ludzie, którzy powstałi przeciwko okrucieństwu i... no... niesprawiedliwości, a zesłano ich za to

do Australii na siedem lat! Po czyjej właściwie jesteś stronie?

Na to odezwał się tłumiony koldrą głos Adele:

- Jak mówisz „strona”, o co tak naprawdę ci chodzi?
- Kurde, przecież dobrze wiesz, o co mi chodzi! - krzyknął Morgan.

Wtedy Adele wygrzebała się spod koldry i krzyknęła:

- Możesz zapomnieć o nowych najkach i przez tydzień masz szlaban! A teraz wyjdź stąd, bo chciałam się ubrać.

Morgan zwrócił się jeszcze do ojca:

- Tato, jest coś, za co oddałbyś życie?
- Nie teraz, synu - odparł premier.

Agenci usłyszeli dźwięk zamykanych drzwi i po chwili głos Adele:

- Będziesz dzisiaj na żywo w telewizji? Użyj dużo antyperspirantu, jak weźmiesz prysznic. Pod tymi lampami człowiek się poci jak świnia.

Na krótko przed piątą Norma poszła na górę. Kiedy zeszła, była w letniej sukience, z włosami upiętymi do góry i szminką na ustach.

James Hamilton rozbroił ich oboje swoim wyraźnym zapalem do prac domowych. Jack oprowadził go po domu, przepraszając za stan gospodarstwa, i wyjaśnił, że matkę niedawno napadnięto i że przestało jej na czymkolwiek zależeć. Niewiele skłamał. Norma nigdy nie troszczyła się zbyt o dom. Jednak na wszystkie te tłumaczenia James tylko się uśmiechał i mówił: „Nie ma sprawy”.

James wyjątkowo się zainteresował Peterem.

- Mój ojciec miał papużki w ogrodzie.
- W ptaszarni? - zapytał Jack.
- Nie, na wolności. Mieszkał w Trynidadzie.
- Myślałem, że papużki faliste żyją dziko tylko w Australii - powiedział Jack.
- Nie! Są w całym Trynidadzie - odparł James.

- Czy pańska matka jest z Trynidadu? - zapytała Norma.
  - Nie, moja matka jest stąd, ale już nie żyje. Kiedy mam zacząć?
- Norma, nawet nie patrząc na Jacka, odpowiedziała:
- Możesz zacząć teraz od wyczyszczenia klatki tej biednej papuż-

ce.

James jednak spojrzął na Jacka i zapytał:

- No to ile, siedem funtów za godzinę?
- Nie, sześć - odparł Jack.

Przed wpół do ósmej James opuścił dom z dwunastoma funtami w kieszeni. W ciągu dwóch godzin całkiem odmienił kuchnię, a nawet wyczyścił i wypolerował lusterko w klatce Petera. Obiecał wrócić o dziesiątej następnego dnia, przed pójściem do college'u.

Kiedy zostali sami, Jack włożył dwie mrożone zapiekanki z mięsa i ziemniaków do lśniącej czystością kuchenki.

- Uroczy chłopiec - powiedziała Norma. - Stać cię, żeby przycho-

- Pewnie. Co nie, Pete? - odparł Jack.

Przenieśli swoje talerze do salonu, bo w telewizji miał być program, który oboje chcieli oglądać. Zaczynał się nowy cykl pt. „Twarzą w twarz z dziennikarzami” - w programie na żywo zaproszeni goście mieli występować przed znanymi osobistościami. Pierwszym gościem miał być premier.

Jack chciał to obejrzeć ze względu na coraz bliższą więź z premierem. Norma z kolei skupiała całą swoją uwagę na znanych twarzach ze świata mediów. Miała nadzieję wypatrzeć sir Cliffa Richarda i z jego twarzy wyczytać, czy jeszcze jest prawiczkim.

Jack usiadł z jedzeniem przy swoim starym biurku. Norma z talerzem na kolanach usadowiła się na kanapie.

Premier siedział w sali recepcyjnej i wpatrywał się z uwagą, jak Donna Flak, producentka „Twarzą w twarz z dziennikarzami”, usuwa folię z owalnego talerza pełnego kanapek. Tylko głęboko wpojonym zasadom dobrego wychowania zawdzięczał, że nie wstał i nie poczęstował się.

Donna zwinęła folię w kulkę i z wprawą rzuciła ją do kosza po drugiej stronie sali.

- Nieźle! - skomentował premier. - Mogłaby pani przysłużyć się Anglii w krykiecie.

Jego asystenci i zebrani ważniacy z BBC śmiali się znacznie dłużej, niż ten lekki żart na to zasługiwał. Donna odparła:

- Broniałam bramki w drużynie Cambridge Ladies. Byłyśmy najlepsze w lidze.

- I ukończyła pani jako najlepsza? - premier się uśmiechnął.

Donna wręczyła mu mały talerzyk i serwetkę, po czym podsunęła półmisek. Edward sięgnął po dwie kanapki z łososiem i zaczął jeść. Chciałby w spokoju zająć się konsumpcją, ale wokół już zbierali się ludzie.

Aleksander podał mu listę pytań i kilka propozycji odpowiedzi.

- Nie ma się czego obawiać - powiedział. Znał wszystkich dziennikarzy biorących udział w programie z wyjątkiem niejkiej Mary Murphy. Notatka, którą mu przekazano, informowała, że pracuje ona dla „Northants Voice”, ma dwadzieścia pięć lat, jest rozwiedziona, ma trzyletnią córkę i głosuje na socjalistów.

Wśród znanych osób w pierwszym rzędzie siedziała Ulrika Jonsson, a po jej obu stronach Stephen Hawking i Gary Lineker. Kiedy szef rządu wszedł do studia, rozległy się ciepłe brawa. Premier usadowił się na wysokim stołku i po krótkich poszukiwaniach wygodnej pozycji dla nog - najpierw je skrzyżował, by po chwili rozprostować - w końcu



oparł jedną stopę o szczebel, a drugiej pozwolił swobodnie zwisać.

Nastąpiła krótka próba mikrofonu, podczas której premier wyrecytował, co jadł na śniadanie: jajko, pomarańcza, sok, płatki, tost... i przyszła kolej na pytania dotyczące euro.

- Stwierdziłem wyraźnie, że referendum odbędzie się, kiedy...

Na temat Afryki:

- Oczywiście, Afryka boryka się z wielkimi problemami...

I Malcolma Blacka.

- Chyba widać wyraźnie, że pan Black jest świetnym ministrem skarbu...

Wszystko szło dobrze do chwili, gdy Mary Murphy zapytała, czy premier wie, ile kosztuje pinta mleka. Edward uśmiechnął się i powiedział:

- Proszę pani, jesteśmy Europejczykami, pewnie miała pani na myśli litr.

Publiczność to rozbawiło, ale Mary Murphy nie.

- No więc ile? - powtórzyła.

Uśmiechnął się ponownie i wyraźnie grając na zwłokę, zapytał:

- Pasteryzowane czy odtłuszczone?

- Obojętne - nie dawała za wygraną Mary Murphy.

Graham Norton, siedzący między Adele a Benem Eltonem, krzyknął:

- Co tam mleko, ile kosztuje butelka bollingera?

Kiedy śmiech ucichł, jakiś dziennikarz z „Independent” spytał:

- Panie premierze, dużo ostatnio mówi się w mediach i potwierdzają to najświeższe sondaże, że stracił pan kontakt z realiami codziennego życia. Czy nadal może pan o sobie powiedzieć „przywódca narodu”?

Trzeba było trzech długich sekund, żeby premier odzyskał mowę. Uśmiechnął się i nerwowo zamrugał, nim odpowiedział:

- Właśnie dwa dni temu rozmawiałem z jednym zwyczajnym facetem o jego matce, starszej kobiecie, która padła ofiarą brutalnego napadu ulicznego.

Jack zwrócił się do Normy:

- Mówi o tobie, mamó.
  - Nie gadaj głupot. Nie jestem starszą kobietą - odparła.
- „A ja nie jestem zwyczajny” pomyślał Jack.

Następnego dnia o 10:15 Jack zadzwonił do matki z autostrady. Odebrał James. W tle słychać było dźwięk włączonego odkurzacza. James pogodnym tonem poinformował Jacka, że zabiera Normę do fryzjera.

- A szkoła? - zapytał Jack.
- Wykładowca zachorował - odparł James.

W słuchawce słychać było głos matki rozmawiającej w kuchni z Pete'em - pytała, co ma włożyć do miasta.

## 4.

Zanim jak zwykle o 14:00 Jack ustawił się na posterunku przed drzwiami, poszedł do pomieszczenia dla personelu i zrobił sobie kawę z ekspresu. Wendy rozmawiała właśnie z Su Lo, nianią Poppy, o nodze Barry'ego.

- Może byś spróbowała chińskiej medycyny? - powiedziała Su Lo.  
- Ja tak sobie wyleczyłam nadżerki.

Jack wolałby nie słyszeć tej uwagi. Teraz przez kilka dni patrząc na Su Lo, będzie myślał o jej nadżerkach.

- Nadżerka to nadżerka, ale gangrena nogi to coś zupełnie innego - odparła Wendy.

Myjąc swój kubek nad zlewem, Jack przysłuchiwał się Wendy, która opowiadała, że w nocy do Adele wzywano lekarza, bo coś jej hałasowało w uszach.

- Głosy w głowie? - spytała Su Lo.  
- No, chyba coś takiego - surowo odparła Wendy.

Jack włożył hełm i zapiął pasek pod brodą. W taki ciepły kwietniowy dzień płaszcz nie będzie mu potrzebny.

Kiedy przechodził korytarzem w stronę drzwi frontowych, czuł w powietrzu niepokój. Zawsze tak było na godzinę przed interpelacjami poselskimi.

W drodze do samochodu premier zatrzymał się obok Jacka.

- I jak tam matka?  
- Dziękuję, w porządku. Miło, że pan spytał.

- To świetnie - odparł premier. I nagle zapytał: - Jack, co według ciebie najbardziej doskwiera ludziom w naszym kraju?
- Przystępczość - odpowiedział Jack. - Powinno być więcej policjantów na ulicach.

Interpelacje poselskie przybrały zły obrót, kiedy szef rządu źle odczytał notatki i na pytanie o połowy dorszy poinformował Wysoką Izbę, że w Morzu Północnym zostało już tylko osiemdziesiąt dziewięć tych ryb.

Dobrą chwilę trwało, zanim szyderczy śmiech ucichł i premier na tyle odzyskał kontenans, by sprostować błąd i zapewnić szanownych posłów, że chociaż populacja dorsza została uszczuplona, to w brytyjskich wodach pływa osiemdziesiąt dziewięć tysięcy sto ton całych i zdrowych przedstawicieli tego gatunku.

Lider opozycji, Tim Patrick Jones, zerwał się i rzekł z pogardą:

- Czy pan premier jest świadom, że wczoraj rano cała sieć kolejowa na południowym zachodzie stanęła i dosłownie miliony dojeżdżających nie dotarli do pracy, nie tylko na czas, ale w ogóle!

Edward oglądał poprzedniego wieczoru wiadomości i był zaskoczony widokiem anarchii na stacji Waterloo, gdzie sfrustrowani pasażerowie niszczyli automaty biletowe i grabili gazety i słodycze ze sklepu sieci W.H. Smith.

W odpowiedzi na salwę okrzyków: „Hańba! Wstyd!”, premier wstał, zajrzał do swoich notatek i wyzywająco uniósł głowę. Zauważył, że minister skarbu, Malcolm Black, przechylił się całym potężnym ciałem lekko w lewo, tak że pozostali siedzący w pierwszej ławie musieli jeszcze bardziej się ścisnąć.

Podnosząc się, premier usłyszał, jak Malcolm mruczy: „I co teraz, Eddy?”, ze swoim szkockim akcentem. Edwardowi przemknęło przez myśl, że polityczna przyjaźń łącząca go z Malcolmem piętnaście lat chyba dobiega końca.

Wszystko to wytrąciło go z równowagi i udzielanie wyjaśnień w kwestii sytuacji na kolei przychodziło mu z trudem - mówił nie na temat, a jego argumenty były mało przekonujące. Czuł pot spływający z czoła. Słyszał, jak za jego plecami Malcolm Black wydał ciche, lecz przeciągłe westchnienie.

Kiedy Patrick Jones rzucił złośliwie: - A czy pan premier mógłby nas poinformować, kiedy to ostatnio podróżował pociągiem? - Edward bez zastanowienia udzielił odpowiedzi, której natychmiast pożałował i która miała odmienić całe jego życie.

- Otóż cieszę się, że mogę powiedzieć szanownemu panu, że ostatnio jechałem pociągiem trzy dni temu, i to wraz z żoną i trojgiem dzieci.

W ławach laburzystów przetoczył się szmer zadowolenia. Edward natychmiast zapragnął cofnąć te słowa, pochwycić je i włożyć z powrotem do ust, ale ta jego durna odpowiedź już była zapisywana w sprawozdaniu z obrad Parlamentu oraz w notesach satyryków i humorystów, którzy siedzieli w łóżach prasowych.

Zdanie „Ostatnio jechałem pociągiem trzy dni temu, i to wraz z żoną i trojgiem dzieci” miało się stać tak sławne, jak „Przywożę wam pokój...” Neville Chamberlaina.

W tym czasie w szeregowcu na przedmieściach Coventry zapalony amator fotografii, Derek Fisher, który słuchał interpelacji poselskich w radiowej piątce, przesyłał mailem zdjęcie szefa rządu i jego rodziny do „Daily Mail”. Kierownik działu fotoreporterskiego natychmiast przesłał tę wiadomość do korespondenta „Mail” siedzącego w łoży dla prasy, który przysłuchiwał się wyjaśnieniom premiera w sprawie Brytyjczyka oskarżonego o warzenie piwa w Arabii Saudyjskiej i skazanego na śmierć przez ukamienowanie.

Zanim jeszcze usiadł, lider opozycji otrzymał wiadomość o treści: „Zapytać premiera, czy pociąg, którym podróżował w niedzielę, był punktualny i jaką trasą jechał”.

Przywódca opozycji postanowił zaryzykować. Zaniechał poruszania kwestii błędów kontroli lotów i zadał podsunięte mu pytanie.

Premier podniósł się powoli i powiedział:

- Mam wielką przyjemność poinformować szanownych zebranych, że nasz pociąg odjechał i przybył o właściwej porze.

- Zdaje się, że jechał okrężną drogą - skomentował Tim Patrick Jones.

W łoży dla prasy z rąk do rąk przekazywano sobie jakieś zdjęcie. Żaden z dziennikarzy nie pamiętał, kiedy ostatnio śmiał się tak szczerze i długo, jak na widok szefa rządu w baseballówce i dżinsowej kurtce siedzącego z głową wciśniętą między kolana na lokomotywie-ciuchci o nazwie Puff Puff

Adele i Poppy, też w baseballówkach, siedziały w pierwszym wagonie, a starsze dzieci, nadąsane, w wagonie służbowym z tyłu. Pociąg toczył się po okręgu zabawkowych torów. Nos Adele sięgał niemal daszka czapki, aż parlamentarny rysownik zauważył:

- Jezu, spójrz na ten kulfon! Rozmiar lotniskowca. Można by na nim wylądować samolotem i jeszcze byłoby miejsce na rozegranie meczu.

Wieść o krążącej w ławach fotografii szybko przedostała się z łoży dla prasy do ław opozycji.

Cała Izba zanosila się histerycznym śmiechem. Śmiech jeszcze przybrał na sile, kiedy do zdjęcia dorwali się politycy.

Jednocześnie Tim Patrick Jones naciskał na premiera, by podał nazwę pociągu. Nazwę pociągu!

Premier odmówił udzielenia odpowiedzi „ze względów bezpieczeństwa”.

Wtedy konserwatyści poczuli wiatr w żaglach. Wszczęli taki harmider, że Spiker nie mógł przekrzyczeć ich szyderych: „Puff, puff!”, które niosły się po całej sali.

Jeden z posłów z regionu Barking Southeast, którego popisowym numerem było naśladowanie lokomotywy parowej Royal Scot opuszczającej dworzec Weaverley, omal nie padł ze szczęścia, kiedy zdał sobie sprawę, że oto ma przed sobą tylu wdzięcznych słuchaczy.

Edward usiadł. W ławach za jego plecami panowała martwa cisza. Malcolm Black odezwał się z przesadną życzliwością:

- Nie martw się, Ed, wygrzebiez się z tego.

Wychodząc z sali, premier słyszał jeszcze, jak ktoś podśpiewuje:  
„Jedzie pociąg z daleka...”

## 5.

Adele z niecierpliwością oderwała Poppy od wydłużonej brodawki i podsunęła jej drugą.

- Pospiesz się, na miłość boską - powiedziała do ssącego malucha.
- Muszę wracać na to przekłete zebranie!

Poppy popatrzyła w górę i napotkała niezadowolone spojrzenie matki, po czym spokojnie wróciła do wysysania mleka z obfitej piersi, pokrytej siateczką niebieskawych żył. Adele zaczynała mieć już dość tego całego zamieszania z karmieniem, ale przecież patronowała kampanii na rzecz karmienia piersią, którą prowadziła organizacja Pierś Będzie Najlepsza (PBN), wspierana przez Ministerstwo Zdrowia i wielu modnych pediatrów. Będzie więc musiała się jeszcze pomęczyć. Tęskniła już za dniem, kiedy wreszcie odzyska swoje piersi i przestanie się nimi dzielić z sapiącym, prychającym, łakomym dzieckiem. Boże, jakie to barbarzyńskie!

A jakie zamieszanie wywołało potężne lobby producentów mleka dla niemowląt, których organizacja z kolei nazywa się Pełna Butelka Najlepsza (w skrócie PBN)! Lobbyści zarzucili jej faworyzowanie jednej ze stron konfliktu, a przyłączyło się do nich stadko żon i dziewczyn kierowców rajdowych, które niedawno urodziły dzieci. Utworzyły one grupę o nazwie „Gaz do Dechy, Butelka dla Pociechy”. Firma Ferrari zagroziła, że wycofa się z Silverstone, a wtedy w Parlamencie zaczęto zadawać niewygodne pytania.



Adele włączyła radio. Usłyszała załamujący się głos męża, mamroczący coś o jakimś pociągu, zanim zagłuszył go niezwykle chór ponad dwustu męskich głosów, dyszących unisono: „Puff, puff, puff.”

Na dole, w niewielkiej salce, której ściany zdobiły wielkie dzieła sztuki brytyjskiej, czekały trzy wpływowe kobiety. Chciały uzyskać poparcie Adele dla przygotowywanej przez nie antologii pod tytułem *Tumult*. Dochód z tego dzieła miał wspomóc mało popularną sprawę - leczenie zespołu nadwrażliwości jelita grubego. Miały już jedno opowiadanie Martina Amisa i wysokobłonnikowy przepis od Jamiego Olivera.

W przerwie na karmienie lady Leanne Baker wysłała sms-a do nastoletniego syna, żeby mu przypomnieć o wyjęciu z pralki koszulki do rugby i rozwieszeniu jej na suszarce. Po przeciwnej stronie stołu pograżone w rozmowie siedzieli: Rosemary Umbago - niewidoma redaktorka „Daily Voice” - i baronessa Hollyoaks - mózg liberalnych demokratów - z dość rozczochraną fryzurą. Kiedy ta ostatnia weszła do sali zaledwie godzinę wcześniej, wyglądała schludnie i niemal reprezentacyjnie, ale już po kilku minutach jej włosy sterczały na wszystkie strony, a ubrania wisiały na niej, jakby należały do kogoś o zupełnie innych gabarytach.

Baronessa Hollyoaks, której piersi nigdy nie sprawiły przyjemności mężczyźnie, kobiecie czy dziecku, skończyła właśnie opowiadać lekko pieprzną anegdotę o Royu Hattersleyu i zmieniła temat:

- Naprawdę uważam, że cudownie sobie radzisz z tym upośledzeniem wzroku.
- Na miłość boską, nazywaj to po prostu ślepotą - burknęła Rosemary. - Nie znoszę tych gładkich, politycznie poprawnych słówek. Jestem przecież ślepa od urodzenia. Nie jestem jedną z tych przewrażliwionych świeżo ociemniałych, którzy roztkliwiają się nad utratą cennego zmysłu.

Mając na uwadze niechęć Rosemary do poprawnego politycznie słownictwa, baronessa Hollyoaks odparła:

- No więc Rosemary, słyszałam, że wyszłaś drugi raz za mąż, za kogoś z Południowej Afryki. To czarnuch?

Kiedy samochód premiera wrócił z Izby Gmin, Jack ze zdziwieniem zauważył, że szef rządu jest błądy jak ściana, a uśmiech, który zwykle był na jego twarzy tak samo obecny jak nos i usta, gdzieś zniknął.

Z rozkazu Alexandra McPhersona przed Downing Street 10 nie było żadnych fotografów. Kiedy premier go mijał, Jack pochwycił jego spojrzenie i zagadnął:

- Wszystko w porządku?

Premier dał gestem znak zdenerwowanemu asystentowi, żeby się nie zatrzymywał.

- Właśnie w Izbie rozłożyli mnie na łopatki.

Jack dostrzegł w oczach premiera coś, co wyglądało podejrzenie, jak siłą powstrzymywane łzy.

- Przykro mi to słyszeć - odparł szorstko.

Zamiast przejść przez próg, szef rządu zatrzymał się i wdał się z Jackiem w pogawędkę. Opowiedział mu o całej kolejowej farsie, która odbyła się w Izbie Gmin. Jack skrzyżował ramiona na piersiach i słuchał. Kiedy premier skończył, posterunkowy Sprat powiedział:

- Jest pierwszy kwietnia. Może pańska odpowiedź w kwestii kolei miała być primaaprilisowym żartem?

Edward potrząsnął głową.

- Nie. To było głupie kłamstwo. Prawda jest taka, że od lat nie korzystałem z komunikacji publicznej, nie kupiłem litra mleka ani nie czekałem w kolejce na leczenie w państwowym szpitalu. Zupełnie straciłem kontakt z życiem normalnych ludzi.

- A doradcy pana nie informują?

- Oni żyją w tym samym świecie, co ja. Wieki całe nie jadłem ryby z frytkami pakowanej w gazetę.

- Wieki całe nikt nie jadł. To byłoby naruszenie Ustawy o Zdrowiu Publicznym z 1971 roku - odparł Jack, choć nie sprawiało mu przyjemności pogłębianie u premiera poczucia oderwania od narodu, którym rządzi.

Głos w słuchawce szepnął Jackowi do ucha, że ma poinformować premiera o telefonie od pułkownika Gaddafiego, który chce z nim pilnie rozmawiać. Jack przekazał wiadomość, ale premier jakoś nie miał ochoty wchodzić do środka.

- Jack, a jak ty odpoczywasz? - zapytał.

- Siedzę z paczką chipsów oraz butelką kronenburga i oglądam *W samo południe* - padła odpowiedź.

- *W samo południe!* - ożywił się premier i zaczął śpiewać: - *Do not forsake me, oh my darling...*

- No właśnie - potwierdził Jack. - Widziałem to chyba z dwadzieścia razy, albo i więcej.

Kiedy premier wszedł do domu, odbył krótką rozmowę ze swoim osobistym asystentem. Gaddafi ma zadzwonić później. Odwołał też zaplanowane spotkanie z szefem sztabu NATO. Potem zadzwonił do Wendy i poprosił o dostarczenie kronenburga, chipsów i kasyety wideo z filmem *W samo południe* na górę do salonu.

Wreszcie zadzwonił do Alexandra McPhersona i poprosił o zorganizowanie wywiadu z Andrew Marrem z BBC na temat oryginalnego żartu z okazji *prima aprilis*. Zastanawiał się, czy nie zaprosić Jacka do towarzystwa, ale uznał, że jest za późno, żeby zmieniać policyjny grafik dyżurów. Obejrzał więc film samotnie.

Malcolm Black siedział przy biurku w swoim gabinecie, który wyglądał jak pobożowisko, i jadł własnoręcznie zrobionego tosta z jajkiem. Żona wyjechała, a nie chciał zawracać głowy nikomu z personelu.

- Nie wiem, jak możesz pracować w tej dziurze - powiedział Alexander McPherson.

Malcolm rozejrzął się, jakby zobaczył ten bałagan po raz pierwszy, i odparł:

- Chyba pracuję bardzo dobrze, co potwierdzają badania opinii publicznej. To nie ja jestem na skraju załamania nerwowego.

David Samuelson, z głową ukrytą w dłoniach, jęknął z niesmakiem:

- *W samo południe!* On się cofa w rozwoju. Akcja prymitywna, użycie metafor czasowych przesadzone, a Gary Cooper gra jak noga.

- Gdybym potrzebował rady krytyka filmowego, posiałbym po Barry'ego Normana - rzucił Alexander.

Malcolm odezwał się cicho:

- Akcje FTSE były o dwa procent niższe przy zamknięciu. Bank of England obawia się deflacji. Biedny Eddy staje się trochę kulą u nogi.

- Malcolm, masz kawałek jajka na krawacie - zauważył Samuelson.

Malcolm wsadził palec w cienką strużkę żółtka, podniósł do ust i oblizał.

- Ed jest w porządku. Po prostu musi odpocząć. Jezu, gdybym to ja był na jego miejscu, już dawno bym wylądował w wariatkowie - stwierdził Alexander.

Malcolm odsunął pusty talerz na chwiejną stertę papierów i powiedział:

- A ja sądzę, że byłbym w tym dobry.

- Uzgodniłiśmy przecież, że poczekaś jeszcze pięć lat. Czyżbyś chciał złamać umowę? - odezwał się Samuelson.

Malcolm uśmiechnął się i odparł:

- Mówimy o sytuacji, nie o umowie, Davidzie.

- Dajcie mu tydzień - wtrącił Alexander. - Ja zajmę się prasą.

- Jakoś ciężko go sobie wyobrazić wylegującego się w słońcu Toskanii z kieliszkiem campan w ręku - zauważył Samuelson.

Malcolm roześmiał się:

- Może go wysłać do Afryki?
- Ci dranie z prasy szybko by go znaleźli. Musimy go zakonspirować - podsumował Alexander.

Kiedy powóz z Garym Cooperem i Grace Kelly opuścił miasto i ruszył w siną dal, Alexander odezwał się:

- Oto sposób na zrobienie porządku. Dać każdemu broń i niech się wystrzelają.

Na ekranie przesuwały się napisy końcowe. Edward wcisnął guzik pilota, żeby przewinąć kasetę.

- Muszę z tobą pogadać - powiedział tonem Gary'ego Coopera. - Powiedz szczerze, czy jeszcze nadaję się do tej roboty?

- Musisz odpocząć - odpowiedział Alexander.

- Myślisz, że żyję pod kloszem?

- Mori przeprowadziła dla nas dzisiaj krótki sondaż telefoniczny. Po wczorajszym „Twarzą w twarz z dziennikarzami” twoje notowania spadły bardziej, niż gdybyś skakał ze skały z cienkim bluszczem owiniętym wokół kostki. Osiemdziesiąt pięć procent Brytyjczyków uważa, że nie masz pojęcia o codziennych problemach przeciętnej kobiety czy mężczyzny żyjących dzisiaj w tym kraju.

Edward stał przy oknie. Nagle odwrócił się, jakby miał wygłosić szekspirowski monolog do grupy maturzystów.

- Straciłem kontakt z narodem - uniósł dłonie, jakby szukając na nich śladów krwi, i wyszeptał - osiemdziesiąt pięć procent! A pozostałe piętnaście? Kim są ci, według których jestem na bieżąco?

Alexander odparł:

- To tacy jak my. Ci, którzy pociągają za sznurki.

- Ależ to bez sensu. Przecież mam kontakt ze zwykłymi ludźmi. Rozmawiam z Wendy i Jackiem Przy Drzwiach - wykrzyknął premier.

- Co za „Jack Przy Drzwiach”? - zapytał Alexander.
- Posterunkowy Jack Sprat - odpowiedział Edward. - Oglądał *W samo południe* ponad dwadzieścia razy i ten żart primaaprilisowy to był jego pomysł. I to jego matkę napadnięto.

Godzinę później Jack odebrał przez słuchawkę wiadomość, że zaraz po służbie ma się udać na górę do salonu premiera. Informację przekazała mu posterunkowa Harris - młoda czarnoskóra kobieta, którą poznał kiedyś na szkoleniu z posługiwania się bronią ręczną.

Po chwili przekomarzania się i snucia żartobliwych domysłów, po co go wzywają, Jack zdjął hełm i pozwolił się zaprowadzić na górę.

Premier przywitał się z nim i przedstawił go Alexandrowi McPhersonowi, który powiedział:

- Gratulacje, posterunkowy Sprat. Wygrał pan tygodniową wycieczkę!

- Dokąd?
- Wycieczka objazdowa po kraju.
- Mam jechać sam? - spytał Jack. Zastanawiał się, czy w ogóle ma coś do powiedzenia.
- Nie - odparł premier. - Ze mną. Wyjeżdżamy dziś wieczorem.

W ciągu godziny Jack został wypytany o różne rzeczy pod kątem jego przydatności do planowanej misji. Wydawał się idealnym kandydatem: bez żony, bez dzieci, bez żadnych zobowiązań z wyjątkiem starej matki mieszkającej w odległym Leicester. Nikt w cywilu nie będzie za nim tęsknił. v

Alexander podrzucił Jackowi egzemplarz raportu służb bezpieczeństwa. Jego objętość była imponująca.

Jack przejrzał raport i pomyślał: „Wyglądam tu jak ponury dupek”.

- A tak przy okazji - swobodnym tonem zagadnął Alexander - ma pan jakieś poglądy polityczne?

- Mogę zacząć dzień jako komunista, zjeść obiad z socjalistą i iść spać jako konserwatysta - odparł Jack.

Edward roześmiał się i zapytał:

- I vice versa?

- O nie, sir. Nie mógłbym zacząć dnia jako konserwatysta.

- Zawsze zazdrościłem Jezusowi pobytu na pustyni. Tam zapadły bardzo ważne decyzje - powiedział Edward.

Alexander warknął:

- Dobra, dobra. Ale nie możemy cię puścić na czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Możesz mieć najwyżej tydzień.

- Będziemy musieli się bardzo spieszyć, żeby objechać kraj w tydzień. Zwłaszcza jeśli mamy jeździć środkami komunikacji publicznej.

- Komunikacji? - zdziwił się Edward. - Nie prościej by było używać helikoptera?

- Jak ci wszyscy zwykli ludzie, których poglądy tak chcesz poznać? - uszczypliwie zapytał Alexander.

- A czemu to ma służyć, sir? - zapytał Jack. - Jaki jest cel wyprawy?

Edward wpadł w konsternację.

- Właściwie nie wiem. Chyba chcę się dowiedzieć, jak wygląda życie większości Brytyjczyków.

- Czy trasa jest wyznaczona? - dopytywał się Jack. Gdy nie uzyskał odpowiedzi, ciągnął: - W porządku. To muszę pojechać do domu się spakować.

- A ja muszę jechać do Edynburga - dodał premier z przejęciem.

Od dzieciństwa całe jego życie przebiegało według ustalonego planu. Nawet w czasach największej bez troski - kiedy zapuszczał włosy i grał na gitarze w grupie rockowej - musiał planować czas, odbywać próby, a teraz, kiedy lata swobody już minęły, jego tak zwany wolny czas był planowany co do minuty. Często wygłaszał przemówienia

o wolności. Oto wreszcie ma okazję doświadczyć jej na własnej skórze.

Z pomocą jednego z urzędników szybko zaplanowano szczegóły wyprawy. Oczywiście nieobecność premiera nie pozostanie niezauważona. Oficjalne wyjaśnienie będzie brzmiało, że Prezes Rady Ministrów prowadzi symulację działań rządu po wybuchu jądrowym, i dlatego znajduje się w tajnym bunkrze głęboko pod ziemią na terenach Wiltshire.

Wicepremier Rob Phillpot został wezwany z pięciogwiazdkowego hotelu w Belize, gdzie uczestniczył w konferencji poświęconej spłacie długów krajów Trzeciego Świata.

Alexander wziął na siebie przekazanie tej wiadomości Adele i zapewnienie jej, że Ed kocha ją nad życie.

- Czego więc się ode mnie oczekuje? - zapytał Jack. - I na jak długo?

- Obstawy - odparł Alexander.

Edward wtrącił szybko:

- I będziesz się zajmował pieniędzmi i biletami, kiedy ja będę bratał się z ludem.

Jack omal nie parsknął śmiechem, widząc, że premier cieszy się jak dziecko. Zdaniem Jacka w społeczeństwie nastąpiły drastyczne zmiany na gorsze, odkąd rozpoczął karierę policjanta. Dawniej większość par pozostawała w związkach małżeńskich (słowo partner oznaczało współnika w interesach), starzy mężczyźni i kobiety przechadzali się po ulicach wolni od trosk, a dzieci nie wrzeszczały: „Zrobić miejsce dla śmiecia!” na widok zbliżającego się munduru.

Wszyscy trzej - Jack, Edward i Alexander - przeszli do sypialni i pootwierali szuflady i szafy Adele. Twarz premiera co prawda niczym szczególnym się nie wyróżniała, ale każdy od Huddersfield po Soweto rozpoznalby go natychmiast, więc trzeba go było przebrać.



Przekształcenie Edwarda w Edwinę okazało się zaskakująco proste. Nie bez znaczenia było to, że Edward i Adele byli bardzo podobnej budowy i wzrostu oraz nosili buty tego samego rozmiaru. Do tego czasem, w dni, kiedy włosy w ogóle nie chciały się jej ułożyć, Adele wkładała perukę.

Adele często chwaliła się swoim przyjaciółkom feministkom:

- Eddy jest taki delikatny.

Cała transformacja Edwarda w Edwinę (łącznie z dokładnym goleniem oraz korygowaniem kształtu brwi) trwała tylko trzydzieści pięć minut, a trwałaby jeszcze krócej, gdyby Edward się nie upierał, że chce włożyć pas do pończoch i pończochy. Żaden z mężczyzn nie miał pojęcia, czy koronkowy fioletowo-czarny pas Adele ze zwisającymi podwiązkami powinno się włożyć pod czy na pasujące do niego majtki.

Dopiero Jackowi udało się namówić opierającego się premiera do zrezygnowania z pończoch i wysokich obcasów na rzecz rajstop i mokasynów - zwrócił mu uwagę, że pończochy i obcasy nadają się na kolację przy świecach w walentynki, ale na pewno nie sprawdzą się podczas włóczęgi po Brytanii.

To samo zadanie czekało Jacka, gdy doszło do wyboru ubrań. Musiał przekonać Edwarda, że zwiewne sukienki, które Adele nosiła w ich willi w Toskanii, odsłaniają zbyt dużo męskiego w tym wypadku ciała. Poza tym delikatnie napomknął, że w Brytanii w kwietniu może jeszcze spaść śnieg. W końcu wybrali garnitur z szerokimi spodniami z kolekcji Nicole Fahri, dwa kaszmirowe golfy (różowy i niebieski), spodnie od dresu DKNY i długi sweter zasłaniający krocze.

Dla Jacka premier cały czas wyglądał na faceta w ciuchach swojej żony. Jednak po włożeniu peruki z czarnymi lokami oraz zastosowaniu szminki i podkładu Max Factor Edward mógłby minąć się z własną

żoną na schodach i nie zostać przez nią rozpoznany.

Nim opuścili dom, ustalono kilka zasad. Tylko Jack będzie miał komórkę i poza wyjątkowymi sytuacjami nie będą się kontaktować z Downing Street 10. Alexander wszystkim się zajmie - poinformuje Adele, że jej mąż jest w bunkrze, i nie dopuści do podejmowania ważnych decyzji przez Rona Phillipota pod nieobecność premiera.

Posterunkowa Harris życzyła Jackowi Spratowi oraz jego towarzysze dobrej nocy i jeszcze chwilę spoglądała za nimi, gdy przechodzili przez bramę i w delikatnej mżawce odchodzili w dal. Poczula lekkie ukłucie zazdrości - to ona powinna być tą wspartą na jego ramieniu kobietą.

Kiedy premier i Jack oddalali się w stronę Trafalgar Square, Edward czuł taką lekkość całego ciała, jakby zrzucił z barków wszystkie ciężary wagi państwowej, a one potoczyły się z powrotem w stronę Downing Street.

- Złapiemy metro z Charing Cross, sir.

- Wiesz co, Jack. Jestem dość bezpośrednim facetem i wołałbym, żebyś nie trzymał się tak regulaminu: nie mów do mnie „sir”, dobrze?

Jack skinął głową i zapytał, jak w takim razie ma się zwracać do premiera.

- Przyjaciele mówią do mnie Ed - odparł premier.

- A ja? Jak mam mówić? - dopytywał się Jack.

Czuł, że zranił uczucia premiera, kiedy poluzował uścisk na jego ramieniu, ale nie przeprosił. „Przecież u diabła nie jestem jego kumplem - pomyślał. - Nawet na niego nie głosowałem, a teraz mnie jeszcze wrobili w taszczenie torby komuś, kto wygląda jak Joan Collins dla ubogich. I to na siedem dni!”

- Myślisz, że ktoś nas obserwuje? No wiesz, śledzi? - zapytał premier.

Jack posępnie skinął głową, a w pokoju z widokiem na Tamizę Clarke i Palmer wybuchnęli śmiechem. Palmer powiedział:

- Chyba jasne, że obserwujemy!
- Będziemy wiedzieć, kiedy obrócisz się w łóżku! - dodał Clarke.

Zaśmiewali się już do rozpuku, gdy ujrzeli premiera wychodzącego z Downing Street 10 w kobiecym przebraniu. Palmer nawet powiedział:

- Daję mu pół godziny, zanim rozpozna go jakiś bystrzak.

Clarke odpowiedział ze śmiechem:

- Jack wygląda na nieźle wkurzonego.

Clarke zrobił zbliżenie zdjęcia satelitarnego pokazującego grymas na twarzy Jacka.

- Myślisz, że Jack wie, że go obserwujemy? - zapytał Palmer.

Obaj roześmiali się ponownie w głos, kiedy Jack uniósł głowę, skierował wzrok ponad Nelsonem na kolumnie głęboko w ciemność, w stronę satelitów, które z odległej orbity miały śledzić każdy ich krok, i poruszył wyraźnie ustami, mówiąc: „Cześć, chłopaki!”

## 6.

Norma i James siedzieli obok siebie na kanapie przed kominkiem gazowym. Porzucony odkurzacz wciąż był włączony do kontaktu, choć odkurzona została tylko jedna trzecia wzorzystego dywanu. Na ławie przed nimi leżała popielniczka z niedopałkami, zapalki, dwa kubki kawy oraz sarta albumów ze zdjęciami.

- O, tu Stuart miesiąc przed śmiercią - powiedziała Norma, dźgając żółtym od papierosów palcem w zdjęcie mężczyzny o chudej twarzy z okropnymi zębami.

- Aha - odparł James, bo nie potrafił powiedzieć nic miłego o tym głupkowatym nieudaczniku, który spoglądał na niego z wyrazem bezgranicznego zadowolenia.

- Wygląda na zadowolonego, prawda? - Norma chciała wierzyć, że krótki żywot Stuarta nie był całkiem pozbawiony chwil szczęścia.

James pomyślał: „Jest zadowolony, bo właśnie dał sobie w żyłę”, ale nie odezwał się, a Norma obróciła kartkę i pokazała mu zdjęcie Stuarta z Jackiem w ogrodzie na tyłach domu nr 10. Obaj siedzieli na lśniących rowerach wyścigowych Raleigh. Rowery były w lepszym stanie niż chłopcy - ci uśmiechali się do obiektywu, lecz ich twarze wyglądały na zmęczone.

- Mielśmy trochę kłopotów przez te rowery. Jack nie chciał już wsiąść na swój, jak się dowiedział, że Trev, mój zmarły mąż, buchnął je z wystawy Halfords. Biedny Trev czuł się urażony, bo przecież zadał

sobie tyle trudu: musiał znaleźć odpowiednie narzędzia, żeby się włamać, potem jeszcze wyłączyć alarm w sklepie. Ludzie myślą, że łatwo jest być złodziejem, a to naprawdę ciężka praca. Wszystko trzeba zaplanować, przemyśleć, a i tak człowiek się wiecznie o coś martwi. Tak jak z tymi rowerami. Obiecaliśmy je dzieciom na Gwiazdkę, a dopiero w Wigilię Trevor zadzwonił, że ma w wozie dwie kolarzówki.

James uniósł ramiona i przeciągnął się swobodnie. Jego ciało z przyjemnością zanurzało się w zagłębienia miękkiej kanapy, gdzie znajdowało prawdziwe odprężenie. Nareszcie miał miejsce, w którym czuł się bezpiecznie. Był wśród swoich.

- Norma - powiedział. - Nie znasz kogoś, kto chciałby wynająć pokój lokatorowi?

Norma głaskała twarz Stuarta na fotografii. Za życia nie lubił być dotykany. Wiele bójek, w które się wdawał, wynikało z tego, że ktoś obcy gdzieś niechcący o niego zawadził.

- A dla kogo? Dla ciebie?

- No. Mamę wczoraj wzięli do hospicjum - James przybrał minę prawie sieroty i udał, że ściera z twarzy niewidoczne łzy. - Nie mogę tam sam, w domu, Norma.

- Mówiłeś, że twoja matka nie żyje - odparła Norma surowo.

James na poczekaniu odegrał płaczącą scenę: pomyślał o swoim psie o imieniu Sheba, który wpadł pod samochód mleczarza, i zapłakał gorzko.

Takie jawne okazywanie uczuć wprawiło Normę w zakłopotanie. Po minucie objęła chłopca ramieniem i powiedziała:

- No to jak, twoja matka żyje czy nie?

James szlochał:

- Prawdziwa mama nie żyje, a przybrana umiera.

- Co jej jest? - spytała Norma, która była znawczynią śmiertelnych chorób.

James wyjął z kieszeni równiutko złożony w kosteczkę papierowy ręcznik i otarł nim łzy.

- Rak wątroby - odpowiedział.

Jego długie czarne rzęsy były posklejane od łez.

- Ma innych krewnych? - zapytała.

- Całą masę - jęknął James, pociągając nosem i bez trudu potrafił sobie wyobrazić swoją nieistniejącą przybraną matkę na białym łóżku szpitalnym. Wyglądała trochę jak Evita w wykonaniu Madonny.

- Możesz zamieszkać ze mną jakiś czas - powiedziała Norma. - W pokoju z osłami.

- Czasem podpalam sobie trawkę. To mi pomaga na artretyzm - uprzedził.

Norma, Trevor i Stuart często raczyli się skrętami, kiedy Jack wychodził, żeby zajmować się którymś z tych swoich nudnych hobby: fotografią albo tańcem towarzyskim. Kilka najszcześniejszych chwil w jej życiu wiązało się z potajemnym ćpaniem w towarzystwie męża i starszego syna. W tej konspiracji wytwarzała się między nimi prawdziwie rodzinna więź. W jakim podnieceniu wszyscy troje ganiali po domu, otwierali okna i rozpylali odświeżacz powietrza przed przyjściem Jacka!

Norma obróciła kolejną kartkę i zaskoczony James zobaczył uśmiechniętą twarz byłego prezydenta Billa Clintona. W tle widać było drzwi frontowe Downing Street 10 i policjanta w koszuli, kamizelce kuloodpornej i hełmie.

Norma wskazała policjanta palcem i powiedziała zawstydzona:

- To nasz Jack. Poznałeś go. Co tam, dowiedz się prawdy: jest głupą, ale i tak go kocham.

Kiedy James otrząsnął się z szoku, powiedział:

- Zdarza się w najlepszej rodzinie. Nie da się przewidzieć, na kogo wyrosną dzieci.

Śpiew ptaszka przypomniał Normie o porze karmienia Petera. Wstała i poczłapała w kapciach do kuchni, zostawiając Jamesa nad zdjęciami.

Chłopak z podziwem oglądał Jacka Sprata w towarzystwie takich osób, jak Nelson Mandela, Bobby Charlton, Liam Gallagher, Posh i Becks oraz różnych staruchów, których twarze mgliście kojarzył, ale nazwisk nie pamiętał.

Kiedy Norma wsypywała karmę do miski Petera, słyszała, że James rozmawia z kimś przez komórkę.

- No to, Pete, mamy lokatora - powiedziała. - Ma młode nogi, będzie nam pomagał i dbał o nas.

James krzyknął z pokoju:

- Normo, mogę tu zaprosić kilku kumpli?

Norma zwróciła się do Pete'a:

- Jak myślisz, pozwolić mu?

Peter jednak nie wydawał się zainteresowany, więc Norma odkrzyknęła:

- Dobrze.

Poszła na górę, żeby zmienić kapcie na buty na obcasach. Tak dawno nikt do niej nie zaglądał.

Ciocia Jacka, Marilyn, powiedziała mu dwa tygodnie przed śmiercią:

- Wiem o tobie tylko tyle, że lubisz buraczki.

Istotnie, buraczki odgrywały poważną rolę w ich rozmowach i relacjach rodzinnych. Podczas świątecznego obiadu ciocia Marilyn zwykle wołała: „Pilnujcie buraczków, jest tu nasz Jack!”, albo: „Właśnie kupiłam trochę buraczków dla naszego Jacka, zawołajcie go!”

Inne kobiety, wśród nich kilka policjantek, znały Jacka z namiętności bynajmniej nie do buraczków.

Jack zgłębiał tajniki sztuki miłości oraz kobiecej psychologii z takim samym zapałem, z jakim zajmował się każdym zagadnieniem, które go interesowało. Zaopatrzył się w mapę żeńskich narządów płciowych i studiował ją tak długo, aż potrafił się po niej poruszać po

omacku. Ciągle na nowo zaskakiwało go, że zna budowę ciała kobiet lepiej niż one same.

Przyjmował za pewnik, że większość kobiet nie wie, jak obchodzić się z penisem: albo traktują go jak bombę, która gdy ją chwycić mocniej, lada moment wybuchnie, albo jak staroświecką dźwignię zmiany biegów, którą bezkarnie można wyginać we wszystkie strony.

Kobiety na ogół ciepło go wspominały, bo lubił je i ich ciała i mówił im prawdę: że nie potrafi nikogo pokochać. To była wada genetyczna, na którą nic nie mógł poradzić. Mógł tylko czekać, aż nauka wynajdzie coś, co oszczędzi mu życia bez miłości.

Jack i premier stali w ciemnościach w nieruchomym wagonie na Northern Line. Edward nie cierpiał ciemności. Kiedyś zwiedzał zabytkową kopalnię w grupie oprowadzanej przez górnika w nienagannie czystym mundurze i lśniącym hełmie. Kiedy dotarli do najgłębszego szybu i zgięci w pół oglądali złoża węgla przez ochronny ekran z pleksi, nagle wysiadły światła. Premier wrzasnął w tych wrogich ciemnościach jak mała dziewczynka. Górnik roześmiał się i powiedział:

- A któż to ma cykora? Kto tak się boi ciemności?

Edward nie miał dość odwagi, by w tak bardzo męskim otoczeniu przyznać się, że to on jest tym tchórzem i że od nocy po pogrzebie mamy nie potrafi zasnąć w ciemności.

Wraz z resztą zwiedzających przykucnął i czekał, aż na dół zostanie sprowadzony zapasowy generator.

Teraz trzymał się uchwytu zwisającego z sufitu wagonu i czuł, jak między watowanymi miseczkami biustonosza jego żony po skórze sływa mu pot. Jakiś szalencieczek zaczął wykrzykiwać, że sir Cliff Richard namówił Hanka Marvinę, żeby został świadkiem Jehowy.



Gdzieś dalej w tym samym wagonie jakiś mężczyzna, z akcentem tych ze szkół publicznych, powiedział:

- Ostatni raz próbuję jechać tą pieprzoną cholerną skurczysyńską głównianą linią. Szybciej, kurde, dojdę do Camden Town na kolanach.

Jakaś kobieta odezwała się przez łyzy:

- Proszę, Roddy, musimy się wynieść z miasta.

Minuty mijały i pasażerowie niepewnie zaczęli się wdawać w rozmowy. Szaleniec poinformował wszystkich, że David Beckham to nowy Mesjasz, a Jeremy Paxman - Antychryst.

Z głośnika w wagonie wydobył się przeraźliwy gwizd, a po chwili głos z południowolondyńskim akcentem lakonicznie obwieścił:

- Panie, panowie i inni, Londyńskie Przedsiębiorstwo Komunikacji z przykrością informuje, iż z powodu incydentu spowodowanego przez jednego z pasażerów postój pociągu potrwa około dwudziestu minut. Powtarzam: dwadzieścia minut. Londyńskie Przedsiębiorstwo Komunikacji przeprasza za wszelkie niedogodności.

Mało kto bywał w mieszkaniu Jacka na Ivor Street w Camden Town. Jack lubił prawie wszystkich, a nawet prawie pokochał kilka osób, ale dzielenie przestrzeni mieszkalnej z inną istotą ludzką przekraczało jego możliwości. Zbyt wielką wagę przykładał do drobiazgów codziennego życia. Denerwowało go, gdy ręcznik nie wisiał dokładnie na środku podgrzewanego wieszaka w łazience, i nie znosił, gdy słoik z piklami nie stał równo na swoim miejscu (ustawiony według wysokości) obok innych na półce z dżemami i przetworami. Każdy przedmiot w czterech małych pomieszczeniach miał swoje stałe miejsce i Jack czuł się najlepiej, kiedy każda łyżeczka leżała w odpowiedniej przegródce i każda płyta spoczywała na półce w odpowiednim miejscu, wynikającym z alfabetycznego porządku.

Raz wpuścił do swojego mieszkania chaos pod postacią Gwendolyn Farmer. Była to niezwykle atrakcyjna, choć uparta kobieta, z którą Jack chodził trzy miesiące w 1988 roku, kiedy skierowano go do New Scotland Yardu z zadaniem podsłuchiwania rozmów telefonicznych. Gwendolyn zarzuciła mu, że jest żonaty. Tylko tak potrafiła bowiem wyjaśnić to, że nigdy jej do siebie nie zapraszał. Mieszkała zaledwie o dziesięć minut od niego, czemu więc zawsze szli do niej, żeby z zapalem i fantazją uprawiać seks?

Któregoś dnia w chwili słabości Jack skapitulował i zaprosił ją do siebie, ale nie minęło pół godziny od chwili, gdy przekroczyła próg (lekką zmieniła położenie wycieraczki, a potem przesunęła poduchę na kanapie trochę w prawo), a ich związek uległ rozpadowi.

Gwendolyn wdarła się w spokojny, uporządkowany wszechświat Jacka niczym siejąca spustoszenie bestia. Wniosła z sobą nieporządek i zamęt: w takim świecie planety się zderzały, Słońce krążyło wokół Ziemi, rzeki płynęły pod prąd, psy spółkowały z kotami, zmarli wracali do życia i czas płynął wstecz.

Gwendolyn nigdy się nie dowiedziała, co zrobiła źle. Z jej punktu widzenia nic się nie wydarzyło: weszła do nienaturalnie czystego mieszkania, rzuciła płaszcz na kanapę, zdjęła buty, usiadła wygodnie, zapaliła papierosa i opowiedziała Jackowi o swoim dniu w Wydziale Osób Zaginionych.

Następnego dnia zapłakana zwierzała się koleżance:

- Zrobił się bład jak ściana, jakiś taki roztrzęsiony, i ni z tego, ni z owego wyprosił mnie. Co ja takiego zrobiłam?

Jack omal nie poprosił premiera, żeby poczekał przed drzwiami, na ulicy, ale doszedł do wniosku, że ten żaloszny facecik w groteskowym kostiumie mógłby łatwo paść ofiarą jakiegoś szukającego okazji przechodnia.

Zebrął się więc w sobie i wpuścił premiera przez próg do wąskiego przedpokoj. Sam wszedł za nim i zamknął za sobą drzwi.

- Rany, ile książek! - zauważył Edward. - Wszystkie przeczytałeś?

- Nie, sir. Używam ich na podpałkę i jako warstwy dźwiękoszczelnej - odparł Jack z wyraźnym sarkazmem.

Premier poczuł coś w rodzaju ulgi. Nie wiedział dlaczego, ale nie czułby się swobodnie, gdyby miał spędzić tydzień w towarzystwie kogoś, kto naprawdę przeczytał dzieła zebrane Marksa, Engelsa i Winstona Churchilla.

- Ułożone według jakiegoś klucza - powiedział Edward, przesuwając palcem po grzbietach cennych książek Jacka.

- Systemem Deweya, sir - poinformował go Jack, zzymając się w duchu na widok swojego gościa, który wyjął *Prawa człowieka* Toma Paine'a i włożył w złe miejsce, między *Anglików Jeremy'ego* Paxmana a książkę kucharską *Dwie grubaski* Jennifer Paterson. Jack zostawił premiera przy kolekcji płyt i pospieszył do sypialni, gdzie spakował niewielką torbę. Wyjął jeszcze sztruksową marynarkę - jedną z trzech wiszących w szafie z odzieżą sportową w foliowych workach prosto z pralni - po pięciu minutach był znowu w salonie i skierował się wraz z premierem w kierunku drzwi.

- A więc nie ma żadnej pani Sprat? - zapytał premier, kiedy czekali na autobus nr 73, który miał ich zawieźć na rung's Cross.

- Nie, sir - odparł Jack.

Premier wskazał podbródkiem kolejkę na przystanku i wyszeptał:

- Musisz w końcu przestać mi mówić „sir”. To przecież wyraźnie nas zdradza. Mów do mnie „Edward”... nie... chyba „Edwina” będzie bardziej odpowiednie w tych warunkach - roześmiał się dziewczęcym śmiechem. - Będę mógł usiąść na piętze w autobusie?

Jack oswajał się w myślach z imieniem „Edwina”.

Tłum na King's Cross przypominał scenę ze starego rosyjskiego filmu o Rewolucji Październikowej - panował tam podobny chaos i poczucie bezsilności. Jakiś skład wykoleił się przed samą stacją Peterborough, do tego wysiadły komputery w punkcie kontroli lotów w Swanwick, i w efekcie na dworcu kłębił się tłum ludzi pragnących dostać się do Edynburga nocnym pociągiem. Jack chwycił premiera za rękę i pociągnął go za sobą.

Przypadkowy przechodzień uznałby, że to troskliwy mąż tak pilnuje obrażonej żony, a uważniejszy obserwator z pewnością by zauważył, że ta żona ma dziwnie duże jabłko Adama, które tu i ówdzie przydałoby się ogolić.

Jack podniósł wzrok na tablicę odjazdów i przeczytał, że pociąg do Edynburga, który chcieli złapać, jest opóźniony. Nie podano wielkości spóźnienia, co znaczyło, że trzeba czekać na następny komunikat. Ponieważ nie było wolnych miejsc siedzących, ułożyli się na dworcowej posadzce. Podczas długiego czekania Jack kilka razy zostawiał premiera, żeby sprawdzić, czy z bagażami wszystko w porządku, oraz stawać w kolejkach po coś do jedzenia i picia. Edward chwilami zapominał, że teraz jest kobietą, i siedział z szeroko rozsuniętymi nogami lub przekrzywioną peruką. W takich chwilach Jack musiał mu przypominać o nowej płci.

Jakaś staruszka siedząca na walizce odezwała się do premiera:

- Zapłaciłam sto trzydzieści funtów za bilet i ciągle tu sterczę! Już pięć godzin! Nie podają żadnych komunikatów, nikt nie udziela pomocy. W ogóle nie widać żadnej obsługi. Wszędzie bajzel na kółkach. Ten kraj potrzebuje dyktatury, ot co. Taki Mussolini to przynajmniej potrafił sprawić, że pociągi jeździły jak w zegarku.

Zrobiła się już piąta rano, a oni dopiero wsiadali do pociągu. Jack taszczył obie torby i przepychał się przez napierający tłum, ciągnąc za sobą premiera. W pociągu przeciskali się dość długo między siedzeniami w poszukiwaniu dwóch miejsc obok siebie, aż w końcu usiedli przy czteroosobowym stoliku - naprzeciwko, po przekątnej. Jeden z pasażerów, osobnik o ponurym wyglądzie, ubrany w wojskową kurtkę w barwach ochronnych, wyjął reklamówkę z sześcioma wysokimi puszkami mocnego piwa Mc Ewan i postawił ją przed sobą na blacie. Nie wróżyło to nic dobrego. Drugą towarzyszącą im osobą była młoda kobieta z ekstrawagancką krótką fryzurą. Otworzyła książkę *Systemy zarządzania w warunkach globalizacji*.

Wkrótce wszystkie miejsca w wagonie były zajęte, ale wciąż wpychali się pasażerowie z ciężkimi walizkami, torbami i niekształtnymi tobołami.

Kilkakrotnie premier omal nie stracił peruki, aż wreszcie Jack zaproponował, żeby zamienili się miejscami. Głęboko wpojone zasady dobrego wychowania nie pozwalały premierowi patrzeć obojętnie na stojące kobiety. W pierwszym odruchu chciał ustąpić miejsca, jednak porę przypomniał sobie, że teraz sam jest kobietą, a poza tym przecież kobiety, takie jak Adele, całe lata ostro walczyły o prawo do stania w autobusach i pociągach, kiedy mężczyźni wygodnie sobie siedzą.

Przybliżył więc twarz do szyby i wpatrywał się w szary świt, gdy pociąg mijał przedmieścia północnego Londynu. Zaskoczył go widok zagrazonych ogrodów i podwórek na tyłach mijanych domów oraz zaniedbanych, walących się szop i przybudówek. Czemu tylu ludzi trzyma stare lodówki, kuchenki i inne graty w ogrodach? Czyżby liczyli, że to się jeszcze kiedyś na coś przyda? Zapytał o to Jacka.

Mężczyzna w wojskowej kurtce powiedział:

- Za wynajęcie kontenera trzeba wybulić sto pięćdziesiąt funtów, odkąd ci na górze wprowadzili pieprzony podatek od składowania odpadów.

Po tych słowach przedstawił się. Nazywa się Mick i jedzie na ślub brata. Zapytał premiera, po co jedzie do Edynburga.

Edward spuścił wzrok i powiedział cicho:

- Na grób matki.

- Poważna sprawa - stwierdził Mick, opróżniając trzecią puszkę. - A to pani mąż? - skinął głową na Jacka.

- Nie - skłamał premier. - Brat.

- A mąż gdzie? - naciskał Mick.

- Nigdy nie miałam męża - kłamanie przychodziło Edwardowi z łatwością. Dużo trudniej było mówić prawdę. W świecie polityki jedno prawdziwe stwierdzenie może spowodować zwyczaj lub spadek kursu funta.

- Ja tam nie mam szczęścia do kobiet - powiedział Mick głosem, w którym slychać było nutę goryczy. - Nie wiem, co robię źle. Zapraszam je, stawiam drinki, piwo, wódkę, koktajle. Kupuję im nawet żarcie, jak są głodne. No to powiedz mi, kotku, co takiego źle robię?

Młoda kobieta z ekstrawagancką fryzurą szepnęła do siebie: „O Jezzu!”, i złożyła książkę.

- Mój brat nie powinien się z nią żenić. To taka pokraka z Easterhouse. Chce tylko jego forsy, on jest podwykonawcą.

- A co robi? - zapytał premier.

- Nic - roześmiał się Mick. - Nie musi nic robić, bo zleca robotę innemu podwykonawcy, a tamten jeszcze następnemu, kapujecie? - Mick śmiał się dłużej i szczerze.

Jack zamknął oczy, pozwalając, by miarowy stukot pociągu toczącego się po szynach wykonanych przez jakiegoś podwykonawcę wprawił go w błogi stan półświadomości. Słyszał, jak Mick mówi do premiera, że byłby niezłym facetem dla „swojej zoneczki”, i proponuje

spotkanie na drinka po ślubie brata. Właściwie to Edwina mogłaby też pójść na ten ślub. Byłby dumny, pojawiając się w kościele z Edwiną u boku. Może w tej chwili zadzwonić do brata i zamówić dodatkowy goździk.

Edwina usiłowała się wykręcić:

- To naprawdę miłe z pana strony, ale będę w Edynburgu krótko i... no... będziemy z Jackiem zajęci... to miłe, ale nie warto zamawiać goździka.

Widać było, że Mick poczuł się urażony.

Premier przeprosił siedzącą obok kobietę. Ta niezgrabnie się podniosła i stanęła w przejściu z komórką w ręku. Właśnie wysyłała sms-a i nie przestawała wprawnie przyciskać klawiszy, gdy premier udawał się do toalety na końcu wagonu. Potrzebował ustronnego miejsca, gdzie mógłby spokojnie pomyśleć nie tylko o podatku od składowania odpadów i jego nieestetycznych konsekwencjach, ale też o tym, że w ubraniach żony czuje się lepiej niż we własnych.

Usiadł na desce klozetowej i zaczął szukać w torebce szminki i podkładu. Minęło już co najmniej dziesięć godzin, odkąd się golił, i czuł, że na brodzie już zaczyna się pojawiać zarost. Rozsmarował podkład po twarzy i wmasowywał go w skórę tak długo, aż cała twarz przypominała maskę biszkoptowego koloru. Potem ostrożnie obrysował usta szminką i przećwiczył przed lustrem kilka kobiecych min.

Po ułożeniu czarnych loków, które miały skłonność do sterczenia na boki, stwierdził, że jest raczej typem blondynki niż brunetki i że jak tylko dotrą do Edynburga, poprosi Jacka o zmierzenie obwodu głowy i wyśle go po nową perukę - coś w stylu Marilyn Monroe z filmu *Pół żartem, pół serio*. W obecnej sytuacji szczególnie silnie utożsamiał się z bohaterami tego filmu. A kiedy Jack będzie na zakupach, Edward mógłby też przebrać się w coś ciekawszego. Skoro już musi udawać kobietę, niech chociaż będzie zmysłowa i pociągająca. Stanowczo nie

ma zamiaru spędzić całego tygodnia jako kobieta w zwykłych, nijakich ciuchach. Wciąż żałował, że dał się odwieść od włożenia butów na obcasach. Był przekonany, że wystarczyłaby odrobina praktyki, żeby sobie w nich poradzić.

Jack wykorzystał nieobecność premiera na rozmowę z Mickiem. Pochylił się w jego stronę i cicho, ale stanowczo powiedział:

- Jeszcze jednym słowem odezwiesz się do mojej siostry, a urwę ci łeb i rzucę lwom z zoo na pożarcie.

Jedną z niewielu rzeczy, jakie Jack wiedział o Edynburgu, oprócz tego, że to siedziba legendarnego króla Artura i miejsce corocznego Festiwalu, było to, że jest tam zoo.

Mick głośno pociągnął łyk piwa z piątej puszki i z szacunkiem skinął głową. Sam postąpiłby tak samo, gdyby to jego siostrę jakiś obcy facet w pociągu zapraszał na wesele.

Wtem usłyszeli gwałtowne dobijanie się do drzwi toalety, a po chwili zachrypnięty głos:

- Kto tam, kurde, siedzi? I czego tak długo?!

Premier czyścił właśnie zęby, więc nie mógł przerwać. Miał za sobą dopiero sto dwadzieścia dwa ruchy szczoteczką i musiał jeszcze wykonać siedemdziesiąt osiem. Myjąc zęby, myślał o Adele - o tym, jak przyjmie wiadomość, że on znajduje się w bunkrze i że przez tydzień nie będzie z nim żadnego kontaktu. Od pierwszego spotkania nigdy nie spędzili ani jednego dnia - nawet pół dnia - bez wspólnej rozmowy. Miał nadzieję, że Adele będzie pamiętała o lekarstwach. Bez nich stała się kimś zupełnie innym - nie pewną siebie, znaną z pierwszych stron gazet osobą, którą znał i kochał, kobietą kroczącą po międzynarodowej arenie niczym prawdziwy gigant, ale żalostną, jęczącą kreaturą, która nie chce wyjść z łóżka i rozpacza, że ma za grube uda. Zapyta Jacka, czy nie dałoby się zadzwonić do Wendy i poprosić, żeby



dopilnowała, by Adele dwa razy dziennie łykała dwadzieścia pięć miligramów litu.

Jack siedział z zamkniętymi oczami wygodnie rozparty i przysłuchiwał się młodej kobiecie z przeciwka, która wydzwaniała z komórki do różnych firm.

- Fergus, jestem w pociągu. Słuchaj, nie zdążę na spotkanie z tymi od drobiu bez dziobów i łapek. Będziesz mnie musiał zastąpić. Oni będą chcieli przeforsować wskaźnik uboju jeden na pięć. To podpucha. Jak kurczaki nie mają łapek, mogą przeżyć jeszcze jakieś czterdzieści osiem godzin, więc wskaźnik... Halo, Fergus... nie słyszę...

Mick odezwał się:

- Lubię wszamać kawałek kurczaka na obiad.

Gdy Jack się przebudził z niespokojnej drzemki, pociąg mknął przez Northumbrię. Po podłodze wagonu wały się różne opakowania, a plastikowe kubki przetaczały się tam i z powrotem między siedzeniami, niczym zielsko miotane wiatrem w miasteczku na Dzikim Zachodzie. W powietrzu unosił się zapach fast foodów i nieprzyjemna woń spocnych ludzkich ciał. Jack chętnie by się przeszedł po pociągu, żeby rozprostować kości, ale kiedy się rozejrzył, zauważył, że musiałby omijać śpiących na podłodze pasażerów i ich bagaże. Chciałby już dojechać do Edynburga. Nigdy nie przepadał za wiejskim krajobrazem. Kiedy był dzieckiem, matka nawet straszyla go wywiezieniem z miasta. „Jak będziesz niegrzeczny, wyślę cię na wieś!” - groziła.

## 7.

Norma niewiele miała w życiu do czynienia z obcokrajowcami. Owszem, był Czarny Charlie w klubie robotniczym. Trzeba mu przyznać, że miał charakter - zawsze żartował, że nie musi się opalać, i nie obrażał się, gdy rzucali w niego bananami. Jednak odkąd Charlie niespodziewanie wpadł w szal i pod eskortą policji został odstawiony do Towers, Norma nie miała już kontaktów z czarnymi, brązowymi czy żółtymi. Teraz nagle miała wrażenie, że jej salon jest ich pełen. Ledwie można się było ruszyć. Dwoje z nich siedziało na biurku Jacka, machając nogami i śmiejąc się z opowieści Jamesa o tym, jak pożyczył sobie mercedesa klasy C sprzed budynku Łoży, i okazało się, że bryka należy do szefa wydziału narkotyków.

- Niegrzeczny chłopak! - stwierdziła Norma. Dobrze wiedziała, co znaczy „pożyczył”.

James podniósł się z podłogi, gdzie siedział ze skrzyżowanymi nogami, i cmoknął ją w policzek.

- Dzięki, mamó - powiedział, a kiedy ona śmiała się rozbawiona, zapytał: - Możemy sobie tu zajarać?

W pierwszej chwili ją to zaskoczyło, bo większość chłopców już paliła i w pokoju było mnóstwo dymu. Zresztą sama miała w ręku papierosa Lambert & Butler.

- Nie problem trochę trawki, prawda?

Norma widziała niedawno w telewizji coś o policjantach, którzy palili na ulicy marihuanę jako lek na bóle reumatyczne.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Zapal jedną, a ja też wezmę ma-  
cha.

Kilka godzin później klatkę Petera w kuchni spowijała gęsta chmura  
dymu z marihuany. Ptasek śpiący na drewnianej żerdce miał wspania-  
ły sen: szybował wysoko ponad szczytami Gór Błękitnych w odległej  
Australii, której nigdy nie widział, ale zawsze za nią tęsknił.

Jack prawie nigdy nie okazywał nieposłuszeństwa. Raz odmówił  
Normie pójścia po papierosy, bo nie mógł się oderwać od *Gron gniewu*,  
i raz wydał na słownik pieniądze przeznaczone na basen. Jednak w  
porównaniu ze Stuartem, który większość dziecięcych lat spędził na  
awanturach, bójkach i wrzaskach, Jack był niemal święty: schludny,  
czysty, grzeczny, spokojny. Jeśli nie siedział przy biurku, był w swoim  
pokoju na górze i czytał. Nie szukał towarzystwa rówieśników, ale  
czasami wpadał po niego chłopiec, który nazywał się John Bond, i  
razem szli do dzielnicowej biblioteki. Norma kiedyś stanęła pod  
drzwiami pokoju Jacka i przysłuchiwała się rozmowie chłopców. Mówi-  
li o jakichś niezrozumiałych rzeczach, używali słów, które brzmiały  
dla niej jak obcy język. To był angielski, ale nawet na torturach nie  
potrafiłaby przytoczyć nic z tego, co słyszała. Czasami zastanawiała  
się, czy u Jacka z głową wszystko w porządku. Nauczyciel w gimna-  
zjum powiedział jej kiedyś podczas koncertu z okazji Bożego Narodze-  
nia, że Jack jest wyjątkowo rozwinięty jak na swój wiek. Zareagowała  
wybuchem złości:

- Nic nie wie o seksie, a co dopiero, jak to robić!

Nauczyciel jednak wyjaśnił, że mówiąc „rozwinięty”, miał na myśli  
„bardzo bystry” i że Norma powinna być z tego dumna.

Pociąg zatrzymał się w Newcastle. Umęczeni podróżni pozbiali  
swoje rzeczy i zgodnie z zaleceniami nadawanymi przez głośniki usta-  
wili się w kolejce do wyjścia. Młoda kobieta zdjęła z górnej półki

małą walizeczkę, po czym wykonała ostatnie połączenie przed opuszczeniem pociągu.

- Piers, już wysiadam z tego cholernego pociągu. Słuchaj, zanim tam dojadę, sprawdź mi w internecie „oczy kurczące”. Tak, szukaj albo pod „dystrybucja odpadów organicznych”, albo „narządów wzroku” czy coś takiego. Potrzebuję jakiegoś rynku zbytu. Na razie oczy kurczaków to dla nas odpady, ale może uda się tu znaleźć niewykorzystany rynek, może Bliski Wschód? To tylko sugestia. A jak się nic nie da znaleźć, będziemy musieli pomyśleć o hodowli takich bez oczu. Nie potrzebują ich, bo przecież nigdzie nie chodzą... nie robią żadnych robótek ręcznych, czekając na ubój. Tak, wiem, że byłyby ich, co kot napłakał, ale mamy w chłodni pięćdziesiąt stóp sześciennych za dużo i można by to wykorzystać. To mogłaby być naprawdę dochodowa nisza rynkowa.

Jack wyobraził sobie bezokie, bezdziobe i beznogie kurczaki. Zastanawiał się, nie po raz pierwszy, czy takie istoty mają jakiegoś swojego boga, który się o nie troszczy.

Kiedy młoda kobieta toczyła już swoją walizkę po peronie, Jack powiedział:

- No, Edwino, nie chciałbym być jednym z jej kurczaków.

- Ależ Jack, nie możemy się tak roztkliwiać nad zwierzętami. Ta kobieta ma w sobie prawdziwego ducha przedsiębiorczości. Właśnie takich młodych, energicznych ludzi interesu nam trzeba - odparł premier.

Gdy jednak premier ponownie zapadł w drzemkę, gdzieś w okolicach Berwick-upon-Tweed, dopadł go koszmarny trzysekundowy sen: ślepy kurczak przejął kontrolę nad pociągiem i gnali na łeb na szyję na czerwonym świetle z szybkością stu mil na godzinę.

Jack, który już zdążył się zamienić z premierem miejscami, miał nadzieję, że siedzenie obok niego pozostanie wolne, ale gdy pociąg

nabrał prędkości i pokonywał właśnie zakręt, rozrzucając puszki McEwan z całkiem przyjemnym dla ucha brzękiem, przywłókł się jakiś grubas i stanął nad Jackiem. Zadziwiająco miłym głosem sapnął:

- Wolne?

Mężczyzna położył laptopa na stole i opadł na siedzenie. Krawędź blatu wbijała mu się w zakryty białą koszulą brzuch. Pod ciasnym kołnierzkiem na jego masywnej szyi uwiązany był granatowy krawat ze wzorkiem w skrzyżowane kije golfowe. Jacka zastanowiło, gdzie facet kupił ten granatowy garnitur. Zużyto na niego tyle materiału, że starczyłoby na takielunek wielkiego żaglowca.

Szybki oddech tłuściocha zaniepokoił Jacka. W końcu mężczyzna wysapał:

- Typowe! Czekam parę godzin na opóźniony pociąg, a kiedy przyjeżdża, stoję akurat w kolejce do baru „Baguette”.

Jack nie miał akurat ochoty na rozmowy, więc po krótkim śmiechu, który miał wyrażać zrozumienie absurdalności tej sytuacji - człowiek spieszy się na pociąg opóźniony o sześć godzin - zamknął oczy, co w każdej kulturze oznacza, że nie chce się brać udziału w konwersacji. Tłuścioch jednak już choćby z racji swoich gabarytów był skazany na rolę ekstrawertyka i nie potrafił usiedzieć cicho.

Kiedy premier się obudził, poczuł na swoim ramieniu ciężar głowy Micka i wilgotną plamę śliny z jego ust. Delikatnie odsunął tę głowę, ale ona po chwili opadła bezwładnie z powrotem.

Na stoliku leżała wizytówka: „Derek F.M. Baker, Doradca Finansowy, Ubezpieczenia Emerytalno-Rentowe”. Derek Baker wyjaśniał Jackowi, że ubezpieczenia hipoteczne mają złą prasę, ale wciąż stanowią opłacalną ofertę dla nabywców na rynku pierwotnym.

Jack miał wrażenie, jakby znajdował się na planie westernu, w zbiegowisku otaczającym wóz, z którego podróżny handlarz w wymyślnym stetsonie zachwala tłuszcz węża.

Gdy nie udało mu się zainteresować Jacka obciążeniem hipoteki jego „londyńskiej nieruchomości”, Derek zaczął go wypytywać o finansowe plany na przyszłość. Jack stwierdził, że jest już pod tym względem zabezpieczony i dziękuje, na co Derek uniósł pulchny palec i powiedział:

- A czy jest pan „zabezpieczony” na starość? Może pan dożyć dziewięćdziesiątki, a nawet setki. Czy starczy panu na dowolnie wybrany dom opieki? Czy też chce pan gnić w jakimś państwowym domu starców?

Premier nie mógł się nie wtrącić.

- Przepraszam, panie Baker, ale muszę pana poprawić w dwóch kwestiach. Po pierwsze, Plan Funduszy Emerytalnych wprowadzony przez rząd i parlament ostatniej kadencji to naprawdę korzystny sposób oszczędzania, bo nieobciążony podatkiem i dostępny dla wszystkich, niezależnie od tego, jakie osiągają dochody. Po drugie, a może przede wszystkim, ten rząd zrobił więcej niż jakikolwiek inny, żeby zachęcić ludzi do odkładania na emeryturę na indywidualnych kontach emerytalnych oraz funduszach emerytalnych, że nie wspomnę o istotnych zmianach w przepisach dotyczących emerytur poszczególnych grup zawodowych.

Derek F.M. Baker nie był zbyt zdziwiony, że najdrobniejsze szczegóły polityki emerytalnej nie są obce owej kobiecie o dość dziwacznym wyglądzie, ale stanowczo zaimponowała mu jej wiedza. Szkoda tylko, że najwyraźniej miała problem z owłosieniem na twarzy. Chociaż... to nic takiego, z czym nie poradziłyby sobie krem do depilacji.

- Czy pani też jest w branży... przepraszam, jak się do pani zwracać?

- Mam na imię Edwina - odparł premier. - Nie, ja jestem... -

zawahał się i Jack nadstawił ucha, ciekaw, co też premier powie. Przed opuszczeniem Downing Street 10 nie potrafił się zdecydować, czy chce być urzędniczką, gospodynią domową czy wykładowcą nauk politycznych. - Jestem aktorką - powiedział i odsunął czarny kosmyk z twarzy.

- Wiedziałem, że skądś znam tę twarz. A w czym to panią widziałem?

Nim pociąg wjechał na dworzec Waverley w Edynburgu, premier stworzył już sobie zawodowy dorobek, od wczesnych prób odnalezienia się w zawodzie przedstawiciela handlowego do obiadów w Ivy z Maggie Smith i wizyt w centrach ogrodniczych z Judi Dench.

Jack był naprawdę pod wrażeniem tego, jak bardzo premier potrafił ulec własnym fantazjom, i tylko lekko go zaniepokoiło, kiedy wychodząc z pociągu, Ed powiedział:

- Nareszcie Edynburg. W 1982 dostałam tu nagrodę Perrier<sup>10</sup>.

Żaden z nich nie był zachwycony tym, że muszą dzielić ze sobą pokój. Była to jednak jedna z zasad, które ustalili z Alexandrem McPhersonem - Jack cały czas będzie pozostawał w zasięgu wzroku premiera, wyjątkiem mogą być tylko wizyty w toalecie.

Recepcjonista w hotelu Caledonian był przyzwyczajony do najróżniejszych dziwaków. Iluż ich tu bywa w okresie Festiwalu! Całe foyer wygląda wtedy jak dom wariatów. Dlatego kobieta o dziwnym wyglądzie i towarzyszący jej posępny mężczyzna według niego zupełnie nie odstawali od średniej. Kiedyś wezwano go do pokoju, w którym jakiś facet gotował homara na prymusie. Gdy poinformował gościa, że gotowanie w pokojach jest zabronione, tamten śmiertelnie się oburzył:

- A widział pan cenę homara w restauracji?

Tak więc, gdy państwo Sprat zadzwonili do recepcji z prośbą o taśmę mierniczą i wykaz krematoriów w Edynburgu, zupełnie go to nie ruszyło.

Jack wybrał się do domu towarowego Bentleya na Royal Mile na poszukiwanie peruki w stylu Marilyn Monroe. Sprzedawczyni miała blade pojęcie, kim w ogóle była Marilyn Monroe, i nie widziała *Pół żartem, pół serio*, więc Jack musiał sam grzebać w perukach. Rozzłościło go, gdy odkrył, że wszystkie one są w jednym, uniwersalnym rozmiarze - niepotrzebnie się kłopotał z mierzeniem obwodu głowy premiera, co się łączyło z czekaniem na taśmę, której znalezienie i przysłanie do pokoju zajęło obsłudze całe wieki.

Kiedy peruka była już zapakowana i zapłacona, Jack spojrział na listę, którą premier sporządził na hotelowej papeterii, siedząc przy stoliku toaletki.

1. SUKIENKA. ROZMIAR CZTERNAŚCIE. MUSI BYĆ KOKTAJLOWA: POLYSKLIWA ALBO BŁYSZCZĄCA. COŚ JAK DLA AKTORKI.

Po przeczytaniu punktu pierwszego Jack zwrócił premierowi uwagę, że aktorki raczej nie noszą takich ciuchów w ciągu dnia. Widział kiedyś Juliet Stevenson w księgarni Waterstones na Trafalgar Square w znożonym brązowym płaszczu i z torebką z Kwik Save<sup>11</sup>. Premier jednak nie dał się przekonać, wobec czego Jack doradził kupno dwóch sukienek. Punkt drugi brzmiał więc:

2. WCIĘTA W PASIE SUKIENKA POPOŁUDNIOWA ZE ZWIEWNYM DOŁEM Z CZEGOŚ JEDWABISTEGO, CO SIĘ PORUSZA RAZEM Z CIAŁEM.

3. BUTY: KONIECZNIE NA WYSOKIM OBCASIE, Z PASKAMI ALBO Z ODKRYTYMI PALCAMI.

4. DŁUGI PŁASZCZ: FUTRO? SKÓRA? ZE ZWIERZĘCIA? Z WĘŻA?

5. OKULARY PRZECIWSŁONECZNE.

6. BRYLANTY.



Jack twierdził, że premier odsłoni dość dużo owłosionego ciała, więc Edward zadzwonił do recepcji i poprosił o wysłanie chłopca hotelowego do Boots po cztery opakowania kremu Veet.

Godzinę później, kiedy Jack małą szpatułką rozsmarowywał krem do depilacji za kolanem premiera, pomyślał sobie: „No nie, to przechodzi ludzkie pojęcie”. Gdy Jack wychodził na zakupy, premier splukiwał biały krem z niemal bezwłosego ciała.

Robienie zakupów nie przychodziło Jackowi z łatwością. Dwa razy w roku - w kwietniu i w listopadzie - odwiedzał dom towarowy Marks & Spencer, żeby się zaopatrzyć w odzież na daną porę roku, wliczając mrozy i upały. Skłaniał się raczej ku neutralnym odcieniom i unikał granatu, który kojarzył mu się z pracą i służbą. W ubraniach od Marksa i Spencera czuł, że wtapia się w tłum i staje niemal niewidzialny. Nie było w nim nic wyjątkowego - cała jego twarz wydawała się bardzo przeciętna. Jego oczy, nos, usta i uszy można by sprzedawać tłumom w Marks & Spencer, gdyby takim towarem dało się handlować.

Po wejściu do domu towarowego Bentley Jack zatrzymał się na parterze przed tablicą informacyjną z rozkładem wszystkich działów. Po jej uważnym przestudiowaniu udał się na drugie piętro do działu z odzieżą damską na szczególne okazje. Byli tam też inni mężczyźni - zagubieni, nieporadni, siedzieli na przygotowanych dla nich krzesłach. Jeden rozwiązywał krzyżówkę w „Daily Telegraph”. Gdy Jack go mijał, ich spojrzenia spotkały się na moment i mężczyzna odwrócił wzrok, jakby zawstydzony. Jack zabrał się za przeglądanie wieszaków. Szukał sukienek w rozmiarze czternaście spełniających wymagania premiera. Kiedy je zgromadził, szybko wybrał trzy. Przyglądał się im niecałą minutę, po czym dokonał ostatecznego wyboru. Z przewieszoną przez ramię czerwoną suknią z cekinami oraz szyfonowym oblamowaniem

dołu i dekoltu, przeszedł do działu z odzieżą dzienną. Znowu najpierw zebrał wszystkie odpowiednie sukienki w rozmiarze czternaście. Miał szczęście: w modzie był styl cygański i wybór falbaniastych, bardzo kobiecych sukni zdawał się nieskończony. Ostatecznie Jack wybrał taką, która nadawałaby się i na cmentarz, i do autobusu, i na spacer po osiedlu komunalnym. Wybór czerni był co prawda śmiałym posunięciem, ale Jack pomyślał, że ten kolor będzie się dobrze komponował z nowym blond odcieniem włosów premiera.

Podczas nieobecności Jacka premier zadzwonił do recepcji i zapytał, czy w hotelu można dostać papier toaletowy Bronco.

- Musi pan zadzwonić do administracji - odpowiedział recepcjonista, który tym razem zaczął już podejrzewać, że jest obiektem serii dziwaczných żartów. Odłożywszy słuchawkę, rozejrzał się, czy w pobliżu nie ma ukrytych kamer, niemal pewien, że mimo woli bierze udział w telewizyjnym reality show.

Kiedy Jack wszedł objuczony torbami, premier z trudem powstrzymywał podniecenie. Był w białym szlafroku hotelowym. Laminowana karta w kieszeni ostrzegała gości przed próbą kradzieży, choć nie nazywała tego po imieniu. Napis brzmiał: „Gości, którzy chcieliby nabyć ten szlafrok, informujemy, iż jego cena pięćdziesiąt pięć funtów plus VAT zostanie doliczona do rachunku”. Ciało premiera pod szlafrokiem lśniło. Zbagatelizował informację na ulotce dołączonej do kremu do depilacji, że nie zaleca się stosowania innych kosmetyków bezpośrednio po depilacji. Uradowany gładkością ciała, pognął do koszyka z kosmetykami, który odkrył w łazience obok umywalki. Wtarł w skórę balsam do ciała, a potem jeszcze jakiś specyfik o nazwie „nawilżający żel proteinowy”. Następnie użył kilku wacików do wyczyszczenia uszu i nosa. Na włosy nałożył całą zawartość buteleczki z odżywką i Jack

zastał go w czepku kąpielowym. Dobrał się też do zestawu do szycia, za pomocą którego skrócił ramiączka biustonosza swojej żony. Przy tej czynności czuł wdzięczność do nauczycielki z podstawówki, która wiele lat temu nauczyła go podstaw szycia. Potem opiłował paznokcie i wypucował mokasy Adele hotelową pastą do butów. Po tych wszystkich zabiegach ogolił się jeszcze bardzo dokładnie, korzystając przy tym z powiększającego lustra, które wyolbrzymiało każdy włos, por i najmniejszą krostkę na twarzy. Skorzystał z okazji, by uważnie się sobie przyjrzeć. Czy jest dobrym człowiekiem? Uczciwym? Czy zasługuje na zaufanie Brytyjczyków? Czy prezydent Bush miał rację, nazywając go przyjacielem? Poczul się lekko zawiedziony, gdy zobaczył w lustrze powiększającym, że właściwie nie istnieje coś takiego jak całkowicie zgolone owłosienie. Choćby nie wiadomo jak długo i mocno przejeżdżał maszynką po skórze, i tak wystawały z niej minimalne włoski.

Jack wyładował zawartość toreb na łóżko premiera. Brylanty - kolczyki, naszyjnik i pierścionek, za łączną sumę trzydziestu trzech funtów pięćdziesięciu pensów - połyskiwały w świetle lampki nocnej niczym drogocenne skarby.

Jack zdjął buty i położył się na swoim łóżku. Podłożył sobie jedną rękę pod głowę i czekał na przedstawienie, podczas którego premier przeistoczy się w Edwinę St Clare - gwiazdę sceny i ekranu.

Edward jednak wymamrotał nieśmiało:

- Nie, Jack, nie patrz.

Jack więc odwrócił się w drugą stronę i zaczął oglądać wiadomości CNN. Amerykańska prezenterka z nienagannym makijażem i fryzurą informowała właśnie widzów, że „brytyjski premier, Edward Clare, testuje wyposażenie postnuklearnego rządowego ośrodka dowodzenia. Źródła bliskie rodzinie donoszą, że Adele Floret-Clare, żona premiera, szaleje z wściekłości”.

Jack obrócił głowę, żeby zobaczyć reakcję premiera na tę niepokojącą wiadomość, ale ten był akurat w łazience za zamkniętymi drzwiami. Jack wyłączył telewizor i zamknął oczy.

Kiedy wszystko już było zapięte na ostatni guzik i upiększanie się przed lustrem zakończone - paski butów zostały kilkakrotnie poprawione, makijaż nałożony, peruka zmierzwiona i lekko przytapirowana na styl Marilyn Monroe - drzwi łazienki otworzyły się i premier powiedział:

- Teraz możesz popatrzeć.

To, co ukazało się oczom Jacka, prawdziwie nim wstrząsnęło. W słabym świetle hotelowego pokoju premier w czerwonej sukni z cekinami wyglądał olśniewająco, do złudzenia przypominał kobietę marzeń Jacka.

- Boże, ale jesteś piękna - wymamrotał Jack zduszonym głosem.

Premier chwilę ćwiczył chodzenie w butach na obcasach, a Jack w tym czasie umył się, ogolił i zmienił koszulę. Wreszcie, trzymając się pod rękę, zeszli do hotelowej restauracji. Edwina w tym stroju zwracała na siebie uwagę.

Kiedy weszli, jeden z kelnerów powiedział do kolegi:

- Przystojna kobieta. Szkoda, że płaska jak decha.

Przy kolacji rozmawiali o polityce. Premierowi zaimponowała znajomość zasad ekonomii oraz polityki społecznej, jaką wykazywał Jack.

Pochylony nad ohydny kromekiem z farszem z anchois i kaparów, który nie wiedząc czemu przewiązано sznurkiem, Jack stwierdził, że według niego podniesienie emerytur o siedemdziesiąt pensów zakrawało na żart i już lepiej było nie dawać emerytom nic niż taką jałmużnę.

Jako danie główne premier przez pamięć o starych dobrych czasach zamówił haggis z tłuczonymi ziemniakami i rzepą. Wyjaśnił Jackowi,

że haggis z ziemniakami i rzepą był jego ulubionym daniem, gdy jako chłopiec mieszkał w Edynburgu, i polecił mu wziąć to samo. Niestety, skromny posiłek, jakiego spodziewał się Edward, został przygotowany przez Monsieur Souris, szefa kuchni, który stworzył coś przypominającego kształtem wieżę Eiffla, a co było otoczone nie zwykłym sosem, ale chłodną kałużą rabarbarowego coulis.

- Boże, jak to jeść? Z góry do dołu czy od dołu w górę?

Premier wyjął jeden mały haggis ze środka wieży i powiedział:

- Spróbuj od środka.

Przy sorbecie cytrynowym, którego smak zakłócały świeże liście mięty i niedojrzałe truskawki, rozmawiali o policyjnych emeryturach. Jack, rozluźniony działaniem wina i podniecony towarzystwem atrakcyjnej Edwiny St Clare, stracił na moment czujność i wyznał, że jeden jego znajomy starszy oficer odszedł niedawno na rentę zdrowotną i dostaje całą pensję, a oficjalną przyczyną jego zdrowotnych problemów są traumatyczne przeżycia związane z tym, że był świadkiem bójki dwóch pijaków przed pubem w piątkowy wieczór.

Zanim podano paskudną kawę, obaj już dobrze się bawili.

- Wiesz co, Jack - zauważył premier - dobrze by ci było w bardzo krótkiej fryzurze.

Jack westchnął w duchu. Nie znośli, kiedy kobiety próbowały zmieniać jego wygląd.

Kelner, który cały wieczór ich obsługiwał, wykazując się przy tym niewielkimi kompetencjami, ale dużą serdecznością, podał im rachunek, mówiąc:

- W moim kraju za tak sumę można by kupić osioł i wóz.

- Pyskaty gnojek - stwierdził Jack.

Premier jednak zainteresował się tym, skąd kelner pochodzi.

- Z Albanii, proszę pani. Przyjechał tu do pracy. Żaden Szkot nie chce robić ta prac za minimalne wynagrodzenie.

- A jak się pan przedostał przez granicę? - spytał premier troskliwie.

- To nie był trudne - kelner wzruszył ramionami, gdy Jack podpisywał rachunek. - Mężczyźni z moja wioska zawsze wjeżdżają do Brytanii w ciężarówkach z rzepą. Większość naszych mężczyzn jest teraz tutaj, w Colinton pod Edynburg. Kobiety i dzieci przyjadą w przyszły rok.

- A dlaczego importujemy rzepę z Albanii? - zaciekawiał się premier.

- To rzepa organiczna dla waszej klas średniej - roześmiał się kelner. - Ma nieregularne kształt i pełno w niej robaki, bo nie stać nas na pestycydy.

Później, już w pokoju, kiedy mężczyźni rozebrali się do snu, dyskutowali jeszcze o nielegalnej imigracji. Premier przyznał, że kraj potrzebuje siły roboczej, i zastanawiał się na głos, czy w przyszłości nie powinno się prowadzić rekrutacji do policji właśnie w Albanii.

Adele przetrząsała jedną z trzech szaf, szukając garnituru z kolekcji Nicole Fahri. Wendy wysuwała szuflady, próbując znaleźć dwa kaszmirowe swetry.

- Wendy, to ty jesteś odpowiedzialna za moją garderobę, a to znaczy, że odpowiadasz za zniknięcie moich ubrań.

- Oskarża mnie pani o kradzież? - Wendy była już zmęczona i chciała iść do szpitala. Jutro Barry'emu amputują nogę i chciałaby go podnieść na duchu, zapewnić, że jak tylko się obudzi po operacji, będzie przy nim ktoś z grupy wsparcia, kto mu pomoże przetrwać najtrudniejsze chwile. - Bo jeśli tak, to odchodzę. Zresztą, i tak nie wiem, co ja tu robię. Nikt mnie nie docenia. Mam dużo lepsze kwalifikacje... przypomnę, że ukończyłam technologię żywienia.

- Masz licencjat zdany na tróję w jakiejś szkole, o której nikt nawet nie słyszał! - krzyknęła Adele.

- Wszyscy słyszeli o Bradford! - odpowiedziała krzykiem - Wendy.

Obie kobiety zaczęły wrzeszczeć, a potem wzajemnie się pocieszać.

- Przepraszam - powiedziała Adele. - Zachowuję się jak świnia. Jesteś dużo za duża, żeby wejść w moje ciuchy. Po prostu jestem wściekła na Eda, że tak zniknął bez słowa. Nawet nie mogę do niego zadzwonić. Ani on do mnie. Wendy, ja naprawdę nie umiem bez niego żyć.

- Wiem, że jesteście bardzo za sobą...

- Za sobą? Wendy, ty nic nie rozumiesz! - ryknęła Adele. - Ja nie potrafię bez niego żyć!

W wieku lat jedenastu Adele przeniesiono z prywatnej szkoły dziennej do szkoły z internatem dla dzieci wybitnie uzdolnionych, opłacanej przez władze lokalne. Jej dojrzałość była dla babki powodem do dumy, ale i zmartwień. Zawsze traktowała ona wnuczkę, jakby była księżniczką z innego świata. Jednak w nowej szkole Adele była tylko jedną z wielu zdolnych uczennic. Nagle poczuła, że z dnia na dzień zamieniła się w przeciętną dziewczynkę, która nawet nie była ładna ani bardzo lubiana przez rówieśników.

Edward był jedynym jej prawdziwym przyjacielem. Nigdy nie miała innego. Bez niego czuła, jakby rozpadała się na części, rozkładała się komórka po komórce. Kiedy przejrzała się w lustrze na drzwiach szafy, zauważyła, że już jest mniej widoczna - z wyjątkiem nosa, który zdawał się większy niż zwykle.

„I gdzie się podziała nasza bystra dziewczynka?”, przemówił złośliwy głos w jej głowie.

Dwa dni wcześniej Adele przestała zażywać lekarstwa.

## 8.

Jack przezornie wypchał sobie kieszenie hotelowymi chusteczkami higienicznymi w pastelowych kolorach, ale okazało się, że trzeba było zabrać całe pudełko. Łzy z oczu premiera lały się bowiem strumieniami, niczym woda ze zbiornika po otwarciu śluzy. Edward tak wylewnie okazywał rozpacz, jakby był uczuciowym typem śródziemnomorskim - z jego otwartych ust wydobywał się niepohamowany głośny szloch. Inni odwiedzający cmentarz przemykali obok niego, spiesząc do swoich bliskich. W tej części cmentarza, nad którą górowały dumne sosny, rzadko się spotykało tak jawne oznaki rozpacz.

Już wcześniej tego dnia premier rozplakał się w kwiaciarni, kiedy kwiaciarka zapytała, dla kogo kupuje kwiaty.

- Dla matki - odpowiedział.

Kiedy kobieta zauważyła, że starsze panie wolą tradycyjne bukiety od nowoczesnych sztywnych kompozycji, Edward powiedział:

- Moja matka nie jest starsza, ma tylko trzydzieści siedem lat.

Kwiaciarka na chwilę zamilkła, pozwalając, by wysoki milczący mężczyzna pocieszył swoją blond towarzyszkę. Sama zajęła się w tym czasie układaniem gałązek wierzby w cynkowanym wiadrze. Była przyzwyczajona do klientów w depresji - czasami myślała, że w szkole kwiaciarskiej powinni uczyć doradzania i pocieszania. Nie zliczyłaby małżeństw, które zapewne uratowała. Zawsze ze szczególną



pieczołowitością wykonuje bukiety, które mają kartkę z prostym napisem: „Przepraszam”. Płacze wraz z pogrążonymi w smutku rodzinami. Bukiety dla dzieci są zwykle trudne do zrobienia - niełatwo jest umieścić oczy we właściwym miejscu na wieńcu w kształcie misia. A śluby! Ile z tym zachodu! Tyle panien młodych odwołuje ślub w ostatniej chwili. Nie, nie ma im tego za złe. Bo i po co młoda kobieta miałaby się wiązać z jednym facetem na całe życie, skoro może „kupić” dziecko z laboratorium, jeśli tylko zechce?

- Może więc kompozycję wiosenną? - zaproponowała kwiaciarka, widząc, że kobieta w okularach przeciwsłonecznych wacha niebieskie hiacynty.

Jack doradził kilka gałązek wierzby, i w końcu wszyscy troje wspólnie złożyli słodko pachnący bukiet.

Jakiś mężczyzna ścinał trawę na cmentarzu, jeżdżąc kosiarką po grobach. Jack zastanawiał się, czy nie to jest przyczyną, że groby tutaj nie mają nagrobków - czyżby po to, żeby ułatwić utrzymanie porządku na cmentarzu? A może to jakiś miejscowy obyczaj?

Dół czarnej sukni premiera powiewał na wietrze wiejącym od odległego morza.

- Dostałem się do Ampleforth - mówił Ed - i zostałem adwokatem, a teraz jestem premierem rządu. Więc dziękuję za... no wiesz... dobre początki. Bardzo dobrze wspominam te lata, kiedy byłaś ze mną.

Mężczyzna na małej kosiarce zwiększał obroty silnika, patrząc poządliwie na wysoką trawę wokół grobu Heather Clare.

Jack delikatnie odsunął premiera od grobu, nim ten zdążył znowu wdać się w rozmowę ze zmarłą matką. Wystarczy, że na filmach zaw sze w takich sytuacjach bohaterowie wygłaszają wzruszające monologi. Kiedy szli w stronę wyjścia, Jack powiedział:

- Leży w pięknym miejscu, sir.

Zatrzymali się przed tablicą z napisem: „Wszelkie skargi i pytania dotyczące utrzymania grobów należy kierować bezpośrednio do mortltd.co.uk”.

- A prochy Taty rozrzucono w Gorbals<sup>13</sup>.

- Dlaczego, sir? - zainteresował się Jack.

- Biedny tatuś spisał swój jedyny testament w czasach, kiedy był komunistą i spodziewał się umrzeć dla sprawy. Pieniądze z jego nieruchomości przeszły na Komunistyczną Partię Wielkiej Brytanii, co wszystkich zaskoczyło, bo w chwili śmierci był przewodniczącym Stowarzyszenia Konserwatystów w Berkshire. Powinien był pomyśleć o zmianie testamentu.

- Albo przekonań - zauważył Jack.

- Przekonań? - premier powtórzył to słowo, jakby słyszał je po raz pierwszy.

- Po prostu trochę mnie dziwi, jak można tak radykalnie zmienić przekonania, sir - stwierdził Jack. - Rozumiem, że w którymś momencie życia przyłączył się do liberałów?

- Przeniósł się do West Country - odparł premier defensywnie. - Partia Liberalna zapewniała mu godziwe warunki życia.

- Czyli na kilka lat związał się też z socjaldemokratami<sup>14</sup>? - dopytywał się Jack. Nie mógł pojąć, jak można zmieniać poglądy jak rękawiczki.

- Jakiś czas był pod wpływem Shirley Williams<sup>15</sup>. Tak - przyznał premier.

Jack zastanawiał się, jak bardzo trzeba było być przybitym, żeby ulec wpływom Williams.

- A więc przekonania to rzecz nabyta, sir?

- Słuchaj, Jack. Przekonaniami się nie najesz, nie dadzą ci też dachu nad głową, ubrań czy wykształcenia - powiedział premier.

To była ich pierwsza sprzeczka. Kiedy siedzieli już na tylnym siedzeniu taksówki, każdy z nich myślał o tym drugim. Na ogół nie były to myśli pochlebne.

Clarke i Palmer nie mieli przed sobą tajemnic - bo i po co? Nic już nie było tajemnicą. Kiedyś Clarke lubił chodzić po South Downs. W wolne dni wyjeżdżał z miasta, nikomu nie mówiąc dokąd, i wyruszał w góry sam na sam ze swoimi myślami. Czasami śpiewał sobie podniosłe pieśni, których uczono go w szkole. Schodził z popularnych szlaków, by nie spotykać innych turystów, i sprawiało mu radość poczucie, że jest niewidocznym punkcikiem, wtopionym w dziki krajobraz. W pewien poniedziałek rano przyszedł do pracy i powiedział Palmerowi, że poprzedniego dnia chodził po South Downs.

- Wiem - odparł Palmer. - Miałeś nowe buty, ale dało ci porządnie w kość przejście ostatnich kilkuset metrów do Goosehill Camp po zboczu Stoughton Down.

- A gdzie ty byłeś? - zapytał Clarke.

- Tutaj, w biurze.

Clarke lubił kolegę, nawet bardzo, ale nie znosił wtrącania się do swego prywatnego życia. Kazał Palmerowi przyrzec, że więcej nie będzie go obserwował. Palmer przyrzekł, ale Clarke nigdy już nie był pewien, czy któregoś dnia kolega znowu nie ulegnie pokusie.

Taksówkarz spojrział na twarz premiera w lusterku i powiedział:

- Przepraszam panią, i proszę nie mieć mi za złe, że pytam, ale po co nosić ciemne okulary w taki dzień? Widzę, że nie jest pani niewidoma. Jakaś wada wzroku czy co? A może chce pani wyglądać tajemniczo? Jakież problemy? Ukrywa się pani?

Premier zamrugał za ciemnymi szklami, żeby ukryć łzy.

- Słuchaj pan, zamknij jadaczkę i zajmij się pan jazdą - odpowiedział za Edwarda Jack.

Pozostałą część drogi na lotnisko spędzili w milczeniu.

Przed terminalem w Edynburgu kłębił się wściekły tłum. Kontrolerzy lotów w Swanwick opuścili stanowiska, bo ich przywódca stwierdził: „Nie możemy dłużej zapewnić bezpieczeństwa samolotom w brytyjskiej przestrzeni powietrznej. Ledwie czterdzieści osiem godzin minęło od ostatniej awarii komputera i dopiero teraz nadrobiliśmy zaległości”.

O 13:30, kiedy dziewięćdziesiąt siedem samolotów czekało na lądowanie lub start, system komputerowy oszalał i na ekranach pojawił się jeden ze starych odcinków serialu *Star Trek*.

Premier, podekscytowany wizją czekającej go wielkiej przygody, zaproponował, żeby złapali pierwszy lepszy samolot do jakiegokolwiek miejsca w kraju. W barze zabrakło już przekąsek, więc Edward ustawił się w kolejce do automatu z napojami chłodzącymi. Stojąca przed nim kobieta w średnim wieku rzuciła ze złością, nie zwracając się do nikogo konkretnego:

- Straciłam zagraniczny kontrakt na pół miliona funtów przez całe to zamieszanie z kontrolerami.

Premier, jak zawsze pełen troski o bilans płatniczy, spytał o charakter jej działalności.

- Dostarczam burgery z haggisem do hoteli na Costa del Sol - wyjaśniła. - W każdym razie próbuję - dodała gniewnie. - Ten cholerny rząd ani trochę mi tego nie ułatwia.

- Nieprawda - powiedział premier - bardzo ułatwiamy.

Kolejka posuwała się powoli. Mężczyzna na początku walił w automat. Wrzucił przez pomyłkę euro i maszyna na znak protestu nie chciała mu wydać puszki fanty. Po kilku energicznych uderzeniach

facet odszedł na poszukiwanie kogoś, kto weźmie na siebie odpowiedzialność za jego stratę.

Jack stał tymczasem w kolejce po gazety. Chciał kupić „Edinburgh Evening News”, bo jego uwagę przykuł tytuł na pierwszej stronie: *Żona premiera: brodawka jest święta*.

Przy kasie akurat doszło do jakiejś scysji, więc Jack miał okazję przeczytać całą pierwszą stronę:

„Dziś rano w wywiadzie z Johnem Humphrysem, w programie *Today* w radiowej czwórce, Adele Floret-Clare, żona premiera rządu, w zaskakującej wypowiedzi stwierdziła, że ludzkie ciało jest święte i skoro brodawki są wytworami tego ciała, powinny być uważane za święte i należy się im szacunek oraz godziwy pochówek. Z tego punktu widzenia «wielką nieprawidłowością jest niszczenie ich w szpitalnych spalarniach». Zaskoczony Humphrys spytał: «A odciski? Też są święte?», na co pani Floret-Clare odparła: «Oczywiście». Rzecznik prasowy Stowarzyszenia Specjalistów Chorób Stóp oznajmił później: «Gdybyśmy mieli organizować pochówek każdemu usuniętemu odciskowi, nasze koszty wzrosłyby niebotycznie, co obciążałoby naszych klientów, z których wielu to osoby w podeszłym wieku»,».

Pod zdjęciem Adele Floret-Clare, na którym wyglądała jak niespełna rozumu, widniał napis: „dokończenie na stronie trzeciej”. Jack zajrzał na stronę trzecią. Było tam kolejne zdjęcie Adele, tym razem w towarzystwie Paula McCartneya, i dalszy ciąg artykułu:

„Rzecznik rządu wyraził dziś oficjalne stanowisko rządu: «Poglądy pani Floret-Clare są jej prywatnymi opiniami. Rząd nie przewiduje pochówków drobnych części ciała ludzkiego»,». Kancelaria Arcybiskupa Canterbury wydała krótkie oświadczenie: „Arcybiskup Canterbury nie udziela komentarzy w sprawach religijnych”. Peter Bowron, modny londyński specjalista chorób stóp, kontaktował się już z kilkoma piśmami szukającymi sensacji i proponował im wywiad w zamian za sześciocyfrową sumę.

Jack i premier dotarli do początku swoich kolejek mniej więcej w tym samym czasie i obaj doznali podobnej frustracji. Skomputeryzowana kasa fiskalna nie akceptowała gotówki, tylko karty Switch. Jack wręczył swoją sprzedawczyni, mówiąc:

- Tyle zamieszania dla jednej gazety.
- Mnie to nie przeszkadza. I tak nie lubię dotykać gotówki. Nigdy nie wiadomo, skąd pochodzi.

Automat do napojów zachowywał się jak dyktator w kraju Trzeciego Świata: jednych obdarzał łaską, a innych pozbawiał wszelkich przywilejów. Premier czuł, że to po prostu nie w porządku. Ostrożnie włożył odliczone monety. Wcisnął odpowiedni guzik, ale nic nie wpadło do stalowej rynienki.

Nad grobem matki płakał tak rzewnie, że teraz czuł się odwodniony niczym suszony owoc. Musi natychmiast zaspokoić pragnienie. Tak długo nic nie pił. Wcisnął guzik, który miał mu umożliwić otrzymanie zwrotu pieniędzy, ale automat wyraźnie nie miał zamiaru wypłuć nic z tego, co raz trafiło do jego przepastnego wnętrza. I nagle łut szczęścia: do maszyny zbliża się facet w kombinezonie z wyhaftowanym logo producenta napojów, z zaciętym wyrazem twarzy i wielkim pękiem kluczy w ręku.

Premier odsunął się, żeby pozwolić mężczyźnie otworzyć automat, a potem poprosił go o puszkę bezcukrowego orange pop. Mężczyzna odpowiedział bez namysłu:

- Jeśli chce pani kupić puszkę napoju, trzeba wrzucić do automatu sześćdziesiąt pensów.
- Ale już wrzuciłam - zaprotestował premier.
- A skąd ja mam to wiedzieć?
- Bo panu mówię - odpowiedział Ed z uśmiechem, a mężczyzna wbił w niego zdziwiony wzrok.

Kilka razy dziennie spotykał się z takimi tekstami ze strony klientów. Jednak w jego umowie o pracę na okres próbny wyraźnie było

powiedziane, że nie ma prawa zwracać klientom kosztów. Podczas jednodniowego szkolenia uczono go, że konsumenci to kłamcy, oszuści i naciągacze, którzy własne dzieci sprzedaliby za puszkę coli.

- Niech pani pisze na adres firmy podany na automacie - powiedział.

- Co?! Mam szukać papieru, długopisu, jeszcze stać w kolejce na pocztę i płacić za kopertę i znaczek, żeby mi zwrócili sześćdziesiąt pensów?

- Zdziwiłaby się pani, ilu skąpców tak robi - odparł mężczyzna, wkładając do automatu nowy zapas puszek faszeryowanych dwutlenkiem węgla, sztucznymi aromatami, barwnikami i substancjami słodzącymi.

- To nie skąpcy, tylko ludzie oszukani przez waszą firmę.

- Właścicielem tej maszyny nie jest moja firma - stwierdził mężczyzna tryumfalnie - tylko leasingodawca.

- A kto jest tym leasingodawca? - zapytał premier.

- A skąd mam wiedzieć? - odburknął mężczyzna i odwrócił się do Eda plecami, ucinając tym samym rozmowę.

W końcu Jack i premier zostawili za sobą chaos lotniska i skierowali się w stronę długiej kolejki na postoju taksówek. Zamierzali pojechać na dworzec autobusowy, lecz po półtoragodzinnym czekaniu Jack zaproponował:

- Chodźmy lepiej piechotą.

- Nie dam rady w tych butach - odparł premier.

- Tylko do autostrady - zachęcająco powiedział Jack.

Z początku wspólnie próbowali złapać okazję, lecz nikt się nie zatrzymywał. Nie należy do przyjemności stanie w wysokiej trawie na skraju szosy, gdy obok z hukiem przejeżdżają ciężarówki, które strumieniem powietrza mogą człowieka zwalić z nog.

Jackowi przyszło do głowy, że sam premier w przebraniu Marilyn Monroe będzie miał większe szanse. Na pewno z daleka wygląda na tyle atrakcyjnie, żeby zatrzymać jakąś ciężarówkę.

Tak więc Jack przykucał za białym krzakiem głogu i już po pięciu minutach usłyszał odgłos hamulców hydraulicznych i chropawy głos przekrzykujący szum ruchu drogowego. Jack zerwał się szybko na nogi i jeszcze zdążył wdrapać się do szoferki.

Twarz kierowcy sposepniała: to, co z daleka wyglądało na świeżą blond cizję, okazało się towarem dobrze już przeterminowanym. W dodatku był z nią jakiś facet.

Craig Blundell miał ochotę wywalić ich oboje, ale jego radio samochodowe - najnowszy cud techniki - kilkanaście kilometrów wcześniej przestało odbierać jakiegokolwiek inne stacje poza trójką i wyłączył je ze złością, bo już nie mógł ścierpieć suit na wiolonczelę Bacha. Teraz przynajmniej będzie miał z kim pogadać. Nie dadzą mu zasnąć, a poza tym nigdy nie wiadomo - po ciemku Blondyna może być niczego sobie.

Najpierw rozmawiali o piłce nożnej. Blondyna sprawiała wrażenie lepiej zorientowanej niż gbur siedzący obok niej, chociaż się lekko wkurzyła, kiedy zaczęła bronić udziału rządu w przebudowie tego bajzlu na Wembley.

Craig im powiedział, że jedzie do Leeds wyładować wóz.

- To nam pasuje - stwierdził kumpel Blondyny, a ona zapytała:
- A co pan wiezie?

Craig wahał się chwilę, czy powiedzieć prawdę: że pod plandeką ma ukrytych czterestu uciekinierów z Afganistanu.

Miał nadzieję, że nic się im nie stało. Nie wyglądali najlepiej, kiedy odbierał ich z przystani w Perth. Niemal poczuł litość na widok tych zabiedzonych nieszczęśników - troje z nich nie mogło wejść do ciężarówki o własnych siłach i pozostali musieli ich wnosić. Według pierwszego oficera trawlera, rejs był wyjątkowo trudny.

Czasami gdy przysłuchiwał się, jak ci różni imigranci szezebiotali w swoich językach, zastanawiał się, o czym rozmawiają i kim są.



Wściekał się, kiedy czytał w gazetach, że on, Craig, żeruje na ludzkim nieszczęściu. Przecież robi im przysługę, nie? Anglia to najlepszy kraj na świecie. Owszem, paliwo kosztuje tu kupę forsy, prawdziwą fortunę, ale Craig był już w tylu miejscach - dotarł swoją ciężarówką aż do Rosji - i wiedział z doświadczenia, że o Europie opowiada się wiele głupot. Doświadczył na własnej skórze, że francuskie żarcie jest okropne, a szwedzkie kobiety zimne. Wie też, że sporo ryzykuje, ale jakie ma inne wyjście? Kierowcy tacy jak on, będący właścicielami ciężarówki, żyją z dnia na dzień: bezustannie szukają towaru na kurs, a czasem spędzają całe dnie na parkingach, gdzieś daleko w Europie. Najgorzej jest, kiedy musi wracać do kraju „na pusto”, bez żadnego ładunku.

Musi wyciągać co najmniej dziesięć tysięcy funtów miesięcznie: kredyt hipoteczny, spłata ciężarówki i mercedesa Michelle, czesne Emili i Jasona, lekcje gry na skrzypcach, wakacje w Cancún, fryzury Michelle po ponad sto funciaków. Czasem ma tego dość. W takich chwilach ogarniają go wątpliwości. Po co to wszystko? Prawie w ogóle nie widuje Michelle i dzieci, a kiedy już są razem, to oni sprawiają, że wstydzi się tego, jak mówi i zachowuje się przy stole. Jak to powiedział Edward Clare? „Dzisiaj każdy należy do klasy średniej”. Craig wiedział jednak, że pod tym względem ma do przebycia jeszcze długą drogę. Na razie to on sam mógłby być przykładem „ludzkiego nieszczęścia”.

Craig spojrział premierowi prosto w oczy - sytuacja stała się groźna, bo akurat wyprzedzali cysternę z benzyną - i powiedział:

- Przewiozłem blachę stalową z Polski do Aberdeen, potem odebrałem w Perth ładunek zapalniczek i wiozę je do Leeds.
- To brzmi dość absurdalnie. Takie rozwożenie wszystkiego we wszystkie strony.

- To się nazywa globalizacja - skomentował Jack.

Edwardowi przypomniał się wiersz z dzieciństwa pod tytułem *Ładunki* Johna Masefielda:

Brudny brytyjski statek z kominem pokrytym solą  
Pruje wody Kanału w szalone dni marcowe  
Wozi drewno na opał  
Wozi węgiel, stal, ołów  
Szyny, tace blaszane, wyroby metalowe

- W przeszłości to właśnie handel uczynił ten kraj wielkim - zauważył premier.

- Ująłbym to inaczej, sir - wtrącił Jack, zapominając na moment, jak powinien się zwracać do premiera. Spojrzał na Craiga, ale ten rozmawiał właśnie przez komórkę z kimś o imieniu Michelle. - Powiedziałbym - ciągnął Jack - że to wyzysk uczynił nasz kraj bogatym, ale nie wielkim.

- Jaki więc system ekonomiczny byś wolał? - zapytał urażony premier.

- Jakiś... prostszy - odpowiedział Jack.

- Chciałbyś, żebyśmy sami sobie szyli ubrania i uprawiali rolę? I jeszcze tańczyli w strojach ludowych wokół chochoła? A zdaje się, że jak jesteśmy chorzy, to na gwałt szukamy metod naturalnych?

- Nie tańczy się wokół chochoła, a zresztą pan i tak jest zwolennikiem półśrodków.

To była ich druga sprzeczka.

Po drugiej stronie telefonu Michelle mówiła do Craiga:

- Mówiłeś, że masz zepsute radio.

- Bo mam.

- Ale słyszę w tle głos premiera - zauważyła Michelle.

Craig roześmiał się. Gdyby dorwał tego drania Edwarda Clare'a, oświeciłby go w kilku sprawach - na początek w kwestii horrendalnej ceny paliwa.

Było już ciemno, kiedy wjeżdżali na przedmieścia Leeds. Siąpnął kapuśniaczek. Craig zjechał w zatoczkę na poboczu dwupasówki i powiedział:

- No to chyba pora, żeby Blondyna odwdzięczyła się za kurs.

Premier ciasno owinał spódnice wokół ud i przysunął się bliżej Jacka.

- Możemy zabawić się w trójkę, jeśli o to chodzi - dodał Craig, kiedy Jack nie wysiadał.

Jack poczuł się urażony: czyżby wyglądał na człowieka, który pozwoliłby swojej kobiecie płacić ciałem za kilka litrów paliwa? Pomógł Edwardowi wyjść z szoferki i powiedział:

- Dzięki, Craig. Jesteśmy naprawdę wdzięczni. A tak przy okazji... ktoś najwyraźniej grzebał ci przy tachografie, może jak byłeś odwrócony.

Craig rzucił za nimi bagaże i zatrzasnął drzwi szoferki. Potem zadzwonił do Michelle. Powiedział jej, że będzie w domu w Sheffield najpóźniej o trzeciej nad ranem i że liczy na jej względy, gdy już znajdzie się w łóżku obok niej. Michelle odparła, że całe popołudnie spędziła w siłowni i jest strasznie zmęczona, więc lepiej, żeby jej nie budził.

Craig położył głowę na kierownicy. Nikt go nie kocha! Tym razem nawet myśl o forsie za dostarczenie ładunku nie była w stanie podnieść go na duchu.

Pod osłoną bezksiężycowej nocy czternastu Afgańczyków wypelzło przez dziurę wyciętą w cienkiej ścianie przyczepy i usiadło przy kilku drewnianych stołach, które hrabstwo Yorkshire umieściło tu dla kierowców. Ich opiekun, we własnym kraju laryngolog, pilnował, by zachowywali się cicho, dopóki obcy mężczyzna z jasnowłosą kobietą nie odejdą na bezpieczną odległość.

Jack już nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak zmęczony. Zaproponował, żeby na chwilę położyli się na skraju drogi i odpoczęli na trawie, ale wtedy premier wyznał, że boi się owadów. Powlekli się więc wzdłuż drogi A64 w stronę Leeds.

Już z oddali zauważyli ogień. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że to płonący samochód. W językach płomieni mieszały się niezwykle barwy: intensywne czerwienie, połyskujące pomarańcze, niebiańskie błękity i żółcie wschodzącego słońca. Na miejscu były trzy policyjne samochody. Policjanci z przejęciem omawiali pościg, który poprzedzał kraksę i pożar.

Na tylnym siedzeniu jednego z samochodów policyjnych siedział pobladły chłopak. Policjant siedzący z przodu częstował go zapalonym papierosem.

Gdy Jack i premier doszli do samego miejsca wypadku, młody policjant zawołał do nich:

- Nie zatrzymywać się!

Jackowi przyszło na myśl, że policjanci zawsze tak mówią, a przecież nie mają ku temu żadnych podstaw. Bo ani on, ani premier nikomu nie przeszkadzają, a jako płatnicy podatków chyba mają prawo zobaczyć stróżów porządku w działaniu. Jack się nie ruszył, ale premier cofnął się i stanął tak daleko, że nie odczuwał żaru płonącego samochodu.

Młody posterunkowy odezwał się z urzędową uprzejmością:

- Proszę się odsunąć, bo wypiszę panu mandat za utrudnianie pracy policji.

- Ale przecież nie stoję w przejściu - upierał się Jack.

- Straż pożarna może chcieć tu zaparkować.

- To wtedy się przesunę. Nie jestem głupkiem.

- Daj spokój, Jack, chodźmy - powiedział premier.

Jack się nie ruszał. Nie podobało mu się, że taki żółtodziób traktuje

go tak, jakby z góry zakładał, że wszyscy obywatele są naturalnymi wrogami policji.

Tymczasem we krwi młodego policjanta jeszcze nie obniżył się poziom adrenaliny. To był jego pierwszy pościg samochodowy i chłopak już się nie mógł doczekać, żeby wrócić do kolegów, którzy właśnie dzielili się wrażeniami. A tu jak na złość napatoczył się jakiś kłótniwy cywil, któremu zachciało się domagać swoich praw.

- Jak się pan nazywa i co pan tu robi o tej porze? - zapytał policjant.

- Jack, daj spokój, nie warto - prosił premier, a słowa te zabrzmiały jak błaganie dziewczyny, żeby odstąpić od walki o nią.

- Nie podoba mi się pańskie przekonanie, że na pewno łamię prawo. Idę publiczną drogą ze swoją towarzyszką.

Cierpliwość młodego posterunkowego nie wytrzymała tak ciężkiej próby.

- Jest pan ciekawskim gapiem, który przeszkadza na miejscu przestępstwa, i jeśli natychmiast się pan nie przesunie....

Podszedł do nich gruby sierżant o wyglądzie tłuściocha z pocztówki znad morza Donalda McGilla i zapytał:

- O co chodzi?

- Odmawia odpowiedzi na pytania, sir.

Słysząc już było syrenę zbliżającej się straży pożarnej.

- Imię i nazwisko? - gruby sierżant zwrócił się do Jacka.

- Jack Sprat - odpowiedział Jack.

Z twarzy sierżanta zniknął uśmiech.

- Tylko bez głupich kawałów. Jak pan się nazywa?

- Nazywam się Jack Sprat - powtórzył Jack, który na potwierdzenie tego faktu zawsze nosił przy sobie dokumenty. Dobrze rozumiał tę drugą stronę. Kiedy jeszcze sam patrolował ulice, często pytał różnych podejrzanych typów o nazwisko i w odpowiedzi słyszał Engelbert Humperdinck albo Bing Crosby. Teraz wyjął portfel i pokazał sierżantowi kartę biblioteczną.

Sierżant poobrać ją w pulchnych palcach i po chwili zwrócił Jackowi.

- Dobra, niech się pan przesunie i nie będzie sprawy.

Jack jednak nie mógł opanować złości na dwóch policjantów, która zdążyła w nim wezbrać. Przecież nie zrobił nic złego poza tym, że zwolnił kroku i przyglądał się płonącemu samochodowi. Gdyby przeszedł obok, zupełnie nie interesując się wypadkiem, jak to świadczyłoby o jego człowieczeństwie?

Edwarda zaczynał już denerwować upór Jacka - nie mógł dłużej znieść widoku jego mułowatej twarzy. Przerzucił więc uwagę na rozmowę, jaką toczyli pozostali policjanci. Jeden z nich, w średnim wieku, z przepisową brodą, mówił:

- Za dwa lata uszkodzę sobie kręgosłup, a ponieważ stanie się to na służbie, dostanę odszkodowanie i pełną emeryturę. Wtedy otwieram bar na Costa del Crime.

Szef rządu zainteresował się. Skąd u diabła ten policjant wie, że za dwa lata uszkodzi sobie w pracy kręgosłup? Inny mówił:

- Jak mnie przeniosą z drogówki, ja też załatwię sobie plecy. Nie ma mowy, żebyśmy szlifował pieprzone krawężniki.

Wszyscy się odsunęli, bo podjechał wóz strażacki i zaczął manewrować, szukając miejsca na postój. Edward poczuł dreszczyk podniecenia na widok lśniącego wozu i tak męsko wyglądających strażaków w mundurach. Czyżby teraz straż pożarna przy rekrutacji brała pod uwagę wygląd? Czy w wymaganiach dotyczących warunków fizycznych jest mowa o warunkach odpowiednich do noszenia munduru i gwarantujących bohaterską postawę? Premier czym prędzej nałożył szminkę i przeczesał palcami blond loki, równocześnie cofając się trochę w cień, świadom tego, że na twarzy zaczął już mu się pojawiać zarost.

Jack był tymczasem pochłonięty dyskusją z grubym sierżantem na temat Ustawy o Prawach Obywatelskich. Co prawda jeszcze niedawno z niej szydził, ale teraz wydała mu się dokumentem niezwyklej wagi. Kiedy strażacy ugasili pożar gaśnicą pianową, bojowy nastrój już Jacka opuścił. Posterunkowy Sprat odsunął się w miejsce, w którym czekał na niego szef rządu, i razem ruszyli w daleką drogę do Leeds.

Po jakimś czasie znaleźli się w środku czegoś, co wyglądało na wymarłe osiedle domów komunalnych. Całe ulice domów pozabijanych deskami. Rząd wypalonych budynków. Nagle przed jednym z domów zatrzymała się taksówka. Wsiadły z niej dwie nastolatki w kusych bluzeczkach i biodrówkach i podeszły do wzmocnionych metalem frontowych drzwi.

Jack podbiegł do taksówki i zatrzymał ją. Za kierownicą, otoczony ze wszystkich stron stalową siatką, siedział taksówkarz o imieniu Ali. Rozpromienił się, kiedy Jack poprosił o podwiezienie jego i przyjaciółki do dobrego hotelu w centrum Leeds.

- Zawiozę was do najlepszego hotel w mieście, co nie - zapowiedział Ali z entuzjazmem. - Mają antyki w pokojach, muzyka i telefony w łazienkach i nawet koty do głaskania, żeby goście czuli się w domu. Do tego osiemdziesiąt kanałów telewizyjne oraz darmowy sok, pomarańczowy i z limonki.

Po drodze widzieli jeszcze więcej zniszczeń. Na rondzie premier zauważył, że rzadko się widuje robotników, którzy pracują tak wcześnie rano. Krzepcy mężczyźni wyrywali płyty chodnikowe i ładowali je do białego samochodu dostawczego.

- Pani, to złodzieje - wyjaśnił Ali. - Rozkradają chodnik, co nie.  
- Kamień z Yorku - stwierdził Jack. - W Londynie dostaną pięć dych od płyty.

Premier opowiedział Jackowi, że David Samuelson niedawno zapłacił siedem tysięcy funtów za patio z kamienia z Yorku, które robili mu „wykonawcy” z Leeds.

- To jest osiedle Gumpton, co nie. Niewiele taksówka jeździ tu po zmroku. Tu mieszkają prawdziwe dzikusy - poinformował ich Ali.

Nad ich głowami rozległ się jakiś warkot i po chwili ostry strumień światła rozjaśnił wnętrze taksówki.

- Helikopter policyjny nad nami, co nie! - krzyknął zachwycony Ali. Był tak przejęty, jakby właśnie trafił los na loterii.

Helikopter wisiał nad nimi kilka minut, ale gdy zbliżyli się do centrum, odleciał na wschód. W radiu w samochodzie zaskrzeczał znudzony głos:

- Ali zgłoś się, Ali zgłoś się, gdzie jesteś?

- Jadę już do domu na nocleg, szefie. Jestem przed domem.

Premier aż zacisnęła usta z oburzenia. Zajeżdżali właśnie pod hotel o szumnej nazwie Nad Wodospadem w zaadaptowanym spichlerzu nad kanałem. Jack zapłacił Alemu i poprosił, żeby przyjechał po nich o 10:00.

Kiedy przybysze szli po mokrym bruku w stronę drzwi, słyszeli szum wody na niewielkiej tamie, której hotel zawdzięczał swoją nazwę. Portier o imieniu Norman wpuścił ich do środka i włączył kominiek gazowy o futurystycznym wyglądzie.

Jack zajął się formalnościami meldunkowymi, a premier w tym czasie sięgnęła po jedno z kilkudziesięciu czerwonych jabłek ułożonych na kształt piramidy w szklanej misie. Nie spodobało się to Normanowi - goście hotelu rozumieli, że ten stos jabłek to *objet d'art*, i tylko głupek mógł któreś wyjąć i zjeść.

Kiedy Jack skończył wypełniać formularz na nazwisko Jack Sprat i E. St Clare, Norman wszedł za ladę recepcji i podgrzał w mikrofalówce dwa kieliszki wina z korzeniami.



Tak gorące wino nie nadawało się do picia, więc goście musieli jeszcze chwilę pogadać z Normanem, żeby trunek przestygł. Norman z dumą opowiadał, jakie sławne i wpływowe osobistości gościły w tych progach. Wspomniał o nieznanej Jackowi aktorce z *Coronation Street*, która o czwartej nad ranem zażądała cukierków Mother's Pride i kanapki z serem. Norman puknął się palcem w boczną ściankę nosa i powiedział:

- Nie pytajcie, jak to zrobiłem, ale dwadzieścia pięć po czwartej już jadła swoją kanapkę.

Jack przerwał Normanowi w pół zdania opowieść, której bohaterem był sir Cliff Richard i słoiczek kremu do twarzy Clarins.

Edward był tak zmęczony, że poszedł do łóżka, nawet nie zmywszy makijażu.

- Wiem, że to niechlujstwo, ale obiecuję, że jutro rano bardzo dokładnie zmyję, stonizuję i nawilżę skórę.

Leżeli w małżeńskim łóżu, rozmawiając o reformie policji. Jack stwierdził, że policjanci pieszo patrolujący dzielnice powinni zarabiać więcej niż ci, którzy jeżdżą radiowozami. Premier mruknął sennie, że po powrocie na Downing Street porozmawia z ministrem spraw wewnętrznych, Johnem Hayem.

## 9.

Norma wysmażała bekon na patelni. I ona, i James lubili właśnie taki. James opowiedział jej, jaki blady, galaretowaty bekon dawali mu w domu dziecka, jak tłuszcz nie był dostatecznie wysmażony, a skórka tak gumiasta, że nie dało się jej przełknąć. Tak więc w małej kuchni unosiła się woń palącego się tłuszczu i chrupiącego bekonu.

James odganiał dym od klatki Petera, używając do tego gazety „The Sun”. Wielki nagłówek na pierwszej stronie brzmiał: „Adele: Facet od stóp mówi wszystko”. Chłopak właśnie opowiadał Normie, jak był wykorzystywany seksualnie przez jednego takiego, który obecnie zasiada w Izbie Lordów.

- Kupił mi skórzaną kurtkę na którąś Gwiazdkę i keyboard Yamahy na następną. Ale nie miałem forsy na lekcje, to wymieniłem to na rower, a rower buchnęli mi po tygodniu sprzed opieki społecznej.

Wszystkie opowieści Jamesa były przygnębiające w swojej treści, chociaż opowiadane żartobliwym tonem.

Nadpaloną drewnianą łopatką Norma zdjęła z patelni wysmażony bekon i nałożyła kruszące się kawałki na kromki białego gąbczastego chleba. Potem wycisnęła na nie trochę sosu HP i każdą kromkę przykryła drugą. Tak złożone kanapki przecięła na skos. James uznał, że widać w tym klasę, i nie omieszkał jej tego powiedzieć. W ogóle tego dnia Norma wydawała mu się prawdziwą babką z klasą. James powyciągał z jej garderoby ciuchy, które trzymała na lepsze okazje, i w tej

chwili miała na sobie turkusowy komplet, w którym była na ślubie Stuarta z tyczkowątą Karen. Nawet w płaskich butach z białego jedwabiu Karen przewyższała wzrostem wszystkich w urzędzie stanu cywilnego, łącznie ze strażnikami. Stuart wymościł sobie buty warstwą gazet, żeby zmniejszyć różnicę wzrostu między nimi, ale niektórzy goście i tak nie szczędzili kąśliwych uwag. Zresztą cała ta uroczystość trwała krótko i nieprzyjemnie się skończyła.

Jack przyjechał na ślub z Londynu z ładną młodą kobietą średniego wzrostu. Nazywała się Celia. Kiedy było już jasne, że bójka na weselu szybko się nie skończy, Jack błyskawicznie wyprowadził Celię, nawet nie pożegnawszy się z Normą, która była akurat w ferworze walki. Właśnie awansował do służb specjalnych i nie chciał być wmieszany w rozróbę wywołaną przez chuliganów z Leicester.

Gdy już wracali drogą M1 do Londynu, Celia, która była psychologiem klinicznym, wyraziła opinię, że Stuart - najwyraźniej typ agresywny - poślubił Karen, bo to, że prowokowała innych do żartów, dawało mu idealny pretekst do bójek, kiedy tylko miał na to ochotę.

Jamesowi szybko weszło w nawyk czytanie „The Sun” na głos. Dla Normy był to zbyt duży wysiłek, ale zawsze uwielbiała wszelkie opowieści.

„Oto, czego wysłuchał nasz reporter David Grubb: «Poznałem panią Floret-Clare w maju 1997. Miałem już komplet pacjentów, ale przez jedną z moich słynnych klientek pani Floret-Clare przysłała mi wiadomość, że chciałaby, żebym zajmował się jej stopami. Zdaje się, że Lulu wspomniała jej o mnie na spotkaniu dobroczynnym na rzecz osób z zaburzeniami wzrostu.

Tak między nami jej stopy były w strasznym stanie. Bardzo je forsowała przez te sześć tygodni przed wyborami. Miała wiele problemów: brodawki, stwardnienia, haluksy i wczesne sygnały palucha młotowego.

Podczas pierwszej godzinnej wizyty cały czas pracowała na swoim laptopie. Ale przy następnych wizytach rozmawialiśmy o tym i owym. Ktoregoś dnia mój życiowy partner, Gregory, powiedział: - Twoje pogawędki z żoną premiera mają historyczne znaczenie i powinno się je nagrywać dla potomnych. - Dlatego właśnie, tylko z myślą o przyszłych historykach, zacząłem nagrywać rozmowy z panią Floret-Clare. Oczywiście, ona nic o tym nie wiedziała. Taka świadomość mogłaby ją stresować, a stres ma bardzo zły wpływ na stopy. Jako dyplomowany specjalista chorób stóp muszę myśleć przede wszystkim o stopach moich pacjentów»”.

- Powinam się do niego zgłosić. Ale zanim przyjdzie moja kolej, będę już miała takie stwardniałe podeszwy, że nie wbiję się w żadne buty - powiedziała Norma.

Peter huśtał się radośnie na swoim trapeziku i przyglądał się Normie i Jamesowi, jedzącym kanapki z bekonem.

- I co, Pete? Dobrze ci w tej klateczce, prawda? Przytulna?

Poprzedniego dnia po południu wpadła do Normy Marjorie Makinson - agresywna kobieta z organizacji Ofiary Przeciw Przemocy - żeby zaofiarować pomoc w przebrnięciu przez trudny okres po doznanych wstrząsach. Norma zaprosiła gościa do kuchni i wyjaśniła, że już czuje się lepiej i że James, jej nowy lokator, dowiedział się, kim był napastnik, i dał mu porządny wycisk, ale nie udało mu się odzyskać nic ze skradzionych rzeczy ani forsy.

Marjorie była przerażona.

- Ależ pani Sprat, ani trochę nie pochwalam brania sprawiedliwości we własne ręce!

- W tej okolicy zawsze braliśmy sprawiedliwość we własne ręce. Gdyby ktoś okradł sąsiada czy choćby spróbował tknąć staruszkę albo dzieciaka, zaraz miałby połamane kości.

Normie sprawiło przyjemność wygłoszenie tych wysoce moralnych poglądów. Przypomniła sobie jeszcze, czego Trev uczył swoich pasierbów: „Nigdy nie kalaj własnego gniazda i nie okradaj biednych. Idź na przedmieścia, pokręć się tam, aż przyuważysz którąś z tych zadowolonych z siebie rodzin, jak razem gdzieś wyjeżdżają na piknik, do centrum sportowego... no wiesz, takie rzeczy. To nie przestępstwo zabrać coś klasie średniej, oni i tak są ubezpieczeni. Poza tym to nakręca gospodarkę”.

Marjorie zauważyła kłatkę Petera. Była nie tylko opiekunką ofiar przestępstw, ale też aktywną działaczką ruchu obrony praw zwierząt i w jej przekonaniu prawa Petera były naruszane. Nie dość, że klatka jest mniejsza, niż przewidują zalecenia zawarte w Ustawie o Prawach Zwierząt, to jeszcze Peter nie ma towarzysza, do którego posiadania uprawniają go przepisy.

Marjorie przytoczyła im z pamięci przepisy dotyczące praw zwierząt:

- Pani Sprat, zgodnie z zaleceniami RSPCA<sup>17</sup>, pani papuzka ma prawo do dużej ptaszarni, gdzie mogłaby się cieszyć towarzystwem innych papuzek w środowisku, gdzie są zabawki i gałęzie.

- Ale Pete jest szczęśliwy w swojej klatce i lubi być sam - protestowała Norma.

- Tak czy inaczej - stwierdziła Marjorie - prawo to prawo.

Adele strząsnęła okrusz rogalika ze swetra firmy Joseph, chwyciła Wendy za rękę i przemówiła jak na kazaniu:

- Wendy, noga Barry'ego jest... a raczej była... dużą jego częścią. Nie możesz jej tak po prostu wyrzucić, jakby to był udziec barani czy coś takiego.

- Przecież nie wyrzuciłabym udzca baraniego, tylko dusiłabym i zjadła - burknęła Wendy ze złością.

- Aleś ty drobiazgowa! To jedna z najgorszych twoich cech. No, ale... rozmawiałam z jednym znajomym kardynałem i zgodził się wziąć udział w pochówku nogi Barry'ego. To by była cicha uroczystość: tylko rodzina i oczywiście ja. Jest akurat wolny termin w Kensal Rise... Zgódź się a ja się wszystkim zajmę. Potrzebuję tylko rozmiarów nogi Barry'ego, żeby zamówić trumnę.

- A Barry nie ma tu nic do powiedzenia? - zapytała

- Oczywiście, że ma - odparła Adele. - I zgadza się. Rozmawiałam z nim dziś rano.

- Przecież on jest cały czas na morfinie. Nie wie co mówi. Jest w strasznym stanie.

- Racja A to jest właśnie sposób, żeby zamknąć ten rozdział. Może przyjść na pogrzeb jednej z istotnych części swojego ciała. Może wszystkim opowiedzieć, ile noga dla niego znaczyła, może podzielić się wspomnieniami. Wendy nie powinnaś go pozbawiać tej możliwości.

Wendy nie po raz pierwszy zastanawiała się, kto tu zwariował: ona czy Adele. Czy sprzeciwianie się pogrzebowi prawej nogi syna jest niedorzeczne? Adele jest nadzwyczajnie mądra i co ważniejsze, jest oryginalnym myślicielem i uznanym teologiem-amatorem.

- Chciałabym poczekać na pani męża i z nim to omówić - powiedziała Wendy.

Twarz Adele spochmurniała. Ubiegłej nocy głosy powiedziały jej, że Ed już nie wróci.

Alexander McPherson wpadł do pokoju jak burza i rzucił wielki plik gazet na ławę przed Adele. W każdej gazecie z wyjątkiem „Catholic Herald” na pierwszej stronie pisano o Adele i jej poglądach na temat brodawek.

- Wdziałaś to? - Alexander usiłował panować nad gniewem. Adele złamała świętą zasadę: wystąpiła w programie *Today* i udzieliła wywiadu Johnowi Humphrysowi bez wiedzy rządowego biura prasowego.

To jakby chrześcijanin sam się dopraszał o wrzucenie go na arenę pełną lwów i miał nadzieję, że wyjdzie z tego bez szwanku.

Adele z przejściem oglądała swoje zdjęcia na pierwszych stronach. I była dumna z tego, w jakim kontekście się pojawiły. Broniła świętości życia i świętości zwykłych ludzi.

Wendy odezwała się:

- Adele załatwiła z jakimś kardynałem pogrzeb nogi Barry'ego w Kensal Rise - Wendy musiała podzielić się tą wiadomością z kimś, kto twardo stąpa po ziemi, kimś, kto choć jest awanturnikiem i manipulantem, jest z pewnością trzeźwo myślący.

Adele podniosła płachtę „Independenta” i zaczęła czytać nagłówki z pierwszej strony. Alexander i Wendy spojrzeli po sobie. Rzecznik prasowy przyłożył palec wskazujący do skroni i obrócił nim w geście, który jednoznacznie wyrażał to, o czym oboje myśleli.

- Adele - powiedział - kto jest twoim lekarzem?

## 10.

Jack siedział w osiemnastowiecznym bujanym fotelu i spoglądał przez okno na nieruchome szare wody kanału. U jego stóp leżał czarny kot z drewna. Jack potknął się o niego w nocy kilka razy. Starał się jak mógł zachować spokój - premier już ponad godzinę szykował się do wyjścia. Jack zastanawiał się, co jeszcze można wymyślić. Chyba istnieją jakieś granice, jeśli chodzi o ilość nakładanego makijażu i to, jak długo można się mizdrzyć przed lustrem.

Kiedy tylko wstali, znaleźli wsunięty pod drzwi świeży „Daily Telegraph”. Jack z niepokojem przeczytał nagłówek: „Żona premiera: kontrowersje wokół fundamentalnych zasad moralnych”. Kiedy jednak pokazał gazetę Edwardowi, ten powiedział tylko:

- Świetnie, że Adele rozpoczęła debatę w tak ważnej kwestii - i poszedł do łazienki podkręcić sobie rzęsy.

Komunalne osiedle Gumpton leży w pięknej dolinie, którą ze wszystkich stron otaczają sześciopasmowe autostrady. Ze światem zewnętrznym łączy ten obszar szereg przejść podziemnych i długich kładek dla pieszych. Jeden z mieszkańców napisał do „Yorkshire Post”: „Teraz wiem, jak to jest mieszkać w klatce”.

Mieszkańcy tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca żyją w przekonaniu, że pogoda w Gumpton jest zawsze brzydsza - chmury



wiszą niżej i wiatr jest chłodniejszy - niż w innych częściach Leeds. To przekonanie, niepoparte żadnymi meteorologicznymi dowodami, pogłębia jeszcze poczucie krzywdy związanej z życiem na marginesie społeczeństwa. Cały ten obszar przypomina kolonię karną, do której zsyła się ludzi za karę, lub też łądują tu na własne życzenie, szukając odosobnienia. Niektórzy młodszy mieszkańcy, którzy mieli już do czynienia z więzieniem, twierdzą, że w pierdłu jest ciekawiej niż w Gump-ton - tam przynajmniej jest się czym zająć.

Kiedy się patrzy na to osiedle, można by pomyśleć, że zostało ono jakimś sposobem oderwane od reszty Wielkiej Brytanii i nigdy nie posiadało żadnych rządów. Niczym zaginiona cywilizacja. Czasem pojawiają się tu przybysze ze świata zewnętrznego - pracownicy społeczni, nauczyciele i radni - ale robią szybko, co mają zrobić, i wyjeżdżają przed zmrokiem. Przed zjazdem ze wzgórza do Gumpton Ali wymamrotał modlitwę, prosząc Allaha o ochronę. Po drodze uprzedził pasażerów - gburowatego faceta i ładną blondynkę - że w żadnym wypadku nie ruszy się z taryfy. Chłopaki z Gumpton mają we krwi kradzieże wszystkiego, co ma koła. Ostatnio dwóch dwunastolatków ukra- dło policyjnego land-rovera i jeździło nim po okolicy, ku ogólnej ucie- sze mieszkańców.

Najpierw Ali objechał całe osiedle, pokazując pasażerom ważniej- sze punkty. Były tu wszystkie stereotypowe obrazy nędzy. Premier wiercił się na siedzeniu, kiedy mijali zabite deskami domy i piaszczyste ścieżki, na których dawniej leżały płyty chodnikowe. Zwiedzał kiedyś dzielnicę w Rio de Janeiro, gdzie ludzie wegetowali na granicy ubó- stwa, ale tam przynajmniej panowała atmosfera życia, a nawet radości życia. Tutaj natomiast nie było widać, by życie mieszkańców Gumpton miało dla nich jakąkolwiek wartość.

Zatrzymali się przed rozległym terenem pokrytym błotem i trawą,

który wyglądał na dawny park. Widok przez przednią szybę przesłonił silny deszcz, więc Ali włączył wycieraczki. Nagle przed domem po przeciwnej stronie drogi zaparkował pick-up. Wysiadło z niego dwóch sflaczałych grubasów w dresach i adidasach i zabrali się za rozplątywanie sznura, którym na pace przywiązany był stary podwójny materac. Deszcz zamienił się w gwałtowną ulewę i po chwili mokre włosy mężczyzn oblepiały im głowy. Rzucali przekleństwami, spiesząc się z odwiązywaniem materaca. Chcieli go wnieść do domu, nim deszcz go zupełnie przemoczy. Jack, Ali i premier obserwowali ten wyścig, jakby to były pasjonujące zawody sportowe.

Wysoka, tęga kobieta, z ramionami jak u ciężarowca, otworzyła drzwi frontowe. Przy niej, uwieszony u jej dresu, stał chłopiec w samym T-shircie ze Spidermanem, z buzi zwisała mu butelka. Wydawało się, że kobieta dodaje mężczyznom otuchy, ale gdy Ali opuścił szybę w drzwiach, trzech panowie w samochodzie usłyszeli jej wrzask:

- No ruszajcie się, tłuste skurwysyny!

Jeden z nich odkrzyknął:

- To co, Toyota, chcesz ten materac czy nie?!

Mężczyźni zarzucili sobie materac na głowy i ruszyli nna oślep w stronę wejścia. Półnagi chłopczyk wybiegł im radośnie na powitanie.

Toyota pobiegła za malcem, chwyciła go i uniosła w powietrze za luźną na plecach koszulkę. Chłopczyk wrzeszczał i wrywał się, więc Toyota przyłożyła mu po nogach i golej pupie. Maluch wziął głęboki oddech i już nie wypuścił powietrza. Odruchowe czynności jego małego ciała na chwilę ustały.

Trzech mężczyzn w samochodzie czekało na wydech dziecka. Wargi premiera drżały:

- Co za bestialstwo! Jack, musisz coś zrobić!

Silne ręce Toyoty uniosły koszulkę jeszcze wyżej, aż twarz dziecka znalazła się na tej samej wysokości, co jej własna. Teraz biła malca w

rytmie synkopowanym. Słowa, które wykrzykiwała mu w twarz, pełniły funkcję kontrapunktu.

- Ile-razy-mam-ci-mówić-że-masz-nie-wy-cho-dzić-zpiep-rzo-nego-dom!-Tu-sh-in-ga?

- Tu-Sh-in-Ga? - powtórzył pytająco premier, który cały pobladł pod warstwą podkładu Max Factor.

- Tushinga - powiedział Ali. - To afrykańskie imię.

Jackowi przyszło na myśl, że tylko bardzo bogaci i bardzo biedni dają dzieciom takie dziwaczne imiona.

Dwaj mężczyźni czekali niecierpliwie pod parasolem z materaca, aż wymierzana dziecku kara dobiegnie końca. Teraz malec miał już w płucach tyle powietrza, że mógł wrzeszczeć pełną piersią. Słyszając ten wrzask, premier wypadł z samochodu i popędził ścieżką w stronę domu. Minął materac i zatrzymał się przed kobietą. Tushinga wciąż wisiał w powietrzu, a na jego delikatnej skórze widoczne były ślady uderzeń, przypominające czerwone płatki.

- Proszę natychmiast przestać! - zażądał premier.

- A ktoś ty, do kurwy nędzy?! - krzyknęła Toyota, dysząc ciężko z wysiłku. Bicie dziecka to cięższa praca, niż się wydaje.

- Jestem z opieki społecznej - skłamał premier.

- Nie jest pani z mojego oddziału - stwierdziła Toyota.

Jeden z grubasów krzyknął uprzejmie:

- Możemy, kurde, wnieść ten pieprzony materac?

Premier, Toyota i dziecko odsunęli się. Mężczyźni z materacem przecisnęli się przez drzwi i zniknęli w środku. Edward podniósł butelkę, która jak zauważył, była do połowy wypełniona czymś, co wyglądało na coca-colę, i podał szlochającemu malcowi.

- Masz, Tushinga, i nie płacz. Mama już cię nie uderzy.

- Urwę mu ten pieprzony łeb, jak nie będzie robił, co mu się każe - powiedziała Toyota. - Musi się nauczyć!

- Nie nauczy się przecież przez bicie - zaprotestował premier.  
- Ja się tak nauczyłam - odparła Toyota całkiem logicznie.  
- Słuchaj, Tushinga - premier ujął dziecko pod brodę, ale malec odwrócił się i wtulił głowę w szyję matki. Szlochał coraz słabiej. Matka zaczęła odgarniać włosy z jego zalanej łzami twarzy i obrzucać pocałunkami jedną z pulchniutkich rączek.

- To pani zamiast Andy'ego? - zapytała Toyota.

- Tak - premier brnął w swoje kłamstwo. - Andy miał załamanie nerwowe i ja go zastępuję - wiedział, że opieka społeczna odczuwa brak pracowników, a jednym z powodów tego stanu rzeczy jest związany z pracą stres.

- Nie dziwi mnie to - powiedziała Toyota. - Ostatnim razem był nerwowy jak diabli - wskazała dom zapraszającym gestem. - No to niech pani wejdzie na herbatę.

Popatrzyła podejrzliwie na taksówkę zaparkowaną na poboczu i powiedziała:

- Nic dziwnego, że nie ma miejsca w żłobku opieki społecznej. Wydają całą forszę na taksówki dla swoich urzędasów, cholera.

Premier posłał jeszcze Jackowi błagalne spojrzenie, nim Toyota poprowadziła go do wnętrza domu. Jack pomachał Edowi, po czym usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu taksówki i zabrał się do czytania „Daily Telegraph”.

Ali pociągnął za dźwignię pod siedzeniem kierowcy i fotel przechylił się w tył. Niemal natychmiast zasnął. Ten kurs zapowiadał się idealnie - jeszcze nie było południa, a taksometr pokazywał już trzydzieści dziewięć i pół funta.

Tushinga pod okiem Toyoty i premiera bawił się na przetartym dywanie pudełkiem od kasety wideo i kilkoma spinaczami do prania.

Najwięcej miejsca w dużym pokoju zajmował telewizor z płaskim ekranem, ustawiony na stoliku z przydymionego szkła. Akurat szedł film przyrodniczy, i na ekranie stado szakali rozrywało zebra na kawałki. Resztę umeblowania stanowił czarny trzyczęściowy zestaw z czegoś, co było prawie, choć nie całkiem skórą, a na ścianie nad gazowym kominkiem wisiało powiększenie kiczowatej fotografii małego Tushingi.

W tym pokoju wypalono setki tysięcy papierosów, o czym świadczył sufit i ściany - w modnym odcieniu nikotyny.

Edwardowi przypomniał się wystrój własnego salonu. Adele spędziła wiele dni nad próbkami farb z droгим dekoratorem wnętrz, który brał pięćset funtów od godziny i jeszcze sobie doliczył za nałożenie kilku warstw farby o nazwie „Wielbłądzia melancholia”.

Premier wyjął z torby mały notes i zapisał parę uwag. Toyota zdradziła mu, że zdefraudowała pieniądze z zasiłku, i kiedy premier pisał, myślał o tym, że gdy przytoczy te notatki z mównicy w Parlamencie, uciszy przeciwników proponowanego przez rząd programu walki z nadużyciami w systemie zasiłków.

Toyota zapaliła berkeleya i uprzejmie zaproponowała jednego premierowi.

- Nie, dziękuję. Nie palę. Nigdy nie paliłam.
- Nigdy? To skąd pani wie, że to niedobre?

Tym pytaniem sprawiła, że poczuł się niezręcznie, jakby bycie niepalącym było największą skazą jego charakteru.

Grubi mężczyźni stali w drzwiach, paląc i oglądając telewizję. Ciągłe nie zostali zaproszeni do środka.

- E tam, spróbuj. Nasza mama dała mi pierwszą fajkę, jak miałam jedenaście lat.

Jeden z grubasów powiedział:

- Dobra, Toy, już idziemy. To co z tą dychą?
- Zero mam, nie dychę. Zajrzyjcie se do mojego portfela, jak nie wierzycie.

Okazało się, że Toyota kupiła od krewnego jednego z nich materac za pięć funtów plus pięć funtów za paliwo. Jej stary materac leżał w ogrodzie za domem, bo Tushinga zniszczył go nieodwracalnie, gdy się dorwał do jej zapalniczki. Toyota spojrzała na premiera i powiedziała:

- Dłatego muszę być dla niego surowa. Nie chcę, żeby wyrósł na chuligana.

- Musisz skądś wytrzasnąć piątaka za paliwo - odezwał się drugi facet - ten pieprzony portfel jest pusty.

Toyota z miejsca wpadła w gniew.

- Nic nie mówiliście o buleniu od razu. Musicie poczekać, aż dostanę forszę z opieki.

- Mój portfel, kurde, też jest pusty. Żaden z nas nic nie ma, a za pół godziny mamy następną robotę.

- Jak to nie macie kasy? Dlaczego? - spytała Toyota.

- Bo musieliśmy od razu zapłacić za rusztowanie, któreśmy dziś rano stawiali.

- Zadzwoń do Derka. Może mi pożyczy piątaka - powiedziała Toyota.

Jeden z mężczyzn wyjął z kieszeni komórkę na kartę, wcisnął kilka guzików i powiedział:

- Toyota potrzebuje dychy na ten materac i paliwo - odczekał chwilę, potem pomruczał i zwrócił się do Toyoty: - Mówi, żebyś się odpierdoliła, bo jeszcze mu wiesz za wózek.

Toyota wrzasnęła:

- Gówniane kółka odpadły mi przed sklepem i Tushinga wyleciał na chodnik. Spędziłam, kurde, sześć godzin na jebanym pogotowiu!

Notatki premiera zaczynały tracić sens. Zapisał już: „materac, zapalniczka, grubasy: z zarejestrowaną firmą?” Jeden z facetów zwrócił się do drugiego:

- Musisz zapytać Polio Johna, czy mi pozwoli spuścić trochę paliwa z jego wozu, bo inaczej przepadnie nam ta pieprzona robota!

Zadzwonili do Polio Johna, który powiedział, że jest właśnie na poczcie i odbiera rentę inwalidzką, ale jak skończy, to po nich podjedzie.

Nagle wysiadł prąd. Telewizor zgasł.

- Teraz jeszcze potrzebuję karty - westchnęła Toyota.

Premier wyglądał, jakby zupełnie nie wiedział, co jest grane, więc Toyota wyjaśniła mu, że elektrownia uznała ją za niepewnego kredytobiorcę i zainstalowali jej automat. Jednak taki licznik pełen srebrnych monet to smakowity kąsek dla okolicznych małałatów, którzy potrzebują najków i koki, i dlatego trzeba było go wymienić na licznik na kartę. Karty kupuje się w niektórych sklepach, warsztatach, na policji, a nawet w siedzibie straży pożarnej. Jednemu z grubasów coś zaświtało i powiedział:

- Zadzwoń do Paula Farciarza, żeby podskoczył do warsztatu i przyniósł kartę na prąd oraz galon paliwa. Ma u nich kredyt.

Zadzwonili do Paula Farciarza, ale ten powiedział, że już nie ma kredytu w warsztacie, bo starego kierownika wylali za handel kasetami porno, a nowy to nadęty skurwiel z Manchesteru.

Zapadła posępna cisza, gdy troje nędzarzy zadumało się nad swoimi problemami finansowymi.

- Chciałbym jakoś pomóc - powiedział premier.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała Toyota. - Wiem, że wam nie wolno rozdawać szmalu.

W pokoju bez sztucznego oświetlenia było bardzo ciemno.

- Kurde, zaraz zabraknie mi fajek - powiedziała Toyota.

Wyglądała na szczerze zmartwioną.

Jeden z grubasów stwierdził:

- Jak nie dotrzemy na robotę, nic nie zarobimy, i nie damy rady zabulić za wynajem tego rusztowania, a wtedy to przepadnie i robota, i wszystko.

Premierowi jak przez mgłę przypomniał się wierszyk, który w dzieciństwie powtarzał mu ojciec:

Z braku gwoździa odpadła podkowa  
Z braku podkowy okulał koń  
Z braku konia jeździec sie schował  
Bez jeźdźca marny bitwy los  
Tak oto wielkie królestwo padło  
Kiedy jednego gwoździa zabrakło

Toyotę olśniło.

- Przecież Tony Astmatyk dostał niedawno forszę za szkodliwość azbestu?

- No, ale wykaształ se płuca w niedzielę i wykitował w karetkce.

Toyota znowu zwiesiła nos na kwintę:

- I nikt mi nie powiedział? Robiłam mu zakupy i zanosilaam zarcie, jak się źle czuł.

Momentalnie z jej oczu trysnęły strumienie łez i dobrą chwilę głośno szlochała. Trzej mężczyźni przyglądali się jej zaniepokojeni. Nikt się nie ruszył, żeby ją pocieszyć. Premier czuł ucisk w klatce piersiowej, szum w uszach i... czyżby ból w lewej ręce? Rozparł się wygodniej w czarnym fotelu i starał się zapanować nad oddechem. Problem dziesięciu funtów zdawał mu się nie do rozwiązania. Mniej się martwił o miliardy, które Wielka Brytania była winna Bankowi Światowemu.

Jack z wielkim zainteresowaniem czytał zapis rozmowy, którą odbyła Adele ze specjalistą chorób stóp, Peterem Brownem:

„P.B.: Pięta jest stwardniała... Tak, Graham Norton ma śliczne stopki i naprawdę o nie dba.

A.F.-C.: Próbowałam namówić Eda, żeby do ciebie przyszedł. Jego stopy są naprawdę... no, nieprzyjemne.

P.B.: Śmierdzą?



A.F.-C.: I pocą się.

P.B.: Widziałem go w telewizji. Cyfrowy obraz pokazuje wszystko. Pocił się faktycznie jak... no, ponad miarę.

A.F.-C.: To przez nerwy. On sprawia wrażenie takiego luzaka, ale w środku to naprawdę jeden wielki kłębek nerwów.

Następną minutę i pięć sekund rozmowy zagłusza dźwięk pracującej frezarki.

P.B.: O, już jest ładna i gładka.

A.F.-C.: Świetnie.

P.B.: Powiem pani, kto ma świetne stopy. Roy Hattersley. Był u mnie tylko raz, miał wrastający paznokieć, ale nigdy nie zapomnę jego stóp. Piękne podbicie, bajecznie kształtne palce. Mógłby być modelem, jeśli chodzi o stopy.

A.F.-C.: Pete, ale to zdrajca<sup>19</sup>.

P.B.: Może, ale stopy ma fantastyczne. Chce pani masaż balsamem miętowym?

A.F.-C.: Tak, proszę... To prawda, że Posh i Becks też są twoimi klientami? Tak mi się obilo o uszy.

P.B.: Nie mogę rozmawiać o Posh i Becksie. Podpisałem w umowie klauzulę o zachowaniu dyskrecji.

A.F.-C.: Mnie możesz powiedzieć. Jestem bardzo dyskretna. Ed mówi mi wszystko. Nie powinien, ale przecież musi z kimś porozmawiać. Na przykład program gwiazdnych wojen Busha. Ed uważa, że Bush jest szalony, że w ogóle myśli o czymś takim, ale...

P.B.: Masaż całej nogi czy częściowy?

A.F.-C.: Całej. Mam jeszcze dwie godziny do wizyty w Pałacu.

P.B.: Jaka jest Królowa?

A.F.-C.: Królowa? O Boże, mogłaby człowieka zanudzić. Tylko psy, konie i znaczki pocztowe. Rozmowa z nią jest mdła jak smak owsianki. Nawet nie słyszała o Wittgensteinie. Dziwne, bo jest nazistką! [Śmiech]"

Jack złożył gazetę i spojrzął w stronę domu. Zobaczył wyglądającą przez okno Toyotę. Wysiadł z samochodu i ruszył ścieżką do frontowych drzwi. Chwilę później był już wewnątrz i wręczał banknot dziesięciofuntowy jednemu z tragarzy materaca.

Ali podwiózł premiera, Jacka, Toyotę i Tushingę do centrum handlowego. Był to niski, funkcjonalny budynek z czerwonej cegły, zwieńczony serpentyną drutu kolczastego.

Strażnik w mundurze skierował ich na parking. Obok mieścił się Ośrodek Rekreacji Gumpton, do którego z parkingu prowadziło zadane przejście. Jakaś czteroosobowa rodzina szła właśnie w stronę basenu, niosąc pod pachami ręczniki, które wyglądały jak olbrzymie rolandy. Ich akcent świadczył, że nie są mieszkańcami Gumpton.

Całe dziesięć minut jazdy do centrum handlowego Toyota trajkotała jak najęta. Jack ma jej tam kupić kartę, która wystarczy na trzy dni, jeżeli będzie oszczędna i nie włączy grzejnika w sypialni. Ale jak wysuszyć, kurde, ten materac? Zaczęła brać udział w szkoleniu dla pielęgniarek środowiskowych. Naprawdę lubi staruszków - można z nimi pogadać o tylu sprawach, nie to, co z młodymi. Mama opiekowała się Tushingą, ale teraz, jak już zaczął chodzić, trzeba się przy nim nabiegać, nie ma co, a mama nie może tak szybko się ruszać z chorym kolaniem. W żłobku opieki społecznej nie ma miejsc, więc chociaż tyle osób szuka kogoś do opieki, Toyota nie może pracować. Prywatna opiekunka do dziecka kosztuje ponad stówę na tydzień, więc Toyota będzie musiała zostać na tym pierdolonym zasiłku, czyli żyć od zasiłku do zasiłku i kupować sobie i Tushindze ciuchy w szmateksach.

Nie dalej jak wczoraj Tushingą był zaproszony na dziecięcą imprezę, ale nie mógł iść, bo nie mieli forsy na kartkę i prezent. No i potrzebuje butów. Porządnych butów, bo przecież już chodzi. Toyota chce,

żeby jego pierwsze buty były nowe, nie jakiś tam chłam z drugiej ręki.

W szkole była dobra z geografii. Zrobiła raz materiał o Afryce. Każdy kraj był zaznaczony innym kolorem. Chciałaby tam kiedyś pojechać i zobaczyć te wszystkie dzikie zwierzęta na wolności.

Pewnie, że stara się, jak może, żeby forsa z zasiłku starczała na cały tydzień. Wkłada ją do różnych słoików i pudełek, trzyma funtowe monety w kieliszku na jajko, ale czy któryś z nich ma choćby blade pojęcie, ile u diabła kosztują jednorazowe pieluchy? Musi szybko nauczyć Tushingę używać nocnika. Andy, jej poprzedni opiekun społeczny, twierdzi, że Tushinga jest za mały, żeby kontrolować pęcherz i jelita, ale ona wie najlepiej, jakie z niego bystre dziecko - dobrze wie, o co chodzi, jak ten cholerny wóz z lodami gra melodyjkę przed domem. Jest po prostu za leniwy, żeby chodzić na nocnik.

Andy radził jej rzucić palenie, ale to było dopiero pięć dni temu. Zresztą, łatwo mu innych pouczać, kiedy sam pali.

Nigdzie nie wychodzi, a ma dopiero dziewiętnaście lat. Ojciec Tushingi widział go tylko raz, w szpitalu, na drugi dzień po urodzeniu. Przyszedł z kumplami i przyniósł olbrzymiego misia, którego jego stara wygrała na loterii, więc to żaden prezent, no nie? Czasem przysyła jakąś forszę przez Polio Johna, ale o pierwszych urodzinach Tushingi to nie pamiętał! Toyota wie, że nie jest już dzieckiem, i może nie jest superładna, ale niektórym facetom to nie przeszkadza. Ma dobry charakter i wie chyba wszystko o zwierzętach w Afryce. Dawniej wypożyczała książki o zwierzętach z osiedlowej biblioteki. Jak tam było ładnie! Cicho, pachniało pastą, a do tego wysokie, łukowate okna. Ale teraz jest tam hurtownia dywanów, a nową bibliotekę przenieśli do jednego pomieszczenia w centrum handlowym i prawie zawsze jest zamknięta.

Nie, nie wie, co Tushinga znaczy po afrykańsku, ale któregoś dnia się dowie.

Kiedy Toyota poszła kupić kartę na energię elektryczną, Jack i premier zajęli się czytaniem ogłoszeń przy wejściu. Z wywieszonego plakatu dowiedzieli się, że Klub Młodzieżowy organizuje spotkania w czwartki w godzinach 19:00-21:00 w świetlicy osiedlowej, w której najwyraźniej zbierają się też emeryci grający w bingo oraz grupa przedszkolna (brak miejsc).

- Podczas wojny przedszkola były na każdym rogu, żeby kobiety mogły pracować - powiedział Jack.

- Jest mnóstwo różnych przepisów, które mają ułatwić samotnym rodzicom powrót do pracy - odparł premier poirytowanym tonem.

Na górze, za zamkniętymi na szyfr drzwiami, właśnie odbywało się spotkanie radnych, urbanistów, pracowników opieki społecznej, kuratorów i policjantów z Komitetem Mieszkańców Gumpton. Uzgodniono, że trzeba wystąpić o dotację i że jeśli pieniądze zostaną przyznane, przeznaczy się je na zakup nowego stołu do ping-ponga, czterech rakietek i odpowiedniej liczby piłeczek, co ma pomóc w zwalczaniu wandalizmu i kradzieży samochodów na osiedlu.

Wreszcie odwieźli Toyotę do domu. Jack zaniósł Tushingę pod drzwi. Przyjemnie było czuć dziecięce rączki owinięte wokół szyi. Dał Toyocie dwadzieścia funtów, mówiąc:

- Masz, kotku. Zrób z tym, co ci się podoba.

Kiedy wrócił do samochodu, surowo odezwał się do premiera:

- Była druga piętnaście, środa, więc czemu biblioteka nie była otwarta?

Premier nie odpowiedział, ale poczuł coś w rodzaju wstydu. Znowu odezwał się ból w klatce piersiowej i mrowienie w palcach lewej dłoni. Nic jednak nie powiedział. To nie może być zawał - jest sprawny, gra w

tenisa i uprawia seks dwa razy w tygodniu. Jego serce powinno być w dobrym stanie. Wziął do ręki gazetę Jacka i przebiegł wzrokiem artykuł na pierwszej stronie. I co z tego, że Adele nazwała Królową nazistką? Jest dorosła, odpowiedzialna i ma prawo do własnego zdania. Edward wierzył w Alexa McPhersona - na pewno zrobi, co się da, żeby to jak najmniej zaszkodziło rządowi. Rozparł się wygodnie na siedzeniu i zapiął pas. Odegnął niemiłe myśli. Ma przed sobą jeszcze trzy dni urlopu.

- Gdzie teraz, szefie? - zapytał Ali.

Jack spytał premiera, co chciałby zobaczyć.

- Jest tu jakiś kościół? - odpowiedział Edward pytaniem.

# 11.

Kościół św. Łukasza to ogromny gmach, wciśnięty między supermarket Costcutters a szereg sklepów zabitych deskami. Witraże były z zewnątrz zasłonięte kratami, a dach pokryty smarem odstrasającym wandalów. Na błotnistej ścieżce przed kruchtą widać było wdeptane konfetti. Z sąsiedniego budynku dobiegała muzyka - grali *Red Sails in the Sunset*.

Jack i premier przedarli się przez błoto i śmieci wysypane z wywróconego kubła na kółkach, i dotarli do sali parafialnej. Ten niewielki budynek, z kratami, iglicami oraz drutem kolczastym, wyglądał jak baza wojskowa. Drzwi były zamknięte, więc zajrzeli przez kraty w oknach. Ujrzeni grupę starszych kobiet i mężczyzn tańczących walca. Wszyscy mieli na sobie lśniące buty do tańca. Kobiety były w pięknych sukniach, mężczyźni w garniturach, koszulach i krawatach. Ich obuwie codziennego użytku stało równo pod ścianą z tyłu.

Jack ze zdziwieniem poczuł wilgoć w oczach, chociaż nigdy nie darzył szczególnym sentymentem *Red Sails in the Sunset*.

Młody czarnoskóry mężczyzna w koloratce i ciemnym garniturze wyszedł z sali frontowymi drzwiami. Uśmiechnął się na ich widok i zapytał z wyraźnym afrykańskim akcentem:

- Przyszliście na tańce?

- Tak - odpowiedział premier. Nagle zapragnął wykonywać obroty i skłony w takt muzyki, z dala od błota, metalowych krat i przejmującego wiatru.

Pastor przedstawił się. Nazywa się Jacob Mutumbo i przybył tu z Pretorii jako misjonarz, aby pomagać biedakom z osiedla Gumpton. Jest w tej parafii zaledwie pół roku, ale już sporo zrobił - zorganizował klub tańca dla emerytów, bo taniec to lekarstwo dla duszy, a przykro mu to mówić, proszę się nie obrazić, ale dusze mieszkańców Gumpton są przeżarte chorobą i potrzebują leczenia.

Jack chwycił premiera i ruszyli w tan do rytmu latynoskiej muzyki Edmundo Rossa. Obaj od dawna nie tańczyli rumbly, ale szło im całkiem nieźle i Jack nieomal poczuł się zawiedziony, kiedy staruszek z rżącym oddechem, zwany Ernie Napier, odbił mu Edwinę i uniósł ją w odległy kąt sali.

Jack usiadł, by złapać oddech. Widział zawistne spojrzenia kilku kobiet skierowane na premiera, gdy ten zmysłowo poruszał biodrami przy gorących rytmach *Guantanamery*.

Kiedy Jacob Mutumbo ogłosił: „Panie proszą panów”, starsza kobieta w czerwonych czółenkach z cekinami i obluzowaną sztuczną szczęką poprosiła Jacka do quick-stepsa. W tańcu powiedziała mu, że jako dziecko dała kiedyś pensa ze swojego kieszonkowego na wysłanie misjonarzy do Afryki.

- A teraz to my ich potrzebujemy - podsumowała.

Ernie Napier popisywał się przed Edwiną: wykonywał takie kroki i obroty, które w miarę jak postępował jego artretyzm i pojawiały się oznaki starzenia, wyeliminował ze swojego tanecznego repertuaru. Teraz jednak, urzeczony stosunkowo młodym wiekiem i wdziękiem Edwiny, zapomniał o wszelkich ograniczeniach, a Edward w butach na wysokich obcasach robił, co mógł, żeby dotrzymać mu kroku.

W przerwie pastor wygłosił kazanie o Bogu. Przedstawił Go jako dobrodusznego ojca, który dokłada wszelkich starań, aby sześciorodzina rodzina nie zeszła na złą drogę.

Podczas homilii Jacoba Ernie Napier położył dłoń na udzie premiera i powiedział:

- Może i mam siedemdziesiąt dziewięć latek, ale wciąż mogę to robić.

Premier odsunął jego dłoń.

- Bardzo dobrze pan tańczy - powiedział.

Ernie przyłożył wilgotne usta do ucha Edwiny i wysapał:

- A kto tu mówi o tańcu? Wciąż mogę TO robić.

Myśl o seksualnym zbliżeniu z sapiącym obślinionym Erniem Napierem sprawiła, że premier nagle poczuł ucisk w klatce piersiowej i pot na dłoniach. Dał Jackowi znak, że chce już wyjść, ale kiedy się podniósł, zakręciło mu się w głowie i powoli osunął się na podłogę.

Natychmiast otoczyli go emerycy, od których w tym ścisku wyjątkowo intensywnie biła stęchła woń starych ubrań i naftaliny. Brakowało mu powietrza i nagle, na równi z bólem klatki piersiowej, poczuł ogarniający go paniczny lęk. Ujrzał Królową z wąsikami Hitlera. „Umieram” - pomyślał i zamknął oczy.

Na przyjazd karetki trzeba było czekać dużo dłużej, niż zalecały to jakiegokolwiek rozporządzenia, a ratownicy od razu przyjęli postawę obronną - o opóźnienie obwiniali blokady na drogach i stosowany w nich skomputeryzowany system wymierzony przeciwko złodziejom samochodów.

Jack ułożył premiera w pozycji bocznej bezpiecznej: na jednym boku, z jedną ręką nad głową. Ed wyglądał, jakby pozował do ubranej wersji zdjęć dla „Readers' Wives”.

Po odjeździe karetki Ernie Napier zalał się łzami i wyznał pastоровi, że to on był przyczyną zasłabnięcia partnerki.



- W rozmowie wspomniałem o seksie - szlochął.

Jacob pocieszał Erniego, mówiąc, że Pan Bóg sam lubi seks i że Ernie nie powinien się obwiniać. Zdejmując buty, Ernie zastanawiał się, z kim też Pan Bóg może uprawiać seks. To pytanie prawie całą noc nie dawało mu zasnąć.

Jeszcze przed opuszczeniem Downing Street Jack ustalił z McPhersonem, że nie będzie się z nim kontaktował, chyba że w sprawach życia i śmierci. Teraz, siedząc w taksówce Alego jadącej za karetką z premierem, pomyślał, że to właśnie taka wyjątkowa sytuacja. Wybrał numer McPhersona i natychmiast uzyskał połączenie.

- Tu McPherson.
- Tu Jack. Edwina jest w karetce w drodze do szpitala.
- O Boże! A co z nim/nią?
- Ratownicy uznali to za zawał.
- Ma problemy z oddechem, poci się, czuje ból w klatce piersiowej i lewej ręce, mrowienie, słabość, wysokie ciśnienie?
- Zgadza się - odpowiedział Jack.
- Jack, to hiperwentylacja. Ostatnio mu się zdarzyło przed przemówieniem w amerykańskim Kongresie w ubiegłym miesiącu. Zbadał go wtedy kardiolog Busha: wszystko było w jak najlepszym porządku. A co robił przed samym tym....

- Tańczył rumbę z emerytem o imieniu Ernie - Jack nie mógł się powstrzymać przed dodaniem: - Teraz jest w stroju Marilyn Monroe.

Nagrodą za szczerość był rzadko słyszany śmiech Alexandra McPhersona.

- Już dojeżdżamy na izbę przyjęć. Zadzwoń później?
- Tak, informuj mnie - odpowiedział McPherson, po czym wykonał całkiem udaną parodię Marilyn, śpiewającej z uczuciem *Ooo, shoo-by doo*.

Tym razem Jack się roześmiał, co spowodowało, że Ali spojrzął na

niego ze szczerym zdumieniem. Gdyby to jego żonę wieźli do szpitala karetką z całą tą tlenową maszyną, na pewno by się nie śmiał. Pewnie by się trząsał ze strachu, modlił i obdzwaniał wszystkich z rodziny, żeby przyszli do szpitala, co nie. Czasami ma wątpliwości, czy Anglicy w ogóle mają uczucia. Jego dzieci urodziły się w Anglii i zauważył, że kiedy ich królik przeziębził się i zdechł, nie płakały zbyt długo ani - o ile mu wiadomo - więcej nie wspominały imienia Flopsy'ego.

Jack zapłacił Alemu kwotę wskazaną przez taksometr plus dwadzieścia procent napiwku. Poradził mu też, by naprawił lewe światło stopu.

Ali zapisał swój numer telefonu na odwrocie rachunku i powiedział Jackowi, że chętnie zaprosi go do domu, żeby poznał jego żonę i dzieci.

Zanim Jack wysiadł z taksówki, Ali powiedział jeszcze:

- Allah ma w opiece pana żonę, nawet jak nie jest muzułmanką, co nie.

Jack podziękował i wysiadł.

Premier leżał na twardym wąskim łóżku z tyłu karetki i przysłuchiwał się kłótni o wózki między ratownikami a kimś, kogo nie widział. Co jakiś czas ktoś cuchnący papierosami i wodą kolońską pochylał się nad nim i mruczał:

- Pani Edwino, proszę głęboko oddychać.

Zapach tlenu i maska na twarzy sprawiały premierowi przyjemność. Wspaniale było leżeć i słuchać komend i zaleceń, żeby się nie ruszać. Poczul błogie rozleniwienie i spokojnie zapadł w sen, wiedząc, że jako prawdziwy pacjent przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny nie będzie musiał mieć swojego zdania, podejmować decyzji ani wystosowywać oświadczeń w żadnej sprawie.

Jack był zaskoczony, że zastał premiera jeszcze w karetce. Spodziewał się, że będzie już na oddziale ratunkowym badany przez lekarzy. Szybko mu wyjaśniono, że nie ma wolnych wózków i dopóki jakiś

się nie znajdzie, lepiej, żeby „pacjentka” pozostała tam, gdzie jest.

Jack wyczuł, że płęć Edwiny podawana jest w wątpliwość, i wcale go to nie zdziwiło. Pod przezroczystą plastikową maską tlenową wyraźnie było widać zarost, szminka już się starła, a bosa stopy na pierwszy rzut oka wyglądały na męskie, zwłaszcza owłosione paluchy.

- Nie można poprosić lekarza, żeby tu przyszedł? - zapytał Jack.

W odpowiedzi usłyszał, że na izbie przyjęć reanimują jakiegoś motocyklistę i że jakiś facet z końcówką rury od odkurzacza przyssaną do penisa wpadł w szal, kiedy lekarz go poinformował, że musi powiadomić o wypadku żonę jako najbliższą rodzinę.

- Czyli cały oddział stoi? - zapytał Jack.

Wyszedł z karetki i poszedł poszukać wózka. Popchnął dwuskrzydłowe drzwi i w jednej chwili znalazł się w innym świecie - w szpitalnej poczekalni oddziału ratunkowego.

Było to duże, oświetlone jarzeniówkami pomieszczenie bez okien, do którego trafiali najróżniejsi pechowcy, niezdary, ofiary wypadków i inni poszkodowani przez los. Przynosili swoje złamanie, oparzenia, rany szarpane, rany cięte, zwichnięcia, tępe bóle, zaparcia, wymioty, gorączki, krwotoki z nosa, ataki, przedawkowania narkotyków i mnóstwo dzieci. To byli ci, którzy spadali z drabin i dachów, pili wybielacze, whisky albo i nic. Wylewali sobie wrzątek na stopy, nadeptywali na roztrzaskane butelki albo potykali się na klockach Lego i spadali ze schodów. Wysiadały im plecy, zapominali zażyć pigułkę, a ich dzieci połykały różne drobne przedmioty. Zostali tu skierowani przez swoich lekarzy rodzinnych albo przez operatorów telefonicznych linii pierwszej pomocy i nikt z nich, może z wyjątkiem tych z syndromem Münchhausena, nie przebywał tu dla przyjemności.

Drzwi wydały okropny, przeszywający pisk, od którego aż ciarki przechodziły po plecach.

W dużym szklanym boksie z napisem „Recepcja” siedziały trzy kobiety w szarych uniformach. Przed każdym okienkiem stała krótka kolejka. W jednym końcu poczekalni znajdował się gabinet, nad którego drzwiami wisiał napis „Izba przyjęć”. Mnóstwo osób siedziało w milczeniu i wysłuchiwało poufnych informacji, nagłaśnianych przez intercom łączący recepcje z poczekalnią.

Czekając na okazję, żeby poprosić o wózek, Jack przeczytał informację nabazgroloną na tablicy informacyjnej czymś, co wyglądało na czarną kredkę:

WITAMY NA ODDZIALE RATUNKOWYM. CZAS OCZEKIWANIA: DZIECI 2 GODZ.; ZRANIENIA DROBNE 2 GODZ.; ZRANIENIA POWAŻNE 2 GODZ.

Poczuł się urażony: nie treścią informacji, choć była ona niepokojąca, ale sposobem jej przekazania. Nie oczekiwał zatrudnienia przez szpital specjalisty od kaligrafii - chociaż przy tej ilości informacji pewnie miałby co robić - ale gdyby tak poświęcić trochę czasu i uwagi estetycznej stronie tej wypowiedzi, pacjenci i towarzyszące im osoby może byliby skłonni uwierzyć, że podobne standardy stosowane są w każdej dziedzinie działalności szpitala?

Pulchna kobieta o dwie osoby przed Jackiem podawała swoje nazwisko i datę urodzenia. Emily Farnham, czwarty, piąty, pięćdziesiąty trzeci. Głośnik intercomu zaskrzeczał i pacjenci w poczekalni zakryli uszy dłońmi, żeby nie słyszeć potępieńczego jęku.

- Spadłam z konia. Powinłam puścić wodze, ale... Chyba złamałam w kostce.

- Proszę usiąść. Pielęgniarka obejrzy panią jak najszybciej.

Emily rozejrzała się za wolnym miejscem i bez niczyjej pomocy na jednej nodze doskoczyła do fotela.

Mężczyzna przed Jackiem podniósł dłoń. Przez niewielką białą poszewkę, w którą była owinięta, przesączała się krew. Facet był w szoku i nie mógł sobie przypomnieć swojego nazwiska ani daty urodzenia.

- Jest pan sam? - krzyknęła recepcjonistka do mikrofonu. Głośnik zniekształcił jej słowa i musiała powtórzyć je trzy razy, nim mężczyzna zrozumiał.

- Żona szuka miejsca na parkingu.

Jack rozejrzył się. Chyba ktoś podejździe, żeby pomóc temu człowiekowi? Do okienka przepchała się kobieta w dość zaawansowanym wieku.

- Mam w samochodzie ojca. Upadł i uderzył się w głowę. Ciągle wymiotuje. Osiemdziesiąt lat i cukrzyk. Nie mogę go unieść, czy ktoś mi pomoże?

- Obsługuję tego pana - odparła recepcjonistka.

- Ale to osiemdziesięcioletek. Cukrzyk. Uderzył się w głowę. Ma torsje.

- Musi go pani tu dostarczyć - powiedziała recepcjonistka.

- To wielki mężczyzna. Nie uniosę go - odparła kobieta.

- Trzeba było wezwać karetkę - stwierdziła recepcjonistka.

W tym momencie kobieta nie wytrzymała. Wrzaskiem dała upust wielogodzinnemu napięciu:

- Czekałam na karetkę pięć i pół godziny! - Odwróciła się od okienka i powiedziała do mężczyzny z krwawiącą dłonią: - Zostawiłam włączony silnik i zaparkowałam na podjeździe dla karetek.

- Odciąłem sobie koniuszek palca. Przywiozłem go ze sobą. Mam go w foliowej torebce w kieszeni - odpowiedział.

Jack miał sporo siły, ale aż ślaniał się pod ciężarem byłego sierżanta sztabowego Philipa Doughty'ego, którego przytaszczył z niewielkiego fiata do poczekalni. Położył pana Doughty'ego na pięciu plastikowych

krzesłach, bo nie było innego miejsca. Córka byłego wojskowego zdjęła płaszcz, zwinęła i wsunęła staruszkowi pod głowę.

Rozzłoszczony Jack przeszedł przez drzwi z napisem „Nie wchodzić” i znalazł się w korytarzu, wzdłuż którego pod ścianami ciągnęły się rzędy wózków z chorymi. Niektórzy byli podłączeni do kroplówek, inni do aparatury monitorującej pracę serca.

Blady chłopak w kurtce motocyklisty leżał jak kłoda z unieruchomioną głową i z czerwonym kaskiem między stopami. Staruszka z siwymi włosami krzyknęła do Jacka, gdy przechodził:

- Synu, pomóż, oni chcą mnie zabić!

Jack obszedł korytarz w poszukiwaniu wózka lub jakiegoś wolnego miejsca. W końcu doszedł do drzwi z napisem „Nocny dyżur”. Nie wiedząc, co robić, uchylił drzwi i poprosił o pomoc dziewczynę o słodkim wyglądzie, która wyglądała na kogoś ważnego. Właśnie dzwoniły dwa telefony, a każdy miał inny sygnał. Dziewczyna powiedziała Jackowi, że dzisiaj jest wyjątkowo spokojnie, więc na pewno wkrótce zwolni się kilka wózków.

Jack opuścił to miejsce, ale nie dał za wygraną. Zobaczył pusty gabinet, wszedł do środka i chwycił plik kartek. Wiedział, że niemal wszędzie można wejść, jeśli tylko sprawia się wrażenie, że człowiek wie, dokąd idzie, i jeśli trzyma się w ręku jakieś dokumenty. Zdjął kurtkę i podwinął rękawy koszuli. Teraz zdoła dotrzeć, gdzie tylko zapragnie.

W pustym gabinecie rentgenowskim znalazł dwa wózki oraz sanitariusza i przejął kontrolę nad wszystkimi. Teraz Jack był doktorem Jackiem Spratem i po kilku minutach premier oraz emerytowany sierżant sztabowy Doughty leżeli na wózkach w korytarzu, czekając na lekarские oględziny.

Premier spał niespokojnie - dręczyły go dziwne sny. Królowa wygłaszała przemówienie w Norymberdze, falangi złotowłosych młodzianów,

wyglądających zupełnie jak księżę Filip w młodości, śpiewały *Mein Führer*. Obudził się, bo brakowało mu tchu, i dobrą chwilę zajęło Jackowi uspokojenie go oraz zapewnienie, że nie umiera i że zaraz obejrzy go lekarz.

Wieczór nadszedł i minął, i nim zapadła noc, między przyjaciółmi i rodzinami pacjentów powstało coś w rodzaju braterstwa broni. We wspólnej niedoli potrafili wykrzesać z siebie takie zdolności pielęgnacyjne, których posiadania nawet się nie domyślali.

O północy kumple motocyklisty wyszli na chwilę i wrócili z pudłami pizzy Domino, którą częstowali wszystkich zdolnych coś przełknąć. Premierowi dostał się kawałek chrupiącej pizzy neapolitańskiej. Okruch ciasta spadł mu z ust i wylądował na gumowej przysssawce od aparatury monitorującej serce.

Jack podniósł okruch i wytarł premierowi podbródek chusteczką higieniczną, otrzymaną od kobiety, która spadła z konia. Potem wyjął z torebki premiera szminkę i poprosił go, by sobie poprawił makijaż.

Dr Singh nie entuzjazmował się aż tak bardzo, jak jego koledzy, wyglądem mężczyzny w blond peruce i damskiej bielunie. Doktor pochodził z Radżasthanu. Kiedyś zabrano go do Puszkaru, gdzie widział grupę transwestytów - pięknych, wytwornie ubranych istot - tańczących ku uciechu tłumu mężczyzn. Był niemal pewien, że ten nieszczęśnik - któremu przydałoby się ogolić, a do tego peruka wciąż zsuwała mu się na bok - miał dostatecznie silne serce, ale mimo to żał mu było odłączyć go od aparatury, na którą już czekał następny pacjent. Był to starszy mężczyzna z dusznicą, który prawdopodobnie bardziej potrzebował tego sprzętu.

Mężczyzna, który nazywał siebie Edwiną, walczył jak lew, by powstrzymać pielęgniarkę przed oderwaniem gumowych przysssawek. Wpadł w histerię, wykrzykiwał, że całe życie opłaca składki na

ubezpieczenie zdrowotne i ma prawo do korzystania z aparatury dłużej niż ledwie dziesięć minut. Jest szefem rządu i jeśli umrze, szpital tego pożałuje, bo minister skarbu Malcolm Black jest przekonany, że Narodowy Fundusz Zdrowia dysponuje olbrzymimi środkami, tylko nie potrafi nimi zarządzać. Dr Singh nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ten biedak najwyraźniej cierpi na ostrą nerwicę lękową. Trzeba go będzie zostawić na noc i rano sprowadzić do niego psychiatrę.



## 12.

O trzeciej nad ranem premier został przyjęty na obserwację na oddział im. Bevana. Jack pomógł zmęczonemu stażyście wypełnić kartę pacjenta, po czym usiadł sobie wygodnie w fotelu i przyglądał się, jak Edward na przemian to zapada w sen, to się budzi. Nie było to wyjątkowo ciekawe widowisko - sprzedaż biletów na oglądanie pacjentów raczej by nie przeszła - ale cały czas coś się działo. Emerytowany sierżant sztabowy Doughty leżał w łóżku naprzeciwko i bezustannie krzyczał, bo zdawało mu się, że jest znowu w pontonie, który dopływa do plaży w Normandii.

Kobieta za parawanem wołała: „Siostro! Siostro!”, ale żadna z siostrzyчек się nie pojawiła.

Mężczyzna, który niefortunnie wszedł w kontakt ze „ssawką” odkurzacza, leżał obok premiera. Z głową pod kołdrą płakał z bólu, upokorzenia i straszliwej pewności, że teraz żona na pewno go rzuci. Przyznał się Jackowi, że już drugi raz w tym roku „upadł” z opuszczonymi do kostek spodniami na ssawkę odkurzacza, który akurat włączył pies. Zdawał sobie sprawę, że to brzmi trochę niewiarygodnie.

Jack z ulgą przyjął blask światel włączonych o szóstej rano. Premier po przebudzeniu stwierdził, że czuje się dużo lepiej. Wyglądał jednak strasznie. Jack podał mu szminkę i ruszył na poszukiwanie maszynki do golenia.

Edward oparł się o poduszki i w tej pozycji przyglądał się niechlujnej kobiecie w źle dopasowanym nylonowym fartuchu, która przejeżdżała

cuchnącym mopem przez środek podłogi.

Były sierżant sztabowy Doughty krzyknął:

- Co to, sam rynek pani sprzęta! Powinna pani myć pod łózkami, bo właśnie tam jest najwięcej zarazków!

Jack kupił paczkę biców w marnie zaopatrzonym szpitalnym sklepi-ku i wyszedł na zewnątrz, żeby zadzwonić do Alego. Poprosił taksów-ka o odebranie z hotelu ich bagaży i przywiezienie ich do szpitala. Ali odparł, że zrobi to, jak tylko da radę, ale najpierw musi iść do me-czetu.

Kiedy Jack wrócił na oddział, zastał premiera pochłoniętego roz-mową ze sprzątaczką o niechlujnym wyglądzie.

- Jack, to jest Pat. Właśnie mi opowiada, ile ma pracy. Musi sama posprzątać dwa oddziały w ciągu trzech godzin. Przed prywatyzacją usług sanitarnych na każdym oddziale były dwie salowe. Były dumne ze swojej pracy i nawet pomagały pielęgniarcom. Jak wrócimy, muszę to poruszyć w Ministerstwie Zdrowia.

Po ogoleniu premiera Jack zmienił wodę kilku kwiatkom w wazonie przy łóżku chudej staruszki z zaledwie kilkoma kosmykami siwych włosów na różowej skórze głowy.

- Długo pani tu leży? - zapytał delikatnie.

- Pięć tygodni - odpowiedziała głosem brzmiącym jak z zaświa-tów. - Jestem przypadkiem blokady łóżka, tak powiedział doktor, jak mnie ostatnio oglądał. Stanął w nogach łóżka i powiedział do studen-tów: „Pani Alcott jest przypadkiem blokady łóżka”. Co to znaczy?

Jack wsadził ostatni goździk do wazonu i mruknął, że nie wie, ale wtedy premier zawołał:

- To znaczy, że nie mogą pani wypisać, bo w domu nie ma niko-go, kto by się panią zajął.

- No, bo ten cholerny rząd pozamykał wszystkie domy opieki, że-by zaoszczędzić kilka funtów - wtrąciła prymitywnie wyglądająca ko-bieta w kraciastej piżamie.

Oddział sprawiał wrażenie sprawnie działającego, ale pod pozorami ładu i organizacji krył się okropny bałagan. Ginęły notatki, leki podawano niewłaściwym pacjentom, karty wypisu nie były sporządzane, a nawet się zdarzyło, że dostarczono bukiet kwiatów do łóżka pacjenta, który już od dwóch dni nie żył. Dwie osoby o nazwisku Smith przygotowano do tej samej operacji, cukrzykowi podano na śniadanie płatki Kellog's z mlekiem i słodzoną herbatę. Pacjencie z napisem nad łóżkiem „Nie podawać nic doustnie” zaproponowano obiad. Równocześnie pielęgniarki uwijały się w pośpiechu, czasem dając pacjentom do zrozumienia, jakie to z nich męczennice.

Lekarze pojawiali się na obchodach i znikali, a jedynym, który zatrzymał się na dłużej przy łóżku premiera, był psychiatra o cichym głosie, wykształcony w Zagrzebiu.

Napisał on potem w raporcie, że znalazł się przy łóżku pacjenta płci męskiej, który sam siebie nazywał Edwiną St Clare. „Uśmiechał się przez cały czas naszej godzinnej rozmowy. Ten «ułomny uśmiech», według nomenklatury proponowanej przez znaną psychoterapeutkę Valerie Sinason w jej niedawnym referacie, pojawia się, gdy wyuczony grymas pełni funkcję mechanizmu obronnego.

Gdy zapytałem panią St Clare, czy niepokoi ją coś konkretnego, odparła: «Tak, mam mnóstwo zmartwień».

Raport stwierdza dalej:

„Poprosiłem o wymienienie kilku dręczących ją problemów. Odpowiedź pacjentki zajęła jej pełne dwadzieścia minut. Z powodu ograniczeń czasowych przytaczam (na podstawie nagrania) tylko niektóre z podanych zagadnień: Strefa Gazy, reforma systemu wyborczego, polowania na lisy, sytuacja kolei, Zespół Zadaniowy do spraw Reintegracji Społecznej, Parlamentarna Komisja do spraw Przywilejów Poselskich, ostatnia okładka „Private Eye”, Ustawa o Stosunkach Rasowych, policja w Irlandii Północnej, była Jugosławia, Ustawa o Zapobieganiu

Terroryzmowi, ubóstwo wśród dzieci, brak mieszkań dla pracowników sfery budżetowej, nielegalna imigracja, jedenasty września, reforma konstytucyjna, etniczna polityka zagraniczna, żywność modyfikowana genetycznie, decentralizacja, zakaz reklamy wyrobów tytoniowych, globalne ocieplenie, kursy walut, najbliższy szczyt G-8, interpelacje poselskie, Osama bin Laden, euro, Kaszmir, finanse rodziny królewskiej, połowy dorszy i polityka unijna w kwestii połowów, kontrola lotów, narodowy stadion piłkarski, Al-Kaida, bezrobocie na północnym wschodzie, Robert Mugabe, Arabia Saudyjska, powrót pryszczycy, Rupert Murdoch, zabłąkane asteroidy, niedobór dentystów zakontraktowanych przez Narodowy Fundusz Zdrowia, martwe delfiny na brytyjskich plażach, wewnętrzny przymus owijania penisa w papier toaletowy Bronco, problemy systemu sądownictwa, kornwalijscy nacjonaści, przestępczość na ulicach, dowody tożsamości (czy powinny się nazywać dowody osobiste?), Bush, Iran, Irak, program gwiazdnych wojen.

Próbowałem pocieszać «Edwinę», zapewniając ją, że nie ona powinna tym wszystkim się martwić, tylko rząd, i że jedna osoba nie jest w stanie orientować się w tak wielu różnych kwestiach. Zażartowałem nawet, że sam Pan Bóg nie dałby sobie rady z tak obszerną listą problemów. W tym momencie «Edwina» wyraźnie się ożywiła i powiedziała: «Pan Bóg to bardzo zdolna istota i chciałabym, żeby było jasne, że całkowicie Go popieram».

Pacjent wykazuje obawy przed jednoznacznymi wyborami oraz wyraźną skłonność do niejasności i obojactwa. Na pytanie o ulubiony kwiat odpowiedział: «Kwiaty wiosenne i letnie». Zapytany o ulubiony zespół rockowy odpowiedział: «Najbardziej popularne grupy», odpowiedź na pytanie o ulubioną książkę brzmiała: «Klasycy». Wykazuje patologiczną niezdolność do wyrażania własnej opinii, spowodowaną obawą przed brakiem akceptacji rozmówcy, w tym wypadku mnie.

Pytałem go o dzieciństwo. Powiedział: «Pragnę jasno stwierdzić, że moje dzieciństwo było bardzo przyjemne». Po tych słowach się rozpląkał.

Pan Jack Sprat, towarzysz/partner «Edwiny», potwierdził, iż «Edwina» od wielu lat żyje w ogromnym stresie. Zasugerowałem, że Edwina powinna udać się na urlop. Pan Sprat zapytał, czy «Edwina» potrzebuje leczenia. Odpowiedziałem, że w razie takiej potrzeby poinformuję go o tym.”

Pacjenci mieli problemy z rozróżnianiem hierarchii pielęgniarek. Premier popełnił poważne faux pas, kiedy poprosił pielęgniarkę z tytułem magistra o poprawienie mu poduszki.

Jack miał już dość czekania na kogoś, kto wypisałby kartę choroby, a przy tym obawiał się, że psychiatra wróci i zatrzyma premiera w szpitalu. O czwartej po południu Jack naruszył więc szpitalne zasady i użył telefonu komórkowego, żeby skontaktować się z Alim. Poprosił go, żeby czekał na nich przy wejściu, a potem zawiózł ich do jakiegoś wiejskiego hotelu. Jack uznał, że premierowi dobrze zrobi rekonwalescencja w zacisznym miejscu.

Ali stwierdził, że zna odpowiedni hotel - kiedyś wiozł tam aktorkę z *Emmerdale* po awanturze z mężem. To miejsce na odludziu, w dawnym szpitalu wariatów.

- Świetnie - powiedział Jack.

Morgan Clare podniósł klapkę i włożył kasetę do magnetowidu. Kasetę wpłynęła łagodnie i po chwili ruszyła. Morgan spojrzął niepewnie na drzwi sypialni. Zamknąć czy nie? Może zamknięte drzwi będą wskazywać, że wstydzi się tego, co ma zamiar zrobić? Wiedział, że rodzicom by się to nie podobało, ale przecież ma prawo sam decydować o takich rzeczach, prawda?

Podczas przygotowań chłopiec czuł narastające podniecenie. Oddech stawał się coraz szybszy, a nogi jak z waty - czuł, że gdyby teraz wstał, nie ustałby długo. Przyszło mu do głowy powiedzenie, że „zżera kogoś żądra”, i pomyślał, że to przecież dosłowny opis tego, co właśnie dzieje się z jego ciałem.

Tę kasetę dał mu wczoraj potajemnie Malcolm Black, minister skarbu, ze słowami:

- Tylko trzymaj ją, bracie, z dala od matki.

Oczywiście, Morgan już trochę o tym wiedział. W szkole było kilka lekcji, a nawet jego dziadek Percy kiedyś brał w tym udział, ale ów skandaliczny epizod pozostawał w rodzinie tematem tabu. Nadszedł więc czas na samodzielne odkrycia. Tylko skąd takie poczucie winy?

Podpełził bliżej telewizora. Film był czarno-biały, a niektóre sceny zamazane.

Wprowadzenie do tego, co najlepsze, dłużyło się Morganowi w nieskończoność, choć przecież liczył się z tym, że będzie musiał znieść wiele dłużyzn, zanim zaczną się naprawdę ostre kawałki.

Wstał i przekreślił zasuwkę w drzwiach. Wiedział, że łamie jedną z podstawowych zasad panujących w domu. Mama i tata nie są fanami prywatności. Czasami Morgan nawet myślał, że boją się samotności.

Usadowił się przed ekranem i wkrótce w nagrodę ujrział obiekt swojego uwielbienia, podziwu, ba, miłości. Aneurin Bevan wygłaszał przemówienie na Konferencji Partii Pracy w Blackpool. Wielka sala zapelniona była delegatami czerpiącymi z wystąpienia naukę i przyjemność. Morgan wsłuchiwał się w tembr ukochanego głosu i delektował dowcipem i mądrością słów mówcy. Chłopak był wprost urzeczony tym, jak pan Bevan potrafił przewodzić klasie robotniczej i z jaką pogardą traktował torysów.

Ktoś obrócił gałkę z drugiej strony drzwi. Morgan usłyszał głos matki:

- Morgan, to ja, mama. Czemu się zamknąłeś?

Chłopiec chwycił pilota i zatrzymał taśmę. Szybko podszedł do drzwi i wpuścił Adele. Bardzo rzadko zaglądała do tego pokoju - nie lubiła pizmowej woni wydzielanej przez nastoletnich chłopców, denerwowało ją też, że zamykają okna i zasuwają zasłony. Wejście do pokoju Morgana było jak wizyta na arabskim bazarze, tyle że bez przyjemności zakupu orientalnych drobiazgów.

- Co tu robiłeś?

Kiedy nie odpowiadał, dodała:

- To nie najlepsza pora na masturbację. Pewnie jeszcze nie odrobiłeś lekcji?

- Właśnie się uczyłem - wymamrotał. Nie znosił, kiedy zaczynała te swoje gadki o masturbacji. Uważał, że ona ma na tym punkcie obsesję i że go do tego zachęca, jakby to była zdrowa forma rozrywki, jak krykiet czy tenis.

Morgan martwił się o matkę. Wiecznie jest czymś zajęta. Nie potrafi usiedzieć w miejscu. Wczoraj zastał ją, jak karmiła Poppy, robiąc równocześnie korektę swojej nowej książki.

Adele podejrzliwie rozglądała się po pokoju. Morgan pomyślał, że byłaby dobrym oficerem śledczym. Nagle podniosła pilota i wcisnęła przycisk „play”. Na ekranie pojawiła się głowa Aneurina i w pokoju rozległ się jego głos: „Religią socjalizmu jest język priorytetów”<sup>22</sup>.

Adele wyjęła kasetę z magnetowidu i powiedziała zranionym, cichym głosem:

- Skąd to masz?

Morgan milczał.

- Zdradzasz wszystko, co jest ważne dla twojego ojca. Chcesz, żebyśmy się cofnęli do czasów, kiedy związki zawodowe trzymały partię w szachu, a na ulicach pełno było śmieci i trupów?

Morgan nie miał pojęcia, o czym mówi matka. Czymże jest trochę

śmieci na ulicach w porównaniu ze szczytnymi ideałami, które w tamtych czasach głosili pan Bevan i jego towarzysz Beveridge?

Kiedy Adele wyszła, zabierając ze sobą taśmę, Morgan rzucił się na łóżko i oddał się przyjemności uzalania nad sobą. Pomyślał, że jest swoistym męczennikiem lewicy, prześladowanym za przekonania polityczne. Co tam, że nie dostanie najków - jeśli będzie trzeba, gotów jest chodzić do szkoły boso, jak dzieci w czasach wiktoriańskich, zanim lewicowy rząd dał im obuwie.

Estelle słyszała krzyki dochodzące z pokoju Morgana. Dobiegały do niej pojedyncze słowa, chyba „lud”, „środki produkcji” i inne tego typu. Pomyślała, że Morganowi już całkiem odbiło: nie ma pojęcia, kto jest w domu Big Brothera ani kto króluje na listach przebojów. Morgan Dziwak-Samotnik. Słyszała wrzaski matki. Miała ochotę pobiec do niej i poprosić, żeby odpoczęła i na kilka dni rzuciła pracę.

Estelle nie chce być kobietą pracującą. Owszem, mogłaby kilka lat coś robić zawodowo, póki nie urodzi dziecka, ale to musiałaby być taka praca, którą kończy się po południu i w domu o niej nie myśli. Mogłaby być hydraulikiem, malarzem albo robotnikiem wykonującym remonty w domach - podobno brakuje wykwalifikowanych robotników. Estelle uważa, że praca zawodowa tylko unieszczęśliwia kobiety. Codziennie przekonuje się o tym na własne oczy. Kobiety pracujące nigdy nie mają czasu, żeby coś zrobić porządnie. Jej mama nazywa to wielofunkcyjnością, ale to zwykle ganieianie w kółko i robienie dziesięciu rzeczy naraz, po czym w końcu kobieta wpada w panikę i wrzeszczy, że spóźni się na spotkanie.

To też znaczy mówienie dzieciom: „Nie teraz”. I czasem płacz, kiedy nie można znaleźć głupiego portfela albo kluczy. Estelle nie da się oszukać chlebem, który mama czasem wkłada do piekarnika. Owszem,



pachnie przyjemnie podczas pieczenia, ale przecież to nie jest prawdziwy chleb domowej roboty.

Praca taty jest oczywiście jeszcze gorsza. To przez nią Estelle jest więźniem. Jak księżniczka w wieży, chociaż nie ma długich włosów, bo mama twierdzi, że krótkie łatwiej rano uczesać. Tata udaje, że się interesuje jej sprawami, jednak Estelle dobrze wie, że on słucha tylko jednym uchem. Chciałaby być najważniejsza w jego życiu. Ale kiedy mu to powiedziała, odparł: „Wszyscy musimy ponosić jakieś ofiary, Estelle”.

## 13.

Tego dnia rano Alexander McPherson zwołał zebranie, żeby omówić kryzys, który prasa zdążyła nazwać: „Noga Barry'ego”. Oprócz McPhersona wśród zebranych byli: wicepremier Ron Phillipot, minister skarbu Malcolm Black, David Samuelson, szef służb wewnętrznych sir Niall Conlon oraz Lucinda Friedman, czyli lekarz Adele.

Dr Friedman przyleciała do Londynu zaledwie godzinę przed planowanym rozpoczęciem zebrania. Alexander wysłał po nią prywatny odrzutowiec, który sprowadził ją z greckiej wyspy Skiros - szczęśliwym trafem mieści się tam baza NATO. Prywatnie McPherson uważał, że w ciągu ostatnich trzech dni na oczach wszystkich Adele zaczęła zdradzać objawy szaleństwa. Dziś na przykład miała na sobie coś, co wyglądało według niego jak strój jakiegoś cholernego klauna z cyrku. Dać jej jeszcze eksplodujące auto i śmiało mogłaby występować w Państwowym Cyrku Moskiewskim.

Po przybyciu na Downing Street 10 dr Friedman udała się na górę do pokoju Adele. Zastała ją w łóżku w pozycji embrionalnej, z dłońmi na uszach. Szybko ustaliła, że Adele przestała zażywać leki i że głosy przepowiadają jej upadek Eda.

- Za tym wszystkim stoi Malcolm Black - powiedziała jej Adele. Dodała, że wyczuwa złe wieści płynące przez ścianę między domem nr 10 a 11. Malcolm ma demoniczną moc, i to on ponosi winę za powódzie,

katastrofy kolejowe i wybuch epidemii pryszczycy, która ostatnimi czasy nawiedziła kraj. Czy Lucinda wie, że Eddy to współczesny mesjasz? Jest dużo lepiej przygotowany do tej funkcji niż kiedyś Jezus, stwierdziła Adele zadziornie. - I Eddy nie pozwoliłby się ukrzyżować przed skończeniem swojej misji na ziemi. Zawarłby jakieś porozumienie z Piłatem, tak jak to zrobił z liberalnymi demokratami.

Kiedy dr Friedman zauważyła, że na razie minister skarbu całkiem dobrze sobie radzi z utrzymywaniem niskiego poziomu inflacji, Adele wyszeptała:

- Ależ nie widzisz, Lucindo, że on chce uspić naszą czujność tym złudnym poczuciem bezpieczeństwa? Jak go spotkasz, spojrzysz mu w oczy, a zobaczysz w nich ogień piekielny.

- Chcesz powiedzieć, że jest diabłem? - powiedziała Lucinda znużonym tonem. - Mam też szukać rogów i kopyt?

Adele roześmiała się.

- Lucindo, żyjemy w czasach współczesnych. Diabeł tkwi w szczegółach, a Malcolm Black ma obsesję na punkcie szczegółów.

Takie religijne wywody były dobrze znane dr Friedman. Pomyślała, że przedstawiciele jej zawodu powinni być wdzięczni panującym religiom za zapewnienie stałego dopływu nawiedzonych klientów.

Stanęła nad Adele i kazała jej połknąć końską dawkę nowego leku psychotropowego. Przed wyjściem zapytała jeszcze:

- Czy Ed myśli, że jest współczesnym mesjaszem?

Adele odpowiedziała ze złością:

- A czy poślubiłabym zwykłego śmiertelnika?

Lucinda zesłała na dół i przyłączyła się do obradujących mężczyzn. Poinformowała szanowne gremium, siedzące przy dużym stole obrad, że Adele miała atak choroby psychicznej, ale właśnie poddała się kuracji

z zastosowaniem nowego leku. Lucinda jest przekonana, że za tydzień lub dwa Adele będzie mniej więcej w normalnym stanie.

- Mniej czy więcej? - zapytał David Samuelson.

- Może przybrać na wadze - odparła Lucinda. - To jeden ze skutków ubocznych.

- Ile? - dopytywał się Samuelson.

- Pacjenci dochodzą nawet do stu pięćdziesięciu kilogramów w bardzo krótkim czasie.

- Dobrze by było, gdyby Ed miał grubą żonę - stwierdził Alexander McPherson. - Przeciętna Brytyjka nosi rozmiar szesnaście.

Ron Phillpot wykrzyknął zaczepnie:

- No, to zanim te leki zaczną działać, będziemy z nią mieć cholerny kłopot. Przecież nie można jej pozwolić iść na ten pogrzeb nogi, no nie?

Phillpot schlebiał sobie, że jest pragmatykiem.

- Nie martw się - mruknął Niall Conlon. - Zajmę się nogą Barry'ego.

Malcolm Black, świadom siły milczenia, nie odzywał się.

Lucinda powiedziała:

- Będzie spała kilka godzin, ale gdy się obudzi, ktoś powinien przy niej być. Ma jakichś przyjaciół?

- Nikogo, komu moglibyśmy zaufać - mruknął Alexander McPherson. - A Wendy siedzi w szpitalu przy tym cholernym Barrym.

Lucinda westchnęła i powiedziała:

- A takie miałam miłe wakacje. No dobra, prześpię się parę godzin i będę tu, jak się obudzi.

Lucinda pożegnała się i wyszła.

Po jej wyjściu mężczyźni rozluźnili się.

Phillpot powiedział:

- Najgorsze, co może zrobić polityk, to ożenić się z mądrą kobietą. Moja żona jest gruba jak szafa, ale dobrze się prezentuje u mojego

boku w okręgach wyborczych i dba o moje koszule. I o ile wiem, nie ma własnego zdania na żaden temat, a co dopiero w sprawie sanctum zewnętrznych części ciała.

- Chyba ci chodzi o sacrum - burknął Malcolm Black.

Samuelson wtrącił:

- Zastanawiam się, czy to nie dobry moment na zmianę nazwy partii.

- A na jaką? - Phillpot spojrział na niego wilkiem.

- Bardzo prostą. Była przed nami cały czas - odparł Samuelson, łącząc ze sobą dłonie. - Oznacza radość, zabawę, balangę, wyzbycie się zahamowań, świętowanie, ale też grupę osób, które jednoczy wspólny cel.

Sir Niall Conlon był tym, który podrzucił to słowo:

- Party? Czyżby nazwa partii miała brzmieć Party Party? - powiedział. - Dziś rano było tego pełno w raportach służb wewnętrznych. Powinien pan bardziej uważać na to, co pan pisze w e-mailach, panie Samuelson. Żyjemy w czasach postprywatności.

Ron Phillpot roześmiał się, ukazując swoje nieciekawe uzębienie.

- Więc chcecie ją nazwać Party Party? - wyobraził sobie te słowa jako slogany na billboardach i plakatach, udekorowanych serpentynami i balonikami. W takiej sytuacji zdyskredytowane wyrażenie „szampański socjalista” mogło zyskać wiarygodność. Mimo to nazwa brzmiała okropnie głupio.

Malcolm Black aż ryknął śmiechem:

- Party Party, niby tak dobrze brzmi, że aż chce się powtarzać?

- Taka nazwa na pewno przemówi do młodych, nie sądzicie? - powiedział Samuelson, który tym razem zajął się masowaniem kolejnych palców.

Malcolm Black powiedział:

- Nie chciałbym przewodzić partii, która uważa, że musi powtarzać to samo słowo w dwuwyzrazowej nazwie. Wziąwszy pod uwagę prognozy demograficzne, mówiące, że wszyscy mamy żyć dłużej, chyba powinniśmy raczej zwracać się do starszych. Ja osobiście proponowałbym nazwę Old Labour.

Rozejrzał się, czekając na komentarze, ale wszyscy unikali jego spojrzenia. Każdy z nich myślał o własnej politycznej przyszłości.

## 14.

Grimshaw to dawny szpital psychiatryczny, przekształcony w 1987 roku w hotel o specyficznym charakterze. W przestronnym holu na wyłożonej boazerią ścianie wisiało grupowe zdjęcie ostatnich pacjentów, zrobione przed ich powrotem na łono społeczeństwa. Oprawiony w ramy kaftan bezpieczeństwa stanowił kolejny akcent humorystyczny.

Właściciel hotelu, Clive Bostock, wyszedł, by powitać dwoje przybyszów. Miał na sobie tweedowy brązowy garnitur. Witając się z nimi tak wylewnie, tak serdecznie i długo ścisnął ich dłonie, że zarówno Jack, jak i premier zaczęli się zastanawiać, czy ten drobny człowieczek z krzaczastymi, siwymi wąsami nie jest przypadkiem ich starym znajomym, którego nie rozpoznali.

Panią Daphne Bostock ich widok ucieszył równie mocno. Zdawała się zachwycona, słuchając szczegółowego opisu ich podróży, i wyraźnie rozbawiła ją uwaga Jacka, że na szczęście deszcz przeszedł bokiem.

Clive Bostock nalał gościom po kieliszku sherry z karafki stojącej na kontuarze recepcji. Jack nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się w pokoju i zdejmie buty, ale gdy poprosił o zameldowanie i wyjął kartę kredytową, Bostock machnął dłonią, jakby ta karta miała go pogryźć i odpowiedział:

- Dobry Boże, człowieku, nie musi pan płacić teraz, jest pan

naszym gościem. Najpierw chciałbym wam pokazać nasz hotel i przedstawić wszystkich, którzy pomagają nam go prowadzić.

- Nie lubimy podkreślać różnic między nami a personelem - dodała Daphne. - Jesteśmy tu jedną wielką rodziną.

Gospodarz poprowadził ich długim korytarzem do dużej kuchni, w której pół tuzina osób, chyba z Europy Wschodniej, przerwało pracę, aby się przywitać. Jack kątem oka zauważył, że jeden z pracowników wykonał obsceniczny gest za plecami pani Bostock.

Pan Bostock potrafił mówić bez przerw na nabranie powietrza.

- Kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy to miejsce, to była prawdziwa ruina, prawda, Daph? Dach zawalony, w izolatkach gąszcz jeżyn, ale widzieliśmy w tym spory potencjał.

Zawsze chcieliśmy prowadzić naprawdę gościnny hotel, taki, gdzie goście mogą wchodzić i wychodzić, kiedy im się podoba, mogą zaglądać do kuchni i podgryzać kawałki sera czy świeżo upieczonego chleba, posiłki jada się w rodzinnym gronie, goście mogą czytać gazetę w salonie i oglądać telewizję razem z Daphne. Nie znajdziecie w swoim pokoju barku, o nie, nic z tych rzeczy. Jak się wam zachce czegoś mocniejszego, zawsze możecie zejść na dół i się poczęstować. Korzystanie z trunków opiera się na zaufaniu, prosimy tylko, by w miarę możliwości nie wypijać wszystkiego, żeby coś zostało też dla innych.

Jack zmarkotniał. Spojrzał na premiera i zauważył, że podobnie jak Daphne Bostock ma on ślady szminki na zębach.

- Nie znajdziecie też jadłospisu śniadaniowego na drzwiach, takiego jak w hotelach wielkich sieci, gdzie każdy jest anonimowy. Śniadania jadamy w kuchni. Na ogół goście wybierają śniadania kontynentalne, ale jeśli będziecie chcieli, można przygotować prawdziwe angielskie śniadanko. Musimy tylko wiedzieć poprzedniego wieczoru,



żeby kucharz zdążył dojechać rannym autobusem. Niektórzy goście czują się tu tak zadomowieni, że zmywają po posiłkach i wyprowadzają psy. Na ogół sami ścielą łóżka i przejeżdżają sedes szczotką klozetową.

Jack popatrzył za okno i zobaczył mężczyznę strzygącego trawnik. Płatny pracownik czy płacący gość?

Ruszyli do apartamentu Ofelii. Idąc korytarzem na pierwszym piętrze, minęli apartament króla Jerzego III i pokoje, których nazwy nawiązywały do postaci słynnych szaleńców.

Apartament obejmował trzy niewielkie, połączone ze sobą pokoje. Jeden z nich - obszerna garderoba - wciąż miał kraty w oknach. Wokół okna i łóżka upięte były różowo-zielone wzorzyste zasłony z perkalu. Pod ścianami, jakby szukając tam schronienia, stały szkaradne meble.

Premiera opanowało przygnębienie i poczuł, jak uśmiech znika z jego twarzy. Ze wszystkich sił próbował go zatrzymać i poszedł do łazienki sprawdzić, jak mu to idzie. Wiedział, że bez uśmiechu przepadnie, utonie w nieszczęściach dzieciństwa i niepokojach dorosłego życia. To uśmiech utrzymuje go na powierzchni, w równowadze, otacza go warstwą ochronną, podobną do tej z reklam pasty do zębów.

- Może by się pan pomoczył w tych bąbelkach zgarniętych z „Nad Wodospadem” - zaproponował Jack.

W tamtym hotelu Edward wrzucił całą zawartość koszyka z przyborami toaletowymi na dno swojej torby podróżnej. Jack, patrząc na to, pomyślał, że nigdy nie spotkał nikogo, kto by tak się ekscytował takimi drobiazgami.

Jack odkręcił kurki nad wanną, ale nic się nie stało. Odczekał niecierpliwie kilka chwil i wreszcie z kranu z gorącą wodą popłynęła cienka strużka letniej wody.

Premier stał obok z buteleczką lawendowego antystresowego olejku do kąpielii. Marzył o długiej kąpielii w pachnącej pianie. Nabrał na nią ochoty, kiedy Jack o niej wspomniał, i teraz, gdy stało się jasne, że z

kąpieli nici, obwiniał o to Jacka. Rozsądek podpowiadał mu, że te pretensje są bezpodstawne, ale w jakimś sensie Jack złożył obietnice, a potem w jakimś sensie ją złamał.

Doszło więc do gwałtownej kłótni, w której Jack krzyknął:

- I kto tu mówi o łamaniu obietnic?! A obietnica, że nie będzie podwyżki podatków?

Padły też inne ostre słowa, których obaj mężczyźni niemal natychmiast pożałowali. Jack przeprosił pierwszy i powiedział, że zadzwoni do recepcji, żeby złożyć skargę Bostockowi. Podniósł słuchawkę staroświeckiego dużego telefonu o szacownym urzędowym wyglądzie, stojącego przy łóżku. Aparat oferował duży wybór połączeń wewnętrznych. Jack wcisnął przycisk „Recepcja”. Nikt nie odpowiadał. Spróbował więc innych połączeń, łącznie z przyciskiem „Terapia elektrowstrząsami”. Usłyszał głos mówiący z amerykańskim akcentem:

- Sissy Klugberg, słucham.

- W apartamencie Ofelii nie ma gorącej wody - powiedział Jack.

- U nas też nie ma - odpowiedziała kobieta.

- To pani też jest gościem?

- No, chyba tak, ale odkąd tu jesteście, mój mąż ciągle strzyże trawnik, więc...

- Pani Klugberg, a czy państwo mają się gdzie myć? - przerwał jej Jack.

- Nie, nie mamy wanny ani prysznic. Jesteśmy w pokoju Napoleona i pani Bostock nam wyjaśniła, że Napoleon nie pozwalał Józefinie się myć. Pewnie dlatego... - jej głos zanikł, kiedy próbowała przytoczyć argumenty pani Bostock uzasadniające brak wody. - Aha, i pani Bostock jeszcze mi przypomniała, że wybraliśmy hotel o wyjątkowym charakterze, a właśnie zimne kąpiele odegrały istotną rolę w kształtowaniu brytyjskiego charakteru.

Jack odparł, że z chęcią pozna panią Sissy i jej męża...

- Ma na imię Glade - podpowiedziała Sissy.

Rozległ się gong, który najwyraźniej miał przypomnieć gościom o przebraniu się na kolację. Następny będzie oznaczał, że kolacja jest gotowa.

Jeszcze raz Jack z rozrzwinięciem pomyślał o Holiday Inn. Chciałby teraz leżeć w łóżku w samej bieliźnie i oglądać CNN, jedząc wegetariańskie potrawy przyniesione przez obsługę do pokoju.

Poppy Clare leżała na pleckach w łóżeczku i ćwiczyła kopanie pulchną prawą nóżką. Wpatrywała się w dziecięcą pozytywkę, która obracała się nad jej głową, grając melodię *Yellow Rose of Texas*. Był to prezent od pary prezydenckiej ze Stanów Zjednoczonych.

Elementy grającej zabawki przesuwały się po okręgu tarczy i kiedy każdy z nich pojawiał się w zasięgu wzroku dziecka, małe rączki wystrzeliwały w górę, pragnąc pochwycić a to but kowbojski, a to kapelusz, szyb naftowy, jałówkę, kaktusa, gwiazdę, żółtą różę lub wielki symbol dolara.

Mechanizm zabawki działał jedenaście minut. Potem zatrzymał się i Poppy zaczynała płakać. Już zauważyła, że jeśli wyda z siebie odpowiednio głośny krzyk, ktoś zjawi się w pokoju. Najlepsza jest mama - przynosi z sobą mleko, miękkie piersi i ciepło - ale Estelle też jest dobra. Estelle wyjmuje ją z łóżeczka, podrzuca wysoko, tańczy z nią przed lustrem i udaje, że jest jej mamą.

Su Lo też jest dla niej miła. To ona zabiera ją na spacer, pokazuje drzewa i pozwala poczuć na twarzy wiatr i słońce.

Tatuz przyjemnie pachnie, ale ściska ją za mocno, jakby się bał, że ją upuści i skrzywdzi.

Zabawka zaczęła zwalniać, dźwięki melodii rozciągały się coraz bardziej i Poppy już wiedziała, że za chwilę wszystko się skończy. Zaczęła kwilić, potem popłakiwać, i wreszcie usłyszała głos Su Lo w małym głośniczku obok łóżeczka.

- Cześć, Poppy. Słyszę cię. Mamusia już cię nie może karmić. Jest chora i jej mleczko jest pełne lekarstw. Dlatego jestem tu w kuchni. Zrobię ci butelkę pysznego mleczka. Przyzwyczaisz, się do niego, zobaczysz.

Poppy nie wie, co to butelka - wcześniej mleko pochodziło tylko z jednego źródła: od mamy. Wie tylko, że wszyscy w jej świecie są dobrzy.

Zabawka zatrzymała się. Poppy obserwowała w milczeniu, jak wielki symbol dolara kiwa się ponad jej głową.

Premier usiadł przy stole, który pełnił funkcję toaletki i biurka, i zaczął tworzyć wiersz zatytułowany *Pamela*.

*Kim jest Pamela, kimże jest?*

Skreślił tę linijkę, kiedy uprzytomnił sobie, że jest już słynny wiersz o podobnej budowie.

Czemu właśnie Pamela przyszła mu do głowy? Mieszka w pobliżu Bourton-on-the Water wraz z mężem o imieniu Andrew - niesympatycznym mężczyzną, którego praca ma jakiś związek z psami. Edward nie widział jej już trzy lata. Kiedy został premierem, siostra przysłała mu kartkę z gratulacjami. Z jednej strony było zdjęcie groźnie wyglądającego dobermana, a z drugiej słowa: „Drogi Ed, Jesteś więc na czele zaprzęgu. Gratulacje. Zawrzyjmy układ: ty milczysz o mnie, a ja o tobie. Twoja Pamela”.

- Przepraszam za to wszystko. Powinniśmy byli jechać do Holiday Inn - odezwał się Jack.

Premier uśmiechnął się do lustra i odpowiedział:

- Bostockowie to fantastyczni ludzie i to jest fantastyczne miejsce, wszystko jest fantastyczne. Naprawdę fantastycznie się bawię.

Kolację podano w dawnej pralni zamienionej na jadalnię. Pan Bostock kroił żylasty kawał mięsa i nakładał kawałki na zimne talerze gości.

Premier włożył na kolację obcisłą sukienkę z cekinami i wyglądał niemal kobieco w słabym świetle kinkietów z energooszczędnyymi żarówkami.

Gburowaci pomocnicy kuchenni podchodzili i odchodzili z różnymi chłodnymi potrawami z podziemnych części warzyw. Na drewnianej desce leżał bochen chleba z mąki mielonej na żarnach.

Glade Klugberg, Amerykanin w kraciatym kaszmirowym swetrze, powiedział:

- To naprawdę wspaniale.
- W Stanach nie mamy nic takiego - dodała jego żona.

Jack zapytał:

- Czy rano będzie gorąca woda?
- Niestety, panie Sprat, to zależy od kaprysów naszego dość chimerycznego bojlera - odpowiedział Clive Bostock.

Jack przełknął kęs ohydneho jedzenia i powiedział:

- Za dwieście sześćdziesiąt funtów za dobę można się chyba spodziwać gorącej wody, a nie jakichś kaprysów.

Przy stole zapadła cisza, którą przerwała dopiero Daphne Bostock:

- To nie jest Holiday Inn, panie Sprat.
- Wiem. W każdym Holiday Inn, w którym nocowałem, gorąca woda była dwadzieścia cztery godziny na dobę - odpowiedział Jack.
- Naprawdę, panie Sprat, można by pomyśleć, że pan fetyszyzuje gorącą wodę - roześmiał się Clive Bostock.

Premier siedział ze wzrokiem wbitym w stół znaleziony przez Bostocków w starym skrzydle terapii zajęciowej. Kiedyś odbywało się przy nim wyplatanie koszy i inne uspokajające czynności. Edward nienawidził takich sytuacji. Potrafił sobie radzić z konfliktami w Kosowie i Sierra Leone - były abstrakcyjne i nie dotyczyły go bezpośrednio

- ale tutaj, w jadalni Bostocków, czuł, że powinien w jakiś sposób załagodzić konflikt, ale to było ponad jego siły. Bostock przypominał mu ojca, i to Eda trochę peszyło.

- Właściwie, osobiście uważam, że gorąca woda jest trochę... no wiecie... jej zalety są przesadzone.

- Otóż to - powiedział Clive Bostock. - W mojej szkole tylko cioty jęczały o gorącą wodę.

Nagle Jack zapragnął za wszelką cenę wygrać tę batalię z Bostockiem o gorącą wodę. Poczul się, jakby byli na korcie Wimbledonu, więc odbił piłkę z powrotem, mówiąc:

- Największym znanym mi twardzielem był Mitch Bates, kapitan komandosów. Brał gorącą kąpiel dwa razy dziennie.

Bostock wahał się na linii końcowej, po czym nagle ruszył w stronę siatki i przerzucił piłkę na drugą stronę.

- Podobno zostało naukowo udowodnione, że zbyt częste korzystanie z gorącej wody osłabia spermę. Panie mi wybaczą.

Jack sięgnął piłki i odbił z powrotem.

- Mitch Bates ma dwanaścioro dzieci: ośmiu chłopców i cztery dziewczynki. Wszystkie mają ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Bostock nie zdążył dobiec do piłki, i Jack mruknął pod nosem:

- Gem, set, mecz.

Daphne Bostock wstała od stołu i poszła do kuchni. Słysząc było, jak krzyczy na obcokrajowców, żeby zrobili kawę i przynieśli do salonu.

Premier nie odzywał się do Jacka ani nie spojrzał mu w oczy. Czego się tak uczepił tej gorącej wody? Co się z nim dzieje? Bostockowie to sól tej ziemi.

Bostockowie zaprosili całe towarzystwo do swojego salonu. Jack zauważył parę skarpetek Clive'a na dywanie obok pustego kominka. Na kanapie leżała robótką Daphne, a wszędzie wokół pełno było zdjęć w srebrnych ramkach, pokazujących tępe twarze dzieci i wnuków

Bostocków. Na ekranie olbrzymiego telewizora siedł właśnie teletur-  
niej *Milionerzy*.

- Siadajcie, rozgośćcie się. Jesteście teraz przyjaciółmi rodziny.

Jack zauważył, że Bostockowie zajęli najwygodniejsze krzesła i że kiedy ponura kobieta o imieniu Ewa wniosła kawę, Clive Bostock naj-  
pierw nalał sobie i swojej żonie.

Jack doprowadził Bostocka do szału, poprawnie odpowiadając na  
wszystkie pytania Chrisa Tarranta i wygrywając tym sposobem milion  
funtów. Amerykanie nie mogli wyjść ze zdumienia:

- Co to z pana jakiś geniusz, czy co?

Jack sam był zdumiony. Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że  
wie, że kapelusze typu panama pochodzą z Ekwadoru.

- Jack jest produktem brytyjskiego państwowego systemu oświaty  
- stwierdził premier.

Daphne Bostock pociągnęła nosem, jakby słowo „państwowy” spo-  
wodowało smród w salonie.

- Edwino, skoro uważasz, że szkoły państwowe są takie dobre, to  
czemu nie posyłasz do nich swoich dzieci? - powiedział Jack.

- My odmawialiśmy sobie wszystkiego, żeby posłać dzieci, Marka  
i Gillian, do dobrej szkoły prywatnej - powiedziała pani Bostock.

Jack pociągnął łyk kawy i zauważył:

- Od lat nie piłem kawy z żołądźmi<sup>25</sup>.

Bostock uznał to za komplement. Jack dał premierowi znak ręką, że  
już czas udać się na spoczynek. Kiedy byli na schodach, słyszeli jesz-  
cze, jak Clive Bostock głośno opowiada Glade'owi i Sissy, że kawę z  
żołądźmi wynalazł Robin Hood w lesie Sherwood w jedenastym wieku.

Po powrocie do pokoju Jack zadzwonił do matki. Norma nie bardzo  
chciała z nim rozmawiać, bo miała w domu gości. W tle słychać było

jakieś głosy i co pewien czas wybuchy śmiechu. Norma powiedziała mu, że James jest dla niej jak syn, a wtedy Jack poczuł ukłucie zazdrości. Kiedy matka dodała, że kolacja jej stygnie, Jack pozwolił jej odejść i odłożył słuchawkę. Nie omieszkał jej jeszcze przypomnieć, że może dzwonić do niego na komórkę o każdej porze. „Dzięki, ale chyba nie będę dzwonić”, usłyszał w odpowiedzi.

Jack liczył, że mama zapyta, co u niego słychać. Czasami potrzebował takich drobnych oznak sympatii. Wyjął z torby zestaw do pielęgnacji butów i wyczyścił swoje półbuty i buty premiera. Potem zapytał Edwarda, co chciałby robić następnego dnia.

- Chcę się spotkać z Pam - odpowiedział premier. Kiedy został liderem opozycji, niezawodne służby bezpieczeństwa ostrzegły go, że jego siostra może „sprawiać kłopoty”. Teraz zapragnął dowiedzieć się dlaczego. Nagle poczuł chęć porozmawiania z nią o matce.



## 15.

Dom Normy znowu był pełen gości.

- Tu jest jak w ONZ - powiedziała do Jamesa, rozglądając się po pokoju. Wokół siedzieli chłopcy i dziewczęta, jedząc frytki z białych plastikowych tacek. Norma poprosiła Jamesa o kawałek dorsza, ale on wrócił z pstrągiem panierowanym i powiedział, że dorsz jest teraz artykułem luksusowym, na który mogą sobie pozwolić tylko bogaci.

- Świat zwariował! - skomentowała Norma.

Posmarowała masłem kromki chleba, pokroiła je równo na połówki i umieściła na dużym talerzu, udekorowanym srebrną serwetką. Częstowała chlebem wszystkich obecnych, a ci jedli go z frytkami. Wszyscy mówili „proszę” i „dziękuję”, i większość używała papierowych ręczników, które im zaproponowała zamiast serwetek.

James drażnił się z nią - mówił, że jego kumple to puszczone samopas dzieciaki, które i tak nie docenią takich subtelności - ale ona widziała, że na nim samym takie drobiazgi robią wrażenie.

Było kilka rzeczy, których Norma nie lubiła w tych wizytach. Jedną z nich to ciągle przeklinanie - pieprzyć to, pieprzyć tamto, pieprzone skurwysyny i pieprzone wszystko inne. Jedną z dziewcząt powiedziała kiedyś przy Normie „mac twoja jebana”, a wtedy Norma krzyknęła ze złością:

- Ty mała wulgarna żmijo! „Matka” to szczególne słowo. To matki dają życie na tym świecie!

James namówił dziewczynę do przeprosin. Norma była z niego dumna - wyglądało na to, że wszyscy ci chłopcy i dziewczyny czują przed nim respekt i robią mniej więcej to, co im każe. Był urodzonym przywódcą. Wyjaśnił Normie, że odkąd zamknięto osiedlowy klub, młodzi nie mają się gdzie podziać wieczorami. Dużo lepiej będzie, jeśli przyjdą do Normy i wypalą skręta, niż mieliby się szwendać po ulicach i jeszcze wpaść w jakieś kłopoty.

Nie lubiła też tej muzyki. Nie rozumiała, co wspólnego z muzyką ma to ich „łup, łup, łup”. Miała wrażenie, że słucha tłumu wściekłych facetów, którzy wrzeszczą, że przywalą swoim zdzirom. Łatwiej było to znieść po wypaleniu kilku jointów. Zresztą wszystko było wtedy łatwiejsze. Przestała wspominać Stuarta, martwić się o Yvonne i o to, że Jack jest samotny. Nawet artretyzm przestał się jej dawać we znaki, a gdy zasypiała, miała piękne sny.

Kiedy młodzież już się wyniosła i James z Normą sprząтали w kuchni, James zapytał:

- Normo, nie miałabyś ochoty popracować społecznie w weekendy? Zarobiłabyś jakąś stówę.

- Za stara jestem, żeby chodzić do pracy - powiedziała Norma.

- Ale właśnie nie musisz nigdzie chodzić. Przyprowadzałbym tych nieszczęśników tutaj na jedną dobę: od piątku wieczorem do soboty wieczorem.

- A co im jest? - spytała. Pomyślała o mikrobusie, który kiedyś zabierał chłopca z zespołem Downa z domu na początku ulicy.

- Są uzależnieni od nielegalnych środków - powiedział. - I potrzebują matki, która by się nimi opiekowała, kiedy są nieprzytomni. Muszą być w bezpiecznym miejscu, gdzie nie zrobią żadnej krzywdy sobie ani innym.

- I co miałbym robić?

- Niewiele. Tylko ich karmić, czasem umyć albo coś przeprać. Zdarza się, że tracą kontrolę nad odruchami, na dole, rozumiesz?

- James, czy mówimy o kokainie? - Norma czytała kiedyś *Poradnik o narkotykach dla rodziców*, drukowany w dodatku do „Mirror”. Jednym z objawów jest niekontrolowana biegunka. Kokainiści mieszają kokę z sodą oczyszczoną, i to powoduje gwałtowne wypróżnienia.

- Byłabyś w tym świetna - powiedział James. - Bo przecież nie skreślasz ludzi za szybko, no nie? Rozumiesz ćpunów i współczujesz im. To znaczy... robiłaś, co mogłaś, dla Stuarta, nie? Chciałabyś, żeby Stuartem opiekował się ktoś taki jak ty, mam rację?

- Czy ty też jesteś jednym z tych nieszczęśników?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Od kiedy?

- Dopiero kilka tygodni - odpowiedział James. - Ale odkąd wziąłem to pierwszy raz, mogę myśleć tylko o tym.

Norma usiłowała sobie przypomnieć, co przeczytała w „Mirror”. Czy po koce się wściekają? Stają się gwałtowni? Czy to po ekstazy? Nie pamiętała.

Nie mogła znieść tego jego spojrzenia i wreszcie powiedziała:

- Jeśli mam pracować zafajdane gacie, to musi kosztować więcej niż stówę.

- Stoi - pocałował ją na dobranoc i poszedł spać.

Gdy Norma usłyszała trzask drzwi do pokoju z osłami, zdjęła buty i odpięła kilka haftek na gorsecie pod sukienką. Jedna z dziewcząt skomplementowała szczupłą sylwetkę Normy i powiedziała jej, że nie wygląda na siedemdziesiąt jeden lat.

Norma zwróciła się do Petera kołyszącego się na swoim trapezie:

- Nie mów Jackowi, Pete. Mógłby mieć kłopoty.

Peter, gwałtownie machając skrzydłami, zeskoczył z małej huśtawki i dopadł do pojemnika na wodę z nadzieją, że Norma pamiętała o jego napełnieniu. Pojemnik jednak był pusty.

Kiedy premier i Jack zeszli na dół na śniadanie, w kuchni wrzało - Bostockowie kłócili się, a Glade i Sissy zmywali naczynia, które wyglądały na pozostałości po posiłku z poprzedniego dnia.

Bostock mówił do żony:

- To teraz łap za słuchawkę i ściągnij tu nowych obcokrajowców. To przez ciebie odjechali.

Daphne zwróciła się do Jacka i premiera, szukając u nich zrozumienia:

- Powiedziałam tym cudzoziemcom tylko, że mogliby się czasami uśmiechnąć, zwłaszcza że jesteśmy dla nich tacy dobrzy. Wiem, że mieli ciężkie życie, tortury, musieli opuścić swoje wioski i tak dalej. Ale Clive i ja byliśmy dla nich bardzo dobrzy. Daliśmy im wygodne miejsca do spania i jedzenie. Owszem, nie to samo, co myśmym jedli, ale zawsze jedzenie. I dostawali kieszonkowe, a gdyby się więcej uśmiechali, mogliby jeszcze dostawać jakieś napiwki od gości. Powinni być nam wdzięczni.

Clive podsunął Jackowi i premierowi resztki chleba z kolacji oraz klejący się słoik z marmoladą, i powiedział:

- Dziś rano trochę się nam pokomplikowało. Cudzoziemcy w nocy uciekli, a dzisiaj mamy jeszcze konferencję. Czy państwo by nie pomogli w ustawianiu krzesel?

Zanim premier zdążył otworzyć usta, Jack odpowiedział:

- Przepraszam, ale oboje mamy problemy z kręgosłupem, a poza tym wyjeżdżamy do Gloucestershire, jak tylko przyjedzie po nas samochód.

- My chętnie pomożemy - zaofiarowała pomoc Sissy.

Konferencja miała się odbyć w starej sali gimnastycznej, gdzie kiedyś co roku na bożonarodzeniowych imprezach chorzy tańczyli z personelem. Fotografie na ścianach przedstawiały uśmiechniętych ludzi w papierowych czapeczkach. Nie dało się odróżnić pacjentów od strażników.

Jack i premier stanęli w przejściu i przyglądali się, jak Glade i Sissy wyjmują krzesła i ustawiają je w rzędach przed niewielkim podwyższeniem.

Na transparencie widniał napis: „Karta identyfikacyjna - szansą dla firmy”.

- Może to jeszcze nie Wielki Brat, ale Wielka Siostra i cała pieprzona Wielka Rodzinka - powiedział Jack.

- Przesadzasz - mruknął premier.

- Kto jak kto, ale ty chyba rozumiesz potrzebę chwilowej anonimowości, możliwości wyrwania się, żeby nikt nie wiedział, kim jesteś i co robisz?

- Nie ma się czego obawiać, jeśli się nie ma nic do ukrycia - stwierdził premier, jakby powtarzał mantrę.

- Ale ja mam coś do ukrycia. Mój stan zadłużenia, upodobania literackie, to, którą partię popieram, kryminalną przeszłość ojczyma, to, jak zmarł mój brat, ile gorzały piję na tydzień, mój kod genetyczny. Z jakiej racji jakaś firma ubezpieczeniowa miałaby to wszystko wiedzieć?

Te słowa dały premierowi do myślenia. Czy wprowadzenie kart identyfikacyjnych ujawni jego sekret z papierem toaletowym Bronco? Był przekonany, że jedyną osobą, która wie, w jaki sposób z niego korzysta, jest Adele. Umarłby jednak, gdyby wiadomość o tym dziwactwie dotarła do „Daily Mail”.

Kiedy premier się pakował, Jack wyszedł na dwór, żeby zadzwonić do Alego. Pragnął jak najszybciej opuścić to miejsce. Zobaczył zbliżający się do hotelu sznur mikrobusów. Wewnątrz siedzieli odziani w ciemne garnitury mężczyźni i kobiety. Patrzył, jak wysiadali i gromadzili

się przed wejściem do budynku. Clive Bostock wyszedł na powitanie i po chwili wprowadził ich do środka.

Adele zapadała w błogi sen i wynurzała się z niego. Łóżko było niebiańsko miękkie i ciepłe, a ona czuła się tak lekka, jakby otoczono ją jakąś czarodziejską pierzynką z gęsiego puchu i piór łabędzich, połączonych delikatną przędzą utkaną przez świetliki.

Trzy łabędzie trzymające w dziobach jedwabne liny ciągnęły jej *bateau lit* przez błękitno-różowe niebo. Słońce zachodziło za linią horyzontu w średniowiecznym krajobrazie.

Adele podróżowała do Wrózkolandii, utopijnej krainy, której pejzaż zaprojektowała Vita Sackville-West. Tam wróżki spijają poranną rosę z kwiatów, jedzą jagody i żywią się tylko tym, co daje im natura.

Adele usiadła na łóżku i odezwała się do łabędzia na czele zaprzęgu:

- Chyba jedziemy w złą stronę... nie powinniśmy skręcić w lewo przy Drodze Mlecznej?

- Przepraszam, ale kursuję trasą do Wrózkolandii od tysiąca lat, więc proszę mnie nie pouczać - odparł łabędź.

- Kiedy dostanę skrzydła z babiego lata? - Adele ponownie zwróciła się do łabędzia.

- Po przybyciu - odpowiedział ptak z irytacją. - Spróbuj odpocząć. Adele jednak nie potrafiła odpocząć.

- Co będę robić we Wrózkolandii? - zapytała.

- To, co inne wróżki: będziesz spała w hamaku z sieci pajęczej, rozwieszonym między dwoma źdźbłami trawy, rano będziesz przemywała twarz w umywalce z czapeczki żołądza, będziesz piła na śniadanie nektar i jadła jagody, a przez resztę dnia będziesz robiła, co zechcesz.

- I dobrze zostanie przyjęte, jeśli będę tylko siedzieć i nic nie robić? - zapytała Adele niepewnie.

- To będzie idealnie przyjęte - odparł łabędź. - Bezczytność jest stanem niezwykle cenionym we Wrózkolandii.

- Ignorancja jest otaczana czcią - dodał inny łabędź.

Unoszona przez łabędzie ku horyzontowi, Adele planowała swoją przyszłość. Będzie nosiła kwiat dzwonka na głowie i zamówi u krawca wrózek suknię z płatków róż. Chyba nie potrafi sama uszyć sobie stroju wróżki, jest beznadziejna, jeśli idzie o igłę i nitkę.

Lucinda siedziała na krześle przy łóżku Adele i czytała artykuł w piśmie „Spectator”, w którym chwalono jakże odważną postawę Adele w jednej z najważniejszych kwestii dnia, czyli w sprawie nogi Barry'ego. Lekarka z zaciekawieniem przeczytała, że podobno słyszano, jak papież mówił w kilku językach: „Nogę Barry'ego dał mu Bóg, zabrał mu Bóg i do Boga należy pozbycie się jej szczątków”.

Adele przechyliła się przez łóżko. W dole lśniła Wrózkolandia. Adele zaczęła odczuwać niepokój. O ile jej wiadomo, system społeczno-ekonomiczny Wrózkolandii może być podobny do świata, który opuszcza. Czy jest to system klasowy? Czy niektóre wróżki mieszkają w dużych muchomorach, w luksusowych enklawach w lepszych miejscach, a inne gnieźdzą się w małych grzybkach na skraju mokradeł?

- Będą tam książki? - zwróciła się do łabędzia-przewodnika.

- Nie, we Wrózkolandii nie ma książek - odparł łabędź. - Książki to tylko źródło problemów.

- Ale ja muszę mieć coś do czytania - naciskała Adele.

- A do czego doprowadziły te twoje wszystkie książki i czasopiśma, wynalazki, szkoły filozoficzne i systemy polityczne? - zapytał łabędź.

Zaczęli obniżać lot. Adele usłyszała dźwięczny śmiech i wkrótce zobaczyła tysiące wrózek, które zadzierały do góry głowy i uśmiechały

się do niej. Każda z nich miała taki sam nos jak Adele.

Lucinda zauważyła, że pierwszym ruchem Adele po przebudzeniu było zakrycie dłonią tego jej olbrzymiego nosa.

- Śniło mi się, że mieszkam w Wrózkolandii.
- Jak tam było? - zapytała Lucinda z zawodowego obowiązku.
- Bosko. Nie było nic do roboty - powiedziała Adele.
- A inne wróżki? - naciskała Lucinda.
- Wspaniale.

Lucinda czuła jednak, że Adele coś ukrywa, i zapytała:

- Był tam Ed?
- Nie, ale to nic - odpowiedziała Adele.
- Co więc było nie tak?
- Nic.
- No nie, Adele. Zbyt długo cię leczę. Wiem, kiedy coś przede mną ukrywasz.

Adele podniosła dłoń do nosa. Lucinda wykorzystała okazję:

- Adele, jest tylko jedna rzecz, o której nigdyśmy nie rozmawiały, chociaż zawsze mówimy sobie wszystko prosto w oczy, można by powiedzieć: prosto w nos... bo właśnie o nos mi chodzi, Adele.

Adele naciągnęła kołdrę na twarz, tak że widać było tylko jej oczy.

- Adele, to musi zniknąć z twojej twarzy. Znam chirurga plastycznego, który...

Adele wpadła we wściekłość.

- To cielesny faszyzm! - krzyknęła. - Czemuż to mam się dopasowywać do lansowanych przez media kanonów piękna?

- Musisz przyznać, że to twój wielki problem. On cię psychologicznie ogranicza - powiedziała Lucinda.



Godzinę później Lucinda i Adele przeglądały katalog chirurga plastycznego, szukając modelu nosa dla Adele. A było w czym wybierać - katalog prezentował nosy w najróżniejszych rozmiarach i kształtach.

## 16.

Kędy Norma i James wrócili z hipermarketu z zapasami jedzenia dla weekendowych gości, zastali dom całkiem odmieniony. Drzwi frontowe były wzmocnione metalową płytą, a w oknach na parterze znajdowały się kraty.

- Wygląda jak więzienie - stwierdziła Norma. - A gdzie moja skrzynka na listy?

- Po co ci skrzynka? - odpowiedział James. - I tak nigdy nie dostajesz listów.

Przenieśli pudełka z żywnością z samochodu do kuchni, gdzie zastali trzech kolegów Jamesa przymocowujących stalowe wzmocnienie do kuchennych drzwi.

Norma zaproponowała im herbatę, a wtedy jeden z chłopców powiedział:

- Już poczęstowaliśmy się kawą, Normo. Chyba nie masz nic przeciwko. Daliśmy Peterowi pić i tak dalej.

- Czy wy, chłopcy, pracujecie w samorządzie? - zapytała Norma.

James roześmiał się i powiedział:

- Nie, pracują dla mnie. Chcę, żeby moja mama czuła się w domu bezpiecznie. Trzeba się zabezpieczyć przed złodziejami i obcymi, nie?

Jack zadzwonił akurat w chwili, kiedy do okna w kuchni wstawiano kraty. Powiedział Normie, że może wpadnie do niej podczas weekendu.

- A kiedy? W piątek, sobotę czy niedzielę? - zapytała.

Jack odpowiedział, że jeszcze nie ma ustalonych planów, i zapytał, czy to ma dla niej znaczenie.

James przysłuchiwał się ich rozmowie. Potrząsnął przecząco głową i ułożył usta w kształt słów: „Nie. Nie w ten weekend”.

- Nie przyjeżdżaj w ten weekend. Będę zajęta - powiedziała Norma do telefonu. Potem nie wiedząc, jak się zachować, dodała: - No to cześć - i odłożyła słuchawkę.

Norma i James rozpakowali pudełka. Ułożyli na stole puszki piwa, mrożone pizze, burgery i opakowania gotowych frytek.

James kupił tyle jedzenia, żeby starczyło dla ośmiu osób, łącznie z nim i Normą.

- Jak już będziemy działać kilka tygodni, kupimy dobrą zamrażarkę i nową pralkę - powiedział.

Norma skinęła głową, ale myślami ciągle była przy Jacku. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie pozwoliła mu przyjechać w weekend. Czasami miała wrażenie, że James zaczyna rządzić jej życiem, ale wolała mu się nie sprzeciwiać. Nie chciałyby powrotu do czasów, kiedy spędzała dni w samotności i oprócz Pete'a nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Czuliła się trochę zawiedziona, że James przestał sprzątać, ale pogodziła się z tym, gdy jej wytłumaczył: „Normo, w twoim wieku musisz się ruszać. To ci dobrze zrobi na serce i w ogóle”.

Po opuszczeniu hotelu Grimshaw premier zaproponował, żeby pojechali do Bourton-on-the-Water bardziej malowniczą trasą przez Peak District. Na stacji benzynowej kupili mapę i Edward zaofiarował swoją pomoc w pilotowaniu. Jednak już po kilku minutach skierował ich na drogę dojazdową do jakiegoś gospodarstwa i Ali musiał na pięć razy nawracać niemal pod domem zaskoczonego farmera, który wraz z żoną obserwował ich manewry przez okno. Po jeszcze kilku takich

wpadkach premier podał mapę Jackowi, mówiąc zalotnie:

- Ty się tym zajmij, Jack. Wiadomo przecież, że kobiety są beznadziejne w czytaniu map.

Ali powiedział:

- Moja pani doskonale zna się na mapie. Doprowadziła nas z Islamabadu do Karaczi, całe dziewięćset mil, bez jednego złego skrętu.

Premier spoglądał przez szybę na urokliwe wrzosowiska. Czuł się poniżony umiejętnościami żony Alego.

Jack niechętnie przejął mapę. Dobrze mu było, gdy siedział sobie wygodnie rozparty i napawał się widokami. Podobał mu się ten krajobraz. Było w nim coś pierwotnego, dzikiego. Dziękował Bogu, że w zasięgu wzroku nie ma krytych strzechą domów.

Droga z Leek do Buxton - biegnąca najwyżej w Anglii - wystawiła cierpliwość Alego na ciężką próbę. W jednej chwili jechali w ostrym słońcu, a już w następnej tonęli w gęstych chmurach. Ciężarówka i kampery sunęły przed nimi powoli, smagane porywami silnego wiatru. W którymś momencie jak spod ziemi wyrósł przed nimi jakiś emeryt w trzykołowym samochodzie Reliant Robin. Wszystko wskazywało na to, że kierowca spokorniał i zwolnił do piętnastu mil na godzinę. Nie mogąc wyprzedzić go z powodu nieprzerwanego sznura pojazdów z przeciwka, Ali zupełnie stracił humor i po raz pierwszy od początku ich znajomości poniosły go nerwy - kłął i wygrażał pięścią staruszkowi w małym trzykołowcu przed nimi.

Przed samym Bakewell Jack zauważył szyld reklamujący tradycyjne brytyjskie podwieczorki. Poprosił Alego, żeby zjechał na niewielki parking przed gospodą. Premier i Jack wysiedli, lecz Ali nie ruszył się zza kierownicy.

Jack pochylił się nad uchylonym oknem po stronie kierowcy i powiedział:

- Ali, chodź z nami, stąd nikt nie ukradnie auta.

- Nie, nie mógłbym - spojrział z niepokojem na budynek z szarego kamienia obrośnięty bluszczem, jakby to była kwatery KGB.

- A dlaczego? - zapytał Jack.

- To nie dla mnie. To miejsce dla Anglików.

- Przecież jesteś Brytyjczykiem - powiedział premier. - Masz takie samo prawo zjeść tradycyjny podwieczorek, jak każdy obywatel brytyjski.

Ali roześmiał się śmiechem, w którym nie było słycać radości.

- Kiedyś poszedłem do pubu za miastem z dwa szwagrami. W środku był jak w ulu, ale kiedyśmy weszli, wszyscy zamilkli. Zanim zdążyliśmy coś zamawiać, właściciel powiedział: „Myślałem, że wam nie wolno pić”. Ja mu na to: „Możemy pić sok pomarańczowy”. Byliśmy tam z pięć minut, co nie, a wtedy wchodzi jakaś kobieta i mówi do właściciel: „Ja cię, Eric, to oni już się zaczęli rozpełzać poza miasta?”

- Zgłosiłeś to do Komisji Stosunków Rasowych? - zainteresował się premier.

Ali i Jack roześmiali się.

- Ed, twoja wiara w instytucje rządowe jest naprawdę wzruszająca - powiedział Jack.

- Gdybym chciał chodzić do Komisji Stosunków Rasowych za każdy raz, kiedy ktoś mówi na mnie „pieprzony asfalt”, musiałbym chyba się rozbić biwakiem pod ich drzwiami. Nie, poza pracą trzymam się swoich ulic. Trochę szkoda, bo moja żona, ona lubi wieś, krowy, te rzeczy.

Premier powiedział:

- Nalegam, żebyś z nami poszedł, Ali. Tradycyjny brytyjski podwieczorek to obyczaj, który powinien być dostępny dla każdego z ważnym brytyjskim paszportem.

- Tudzież z kartą identyfikacyjną - bąknął Jack.

Ali niechętnie wysiadł z taksówki i pozwolił się zaprowadzić do wnętrza gospody. Pochyleni nad stolikami goście z zaciekawieniem

zwrócili głowy w ich stronę. Ich uwagę przyciągał jednak nie Ali, tylko premier. W Peak District transwestyci byli większą rzadkością niż Pakistańczycy. Przybysze usiedli przy wolnym stoliku. Ali spuścił głowę i ponuro wbił wzrok w obrus w drobną różową kratkę. Nieciekawie jest być jedynym ciemnoskórym w takim miejscu, a do tego w takim towarzystwie! Ali już po kilku godzinach wiedział, że kobieta z blond włosami to tak naprawdę facet, zresztą wszyscy to widzą, co nie. Obiecał swojej pani, że jeśli Jack znowu zadzwoni, to Ali powie mu, że jest zajęty. Gdyby się rozniosło, że się zadaje ze zbrojeńcami, wzięto by go w meczecie na języki. Już i tak na niego naciskają, żeby kazał żonie nosić czarczaf. Jak jej o tym wspomniał, zacytowała mu fragment Koranu, mówiący, że kobiety są równe mężczyznom, a potem dodała: „Wiesz, że nie znoszę niczego na twarzy, nawet włosy na głowie mnie denerwują”.

Ali żałował, że nie ma z nim żony. Ona na pewno wiedziałaby, co zamówić. Czyta po angielsku lepiej od niego. Zanim go poznała, zdała tu egzaminy i pracowała w banku.

Premier zapytał Alego, na co ma ochotę.

- Nie jestem głodny. Dziękuję - odpowiedział Ali. Nie była to prawda, ale przecież nie mógł się przyznać, że nie rozumie niektórych słów w karcie. Mimo że nie jadł nic od śniadania i umierał z głodu.

Jack zaproponował:

- Weźmiemy różnych rzeczy po trochu i podzielimy się.

Do ich stolika podeszła chuda przygarbiona dziewczyna w wieku szkolnym i powiedziała mechanicznie:

- Dzień dobry. Jestem Emma. Będę państwa obsługiwała. Czym mogę służyć?

- Dzień dobry. Jestem Jack. Będę waszym klientem. Chciałbym złożyć zamówienie - odpowiedział Jack. Spojrzał na staroangielskie pismo w menu i przeczytał: - Półmisek świeżo zerwanej sałaty z kawałkami świeżo

pieczonego chleba, tradycyjne wiejskie babeczki z porcją wybornej śmietany i zestaw owoców prosto z ogrodu, konfitury i duży dzbanek herbaty Earl Grey.

Po kilkakrotnym powtórzeniu zamówienia, kiedy dziewczyna wreszcie zrozumiała, czego od niej oczekują, premier zwrócił się do Alego:

- Ali, chciałbym z tobą pogadać o życiu w tym kraju, rasizmie, integracji i odrębności etnicznej.

- Już wołałbym o krykiecie - powiedział Ali.

Alexander McPherson ostrzegł Edwarda: „Trzymaj się z dala od krykieta, zmus się raczej do śledzenia tego, co dzieje się w piłce nożnej. Nowa partia, nowa piłka nożna”.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Jack udawał, że czyta menu. Ali przesunął palcem wskazującym po liniach wzoru na obrusie, a premier ze wszystkich sił próbował sobie przypomnieć nazwisko gracza w krykieta, o którym mu niedawno donoszono. W końcu powiedział:

- Angielski Komitet Krykieta rozważał możliwość, żeby najbliższe rozgrywki między Indiami a Pakistanem odbywały się na neutralnym gruncie, tu, w Anglii.

- Neutralnym! - roześmiał się Ali. - Krew się poleje w Headingley, mówię wam, co nie. Nie żebym miał jakieś uprzedzenia... nawet mam paru kumpli z Indii.

Podano jedzenie. Jack od razu zauważył, że przyniesione potrawy niewiele mają wspólnego z tradycyjnym podwieczorkiem, jaki sobie wyobraził. Środek każdej kanapki spływał majonezem, bułeczki zostały nieumiejętnie podgrzane w mikrofalówce i skwierczały na talerzu, śmietana była z puszki, a zamiast konfitur podano dżem w małych plastikowych pojemniczkach, które trzeba było przebijać zębami widelca.

Jack gestem przywołał Emmę i powiedział:

- Na tych kanapkach jest majonez.

- Przyszły już z majonezem - poinformowała go dziewczyna.

- Jak to przyszedło? Skąd?
- Z fabryki kanapek w Buxton.
- To chyba z dziesięć mil stąd - stwierdził Jack.
- Prawie piętnaście - sprostował Ali tonem profesjonalisty.
- A kto piecze te bułeczki? - dociekał Jack.

Dziewczyna zdawała się nie rozumieć pytania.

- Piecze? Są z Islandii.
- Islandii? - odezwał się premier, który niedawno był w Rejkiawiku. - Ależ to zupełnie absurd!

Ali wyjaśnił, że „Islandia” to ogólnokrajowa sieć sprzedawców detalicznych, specjalizujących się w mrożonkach.

- Czy mogę już zabrać? - zapytała Emma.
- Proszę zostawić earl greya.

Gdy Emma przyniosła im rachunek, Jack uregulował go w całości. Nie chciał się wdawać w kłótnie z nerwowym dziewczątkiem, które nie zna prawdziwego znaczenia słów „świeży”, „tradycyjny” czy „z ogrodu”.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Emma powiedziała ze smutkiem:

- Żałuję z państwem rozstać. Polecamy się na przyszłość.
- Słucham?
- Żałuję z państwem rozstać. Polecamy się na przyszłość - powtórzyła Emma jak zaprogramowany robot.

Jack powiedział:

- Emmo, nie jesteśmy w Ameryce, a ty nie jesteś Amerykanką. Ktokolwiek cię tego nauczył, był kompletnym kretynem.
- Co z tego - burknęła dziewczyna.

Mikrofalówka zadzwoniła i Emma obróciła się na pięcie.

Zatrzymali się milę dalej, żeby w sklepie przy stacji benzynowej kupić słodycze, chipsy, napoje gazowane i „Daily Mail”. Ali zawsze czytał horoskopy. Te dziecięce łakocie nieco poprawiły im humor.



Ali włożył do odtwarzacza kasetę ze składanką hitów i już po chwili wszyscy trzej śpiewali wraz z Eddym Floydem *Knock on Wood*, zbliżając się do Staffords i do koszmaru, który czekał ich na M6.

Po minięciu czterech zjazdów i wspólnym odśpiewaniu *Under the Boardwalk*, *Rainy Night in Georgia*, *Soul Sister*, *Brown Sugar* i *When a Man Loves a Woman*, dotarli do połączenia z trasą M54 i stanęli w korku, wciśnięci między cysternę, oznakowaną symbolem czaszki i skrzyżowanych piszczeleli, a ciężarówkę wyładowaną trzema warstwami beczących owiec.

- Czemu stoimy? - spytał premier.

- Taki ruch, co nie - wyjaśnił Ali. - Zawsze tak jest w Walsall. Ostatnio, jak tu jechałem, co nie, to stałem w korku trzy i pół godzin. Przeczytałem gazetę, nawet się przespałem, a jak się obudziłem, ludzie nie siedzieć w wozach, tylko łazili po autostrada i gawędzili. Było całkiem miło - rozmarzył się. - Jeden facet z czerwonej astra dał mi puszkę lilt, jak powiedziałem, że chce mi się pić. Ale coś wam powiem: jakby ten bałwan Edward Clare się tam pojawił, rozszarpaliby go na kawałki.

Edward rozejrzał się i widząc znieruchomiałe pojazdy, powiedział nerwowo:

- Za ruch drogowy nie odpowiada premier. To działka ministra transportu.

- Ron Phillipot to zwykły kmiot, co nie.

- Zgoda. To faktycznie kmiot. Został wicepremierem tylko dlatego, że trzeba było zrobić ukłon w lewą stronę - odpowiedział premier.

- Zdaje się, że rząd buduje gdzieś tutaj północną obwodnicę? - zmienił temat Jack.

- To Partnerstwo Publiczno-Prywatne. To będzie płatna droga.

Ali zareagował:

- Czemu miałbym płacić dychę za przejazd kawałek drogi? Już płacę podatek drogowy, podatek dochodowy, podatek samorządowy i akcyza, co nie.

- To bandytyzm drogowy. Dick Turpin robił to samo dwieście lat temu.

Kolejne dwie godziny posuwali się z prędkością pieszego. Słuchali radiowej audycji dla kierowców, w której trwała akurat burzliwa dyskusja na temat roli żony premiera. Czy Adele powinna tylko pełnić funkcje reprezentacyjne, czy też ma prawo do wyrażania własnych opinii w sprawach o ogólnonarodowym znaczeniu?

Kiedy słuchacz z Truro, który przedstawił się jako Peter, powiedział, że Adele Floret-Clare jest babą z większymi jajami niż jej mąż, premier ukradkiem poprawił swoje klejnoty w bieliźnie żony i skinął potakująco.

Hassin z Kettering twierdził, że Adele ma rację w sprawie nogi Barry'ego, chociaż pochówek kurzajek to lekka przesada.

Sandra z Cardiff zasugerowała, że powinno się znaleźć jakieś kompromisowe rozwiązanie, zmierzające do centralizacji pochówków kurzajek. Nie wie, ile kurzajek mieści się w przeciętnej trumnie, ale na pewno setki, jeśli nie tysiące.

Doktor Singh, wykładowca matematyki na Uniwersytecie Brúñela, powiedział, że do przeciętnej trumny weszłoby około pięćdziesięciu jeden tysięcy ośmuset czterdziestu dwóch brodawek. Zaraz po tej wypowiedzi Ali wyłączył radio i ponownie włączył tę samą kasetę.

Zanim ruch na drodze nabrał płynności, znali już na pamięć słowa *Knock on Wood*, a nawet doprowadzili do perfekcji taneczne ruchy przystosowane do warunków samochodowych, z pukaniem się wzajemnie po głowach włącznie.

Edward przeżywał chwile prawdziwych uniesień: w całym swoim życiu nie był tak szczęśliwy. Za każdym razem, gdy *Knock on Wood*

się kończyła, błagał, żeby puścić ją jeszcze raz.

W końcu Ali stwierdził:

- Nie, już mnie głowa boli, co nie. Jack, przeczytaj mi mój horoskop. Jestem Koziorożec.

Jack czytał na głos: „Ciemne chmury zbierają się nad twoją głową. Droga ci osoba płci przeciwnej czuje się zaniedbana - czy mówiłeś jej ostatnio, że ją kochasz? Zaniedbanie może doprowadzić do poważnej zmiany życiowej, której możesz żałować”.

Ali natychmiast sięgnął po komórkę i zadzwonił do domu. Rozmawiał z żoną w urdù. Kiedy znowu trzymał obie dłonie na kierownicy, premier zapytał:

- A co gwiazdy mówią o Rybach?
- Myślałem, że jesteś z maja - zdziwił się Jack.
- Bo jestem - powiedział premier - ale Malcolm Black jest spod Ryb.

Jack zaczął więc czytać: „Ten tydzień przyniesie ci szansę samorealizacji. Masz odwagę i talent, teraz zdecyduj się i zdobądź, co ci się należy. Jeśli myślisz o przeprowadzce, może trzeba będzie ją odłożyć. Nie zniechęcaj się”.

Premier wyszeptał:

- A to sukinsyn, tylko się odwróciłem...

Skinął głową, gdy Jack zapytał, czy ma przeczytać horoskop dla Byka.

„Wciąż dręczy cię stare poczucie niepewności. Nie przerywaj podróży. Może już czas spocząć na laurach. Niech teraz inni odwalają czarną robotę. Sprawy rodzinne wymagają twojej uwagi”.

Edward siedział w milczeniu.

- Jack, a ty spod jaki jesteś znaku? - zapytał Ali.
- Rak, ale to tylko stek bzdur.

Żeby jednak zadowolić Alego, przeczytał: „Miłość czeka tuż za rogiem. Jeśli będziesz przed nią uciekać, możesz przegapić szansę na

prawdziwe szczęście. Czy ubezpieczenie twojego domowego zwier-  
zaczka jest aktualne?”

Zatrzymali się przy Frankley Services na M5, żeby skorzystać z toa-  
lety. Jack i Ali weszli do męskiej, premier udał się do damskiej.

Edward siedział na sedesie jeszcze długo po tym, jak już skończył  
sikać. Ciężko mu było się pogodzić z faktem, że jadą już na południe i  
że za dwa dni znowu będzie musiał się borykać z problemami tego  
świata. Mógłby na zawsze pozostać w tej kabinie: słuchać dźwięku  
spuszczanej wody, szumu suszarek do rąk i szebiotania kobiet po-  
prawiających makijaż przed lustrem. Objął głowę dłońmi i siedział tak  
zamyślony, aż usłyszał głos Jacka:

- Edwino, jesteś tam?

## 17.

Malcolm Black i jego żona Hannah siedzieli na kanapie. Jego olbrzymia głowa spoczywała na jej wątłym ramieniu. Poinformował swojego kierownika biura i osobistą asystentkę, że musi spędzić godzinę z żoną i nie życzy sobie, by mu w tym czasie przeszkadzano. Hannah powiedziała:

- Powinieneś już przystrzyc włosy. Wczoraj w telewizji wyglądałeś okropnie. Jakbyś miał perukę z państwowej ubezpieczalni.

- Aż tak źle?

Ich wspólna godzina dobiegała końca, a wciąż nie podjęli decyzji. Czy ona chce, żeby został premierem, czy nie? Jeśli nie, to skoncentruje się na stabilizowaniu gospodarki i likwidowaniu ubóstwa wśród dzieci. Jeśli tak, na zawsze odmieni oblicze Wielkiej Brytanii.

Malcolm zaczął obgryzać paznokcie, aż żona musiała uderzyć go po łapach.

- Miło się siedzi - powiedział.

- To mogłaby być ciekawa przygoda - stwierdziła Hannah.

Malcolm roześmiał się:

- No, jedna z tych wspaniałych brytyjskich przygód, które zwykle kończą się klęską. Mógłbym zostać Ernestem Shackletonem brytyjskiej polityki.

Hannah wyprostowała się i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Jak bardzo chcesz zostać premierem? W skali od jednego do dziesięciu?
- Dziesięć - odpowiedział.
- No to chyba powinieneś nim zostać - stwierdziła.
- Nieźle jak na przemądrzałego gnojka z Govan, nie? - zachichotała.

Jako dziecko Malcolm był nad wyraz rozwinięty. W wieku trzech lat znał już na pamięć wszystkie książki o Tomku Tendrzaku. Zamęczał wszystkich dokoła pytaniami, których lista nie miała końca, tak że dorośli, którzy raz się z nim zetknęli, unikali go jak ognia. Zdawał się żyć w innym świecie niż jego szkolni koledzy: chował się jak żółw w swojej skorupie, gdy wyciągano do niego rękę. W wieku szesnastu lat dostał się na Uniwersytet Edynburski, gdzie zakochał się w bałkańskiej księżniczce. Gdyby ją poślubił, mógłby kiedyś zostać królem jej kraju. Straszny z niego bałaganiarz. Kieszenie zawsze ma pełne najróżniejszych potrzebnych rzeczy. Kiedy ogląda mecz w telewizji, tak wciąga się w to, co dzieje się na boisku, że Hannah zawsze boi się, że pięknie mu jakieś naczynie krwionośne. Wychował się w dokach Govan i bieda, z jaką się tam zetknął, uczyniła z niego socjalistę. Zawsze był szczególnie wrażliwy na los dzieci.

Nie wierzy w Boga. Zaskoczeniem było dla niego, że premier, minister spraw wewnętrznych i minister spraw zagranicznych należą do ruchu chrześcijańskich socjalistów. Wszyscy trzej sprawiają wrażenie rozsądnych. Któregoś dnia Malcolm zastał ich wszystkich w pokoju ze złożonymi rękami i zamkniętymi oczami - jakże wtedy pragnął, by byli pograżeni w myślach, a nie w modlitwie.

Hannah Black wyszła, żeby oddać się swoim popołudniowym zajęciom. Malcolm wyciągnął zeszyt z zadaniem domowym Morgana Clare'a i położył sobie na kolanach. „Partnerstwa publiczno-prywatne są mniej wydajne i bardziej kosztowne niż projekty finansowane ze środków

publicznych. Przedyskutuj”. Malcolm Black napisał: „Nie ma o czym dyskutować. PPP same udowodniły, że to katastrofa. W przyszłości trzeba podchodzić do takich inicjatyw ze szczególną ostrożnością. Decentralizacja na szczeblu państwowym i regionalnym oraz inicjatywy PPP coraz bardziej uwalniają rząd centralny od odpowiedzialności w razie niepowodzeń, zarazem pozwalając mu czerpać korzyści, gdy wszystko idzie dobrze”.

Taksówka Alego zbliżyła się do przydrożnej tablicy, na której widniał napis gotyckimi literami: „Niebo: niebiańska opieka nad twoim psem. Pierwszy zjazd w prawo”. Obok stał znak „Na sprzedaż” z nazwą agencji nieruchomości i numerem telefonu.

Ali przepuścił jadący prosto traktor i skręcił w żwirową drogę. W oddali słychać było szczekanie wielu psów.

- To chyba całe stado psów, co nie? - powiedział Ali z obawą w głosie. - Nie lubię psów. Mojego wujek ugryzł w Lahore taki jeden, co miał wścieklizna.

- Wątpię, żeby któryś z psów w schronisku Pameli miał wściekliznę. Pobyt tu kosztuje sto funtów za dobę - powiedział premier.

- No nie, wolne żarty!

Zatrzymali się przed ładnym domem w stylu georgiańskim<sup>28</sup>. Wysoka kobieta z jasnymi włosami związanymi na czubku głowy przechodziła przez boczną furtkę. W ręku niosła plastikowe wiadro. Nawet z daleka do złudzenia przypominała premiera. Miała na sobie szarą kurtkę z polaru, wąskie wytarte dżinsy i zielone kalosze.

Kiedy Edward wysiadł z taksówki, postawiła wiadro na ziemi i powiedziała:

- Boże, Ed! Wyglądasz w sukience lepiej niż ja!

Jej śmiech był przyjemnie niski i ciepły, brzmiał jakby miała za sobą przebytą infekcję gardła. Wyjęła paczkę st moritz z górnej kieszeni

kurtki i zapaliła papierosa różową zapalniczką. Natychmiast zaczęła kaszleć.

- Te cholerne fajki mnie wykończą - mruknęła.

Jej akcent był elegancki, ale nie odstraszał. Jack od razu ją pokochał.

Nie zauważył ani jej brudnych paznokci, ani że włosy ma związane męską skarpetką. Premier przedstawił ich sobie. Uścisnęli sobie dłonie, popatrzyli sobie w oczy i uśmiechnęli się do siebie. Ona odezwała się pierwsza:

- Wiedziałam, że któregoś dnia się zjawisz.

Jack w pierwszej chwili pomyślał, że mówi do niego, ale nawet jeśli tak było, odpowiedział jej premier:

- Pam, mnie tu nie ma.

- A tak, wiem - odpowiedziała. - Jesteś w bunkrze i bawisz się w wielkiego wojennego dowódcę.

Premier odsunął ją od samochodu i szepnął:

- Kierowca, Ali, nie wie, kim jestem. Nie zdradź mnie przed nim.

Ali siedział za kierownicą i czekał, aż Anglicy skończą swoją dziwną ceremonię powitania. Zastanawiał się, czy jego dzieci nauczą się udawać, że nie cieszą się z rodzinnego spotkania albo z poznania nowych przyjaciół. Piękna siostra tego dziwnego faceta w peruce zapukała w szybę i zaprosiła Alego do domu na herbatę.

Ali zapytał o psy i opowiedział jej o wujku w Lahore. Zainteresowało ją to i zapewniła go, że tutaj nie ma się czego obawiać.

Od chwili, gdy uścisnęli sobie dłonie, Pamela unikała wzroku Jacka. Rozmawiała głównie z Alim - z zainteresowaniem wypytywała go o powolną śmierć wujka.

Doszli do niskiego bielonego budynku.

- To tu mieszkają nasi podopieczni - powiedziała Pamela. - Właśnie miałam im dać kolację. Eddy, idź do środka i zrób Alemu herbaty, a Jack może mi pomóc nakarmić psy.



Premier z ulgą oddalił się od szczekających i warczących czworonogów. W dzieciństwie ojciec nie pozwalał mu trzymać żadnych zwierząt ze względu na higienę.

Jack spodziewał się charakterystycznej woni środków dezynfekcyjnych, kamiennej podłogi i klatek. Ze zdumieniem patrzył na odgradzone „pokoje”, wykładzinę i delikatne oświetlenie. Każdy zwierzak miał swój wybieg i kolorowy telewizor. Kilka z nich oglądało *Crossroads*<sup>29</sup>.

Podczas gdy Pamela przechodziła z pokoju do pokoju i wsypywała Pedigree Chum do psich misek, Jack, sam nie wiedząc kiedy, zaczął jej opowiadać o psie, którego miał w dzieciństwie. O tym, że tamten psiak zupełnie nie protestował, gdy go używano jako podpórki pod stopy.

- Jak się wabił? - zapytała Pamela.

- Bobek - odpowiedział Jack. Nie powiedział jej jednak, że nigdy na ulicy nie zawołał psa po imieniu. Gdyby go tak nazwał przy sąsiadach, cała dzielnica wyśmiewałaby się z czworonoga i znęcała nad nim, bo słowo „bobek” oznacza w tej okolicy ekskrementy.

Pamela była niemal tak samo wysoka jak on. Podobało mu się to - mniejsze kobiety go onieśmiały. Nie mógł się napatrzeć na jej ładną twarz. Wszystko mówiła półzartem. Usiłował zgadnąć, ile może mieć lat. W końcu zapytał o to wprost.

Odpowiedziała natychmiast:

- Czterdzieści jeden. Słyszałam kłamstwa, że lata po czterdziestce to najlepszy okres w życiu.

- Czemu kłamstwa. Przecież przeżyłaś dopiero jeden taki rok.

- Tak, i był wystarczająco okropny. W styczniu rzucił mnie mąż, doradca finansowy zwinął się do Tangeru, a cholerny rząd Eddy'ego pozwolił korporacjom zagarnąć moją emeryturę.

Jack słuchał tego z przyjemnością. To znaczyło, że jest wolna i bezbronna. Pomyślał, że mógłby spróbować dać jej szczęście i odbudować jej fundusz emerytalny.

Zapytał, czy ma dzieci, i z ulgą przyjął wiadomość, że nie.

- Za bardzo lubię dzieci, żeby mieć własne - powiedziała. - Byłabym okropną matką. Zasadniczo jestem leniwa, bardzo samolubna, a w ogóle to boję się bólu. Pewnie naogłądałam się za dużo westernów. Te wszystkie żony kowbojów wrzeszczały podczas porodów, jakby je obdzierali ze skóry.

- Zawsze rodziły synów, nie?

- No tak. Ja byłam dla ojca podwójnym rozczarowaniem. Nie dość, że brzydka mała dziewczynka, to jeszcze zabiła matkę.

- Pośrednio - sprostował Jack.

Siłą woli powstrzymywał się, żeby jej nie dotknąć, nie objąć i nie przytulić mocno. Już prawie się odważył, żeby położyć dłoń na jej ramieniu, ale obawiał się ją sploszyć.

Weszli do domu kuchennymi drzwiami. Stary czarny labrador podbiegł do Jacka i rzucił mu pod stopy gumowego Mikołajka.

- To jest Bill - powiedziała Pamela. Jack pogłaskał psa za uchem, mówiąc:

- Cześć, Bill.

Na podłodze małego pomieszczenia gospodarczego stała skrzynka na surowce wtórne. Wystawało z niej kilka butelek po stolicznej. Jack zapytał Pam, czy mieszka sama.

Kopnęła w skrzynkę i odpowiedziała:

- Tak. I trochę piję, bo jestem samotna.

Jack niemal z zadowoleniem przyjął wiadomość, że ona ma jakąś wadę, że nie jest ideałem. To dawało mu nadzieję, że może będzie potrzebowała jego pomocy. Chciałby otoczyć ją opieką. Zresztą, pomyślał, on sam pije za mało. Widziałby ich razem w Hiszpanii, może nawet

na korridorze. Ona jako Ava Gardner, on - Ernest Hemingway. Upiliby się i awanturowali w publicznym miejscu.

Zapytał, czy mógłby się napić wódki. Nagle poczuł, że byłby w stanie wychylić cały kieliszek na jeden raz.

- W całym domu nie ma ani kropli. Ciągłe zapominam kupić, jak jestem we wsi - w jej głosie słychać było rozczarowanie.

Nie jest więc alkoholizką, pomyślał Jack z ulgą. Zresztą, może być kimkolwiek chce. Dla niego to nie ma znaczenia.

- Mam wino - powiedziała - ale tego się chyba nie uważa za drinka. To bardziej lekarstwo, odkąd ci cholerni lekarze ogłosili, że dobrze jest pić dwa kieliszki dziennie.

Wszyscy usiedli przy dużym stole pośrodku kuchni. Na stole leżały książki, gazety i sterta wezwań do zapłaty rachunków. Ali niemal natychmiast zasnął.

- Przecież on jest, kurde, kompletnie padnięty. Nie pozwolę mu jechać dzisiaj do Leeds! - oznajmiła Pamela.

Jack zastanawiał się, czy te częste przekleństwa w jej ustach działałyby mu na nerwy po ślubie. Nie wyglądała na kogoś, kto spokojnie przyjmuje krytykę.

Premier zapytał:

- Pam, czemu Andrew odszedł? Znalazł sobie inną?

- Pewnie się znudził. Jestem nudziarą, Ed. Właśnie dlatego nigdzie nie bywam: wszystkich zanudzam na śmierć. Zupełnie nie umiem podtrzymywać rozmowy.

Jack obiecał sobie w duchu nigdy już nie iść na żadne przyjęcie. Chce siedzieć w domu i być zanudzanym przez Pamelę.

- Nigdy nie gotuję. Ale mam jakieś żarcie - skinęła głową w stronę spiżarni i lodówki - na pewno coś znajdziecie.

Zapaliła kolejnego papierosa i powiedziała do Jacka: - Jesteś policjantem, tak? W ubiegłym tygodniu miałam tu włamanie.

- Co zabrali? - zapytał Jack.
- Typowo: telewizor, wideo, trochę srebra. Całą moją biżuterię.
- Zgłosiłaś to? - zapytał premier.
- A po co? Alarm nie działał, więc pierdolona firma ubezpieczeniowa i tak nic mi nie wypłaci.

Jack chętnie by jej powiedział, że z ochotą przeznaczy wszystkie swoje oszczędności na odkupienie utraconej biżuterii.

Jakby czytając w jego myślach, Pamela dodała:

- Zresztą wcale mi jej nie żal. I tak mam wszystkiego za dużo. Spójrzcie na ten dom: pięć pokoiów, dwie łazienki, trzy pokoje gościnne i kuchnia. I wszędzie pełno kłopotów. Już mi bokiem to wszystko wychodzi. Nigdy w życiu nie kupię już żadnej rzeczy. To, o czym marzę, to biały pokój, małe, białe łóżko, popielniczka i kilka książek.

- Właśnie opisałaś więzienną celę. I jeśli nadal będziesz się zadowalała z takimi, co ciągle wpadają w tarapaty, pewnie tam wylądujesz - powiedział premier.

Ed otworzył lodówkę i zajrzał do środka. Była tam miska czerwonych jabłek, dwa pory, torba kielkujących ziemniaków, garnek śmietany, paczka zgliwiałego sera i różne małe zawiniątka w przegródce na nabiał.

- Przy tobie wychodzę na anarchistkę. A my tylko jesteśmy przeciwni wszystkiemu, co symbolizuje twoja osoba.

Premier trzasnął drzwiczkami lodówki i wyszedł do spiżarni. Słyszeli stukot jego obcasów, gdy chodził w kółko po kamiennej posadzce. Kiedy wrócił, powiedział:

- Nie ma nic do jedzenia, a ja jestem głodny.
- Nie jęcz, Eddy. To mi się kojarzy z twoim okropnym dzieciństwem - powiedziała Pamela.
- Miałem idealne dzieciństwo - zareagował Ed.
- Nie rozmawiasz z Davidem Frostem - odparła. - To ja, Pamela. Pamiętaj, że jakiś czas tam byłam.

- Może zamówimy pizzę? - zaproponował Jack.
- Domino tu nie dowozi, a w wiosce nie ma pizzerii. To już prawie zupełnie odludzie, odkąd Ed zamknął pocztę.
- Nie ja ją zamknąłem. Te małe wiejskie punkty pocztowe nie są już opłacalne.
- Dla mnie była opłacalna - krzyknęła Pam. - Teraz muszę jeździć do Stow-on-the-Wold po jeden pierdolony znaczek!
- Proszę cię, nie klnij tak - powiedział premier.

Podczas gdy Pamela i premier toczyli polityczne spory, warcząc na siebie jak dwa psy, Jack wstał i zaczął gromadzić składniki do wieczornego posiłku. Wyczyścił blat, przygotował sobie naczynia i przystąpił do gotowania. Z książek kucharskich Delii Smith nauczył się przyrządzać siedem niezawodnych potraw. Teraz pragnął ołsnąć i uwieść Pamelę swoimi umiejętnościami. Chciał jej pokazać, jak świetnie potrafi upiec tartę, rozbić namiot, uprasować białą lnianą koszulę, prowadzić samochód w londyńskim ruchu, rozwiązać krzyżówkę w „Independent” i trafić w środek tarczy z każdej broni - potrafiłby zabić napastnika z odległości pięciuset metrów z karabinu snajperskiego.

Zaskoczyło go, że miłość spadła na niego dokładnie tak, jak to przedstawiały książki i piosenki. Kolory stały się żywsze, życie zdawało się pełne niezwykłych możliwości. Rzadko śpiewał i aż do ich wspólnych śpiewów w samochodzie nigdy nie śpiewał w towarzystwie. Teraz jednak przyszły mu do głowy słowa piosenki *Try a Little Tenderness*, a potem zauważył, że podśpiewuje sobie *Wearing the Same Shabby Dress*. Nikt go nie słyszał. Ali nadal chrapał, a premier z siostrą wciąż się spierali o sukcesy i porażki globalnego kapitalizmu i o to, komu ojciec poświęcał więcej uwagi.

Kiedy tarta z porem i cebulą była gotowa, Jack położył ją na stole przed Pamelą, jakby zdobył dla niej Świętego Graala. W nagrodę usłyszał z jej ust:

- Ja pierdole, ale smakowicie wygląda.

Postawił na stole talerze, ugotowane ziemniaki i miskę z groszkiem.

Pamela z wprawą otworzyła butelkę wina.

- Czy Ali pije? - spytała.

Jack obudził Alego, a ten powiedział:

- Jeśli wejdiesz między wrony, co nie? - i wypił pół kieliszka.

Jack poczuł prawdziwą satysfakcję, kiedy ostatni kąsek zniknął ze stołu.

Pamela zasugerowała, żeby Ali uprzedził rodzinę o przedłużeniu wyprawy. Ali zadzwonił do żony. Salma nie uwierzyła mu, że nocuje w domu na wsi przy schronisku dla psów, wyszedł więc z telefonem na zewnątrz w chłodne kwietniowe powietrze, żeby usłyszała szczekanie jedenastu czworonogów. To jej jednak nie wystarczyło.

- Ali - powiedziała - nie rób mi tego. Jesteś z jakąś kobietą. Wiem, kto to... ta tłusta dzzira z warzywniczego.

Ali wrócił do kuchni i poprosił Jacka:

- Jack, pomów z moją pani. Powiedz jej, że jestem w pracy.

Jack wziął od niego telefon i powiedział Salmie, że chciałby zatrudnić jej męża na kolejne dwa dni, jeżeli jej to nie przeszkadza.

Salma powiedziała:

- Nigdy nie rozstawaliśmy się na dłużej niż dzień. Będzie mi ciężko. Musi pan dbać o mojego męża, trzeba mu przypominać o jedzeniu, bo czasem zapomina.

Jack obiecał, że tego dopilnuje. Podziękował Salmie i oddał telefon Alemu.

Ali wolałby spać w samochodzie - siedzenie kierowcy się rozkladało, a w bagażniku miał koc - ale Pamela nie chciała o tym słyszeć. Zaprowadziła go na górę i dała cztery pokoje do wyboru. Wybrał pokój dziecienny. Było tam łóżko, które wyglądało na odpowiednie dla jego drobnej postury.

Edward był pijany. Tak pijany, że w kółko powtarzał, że nie jest pijany. Ciągłe też zapewniał Jacka i Pamelę, że bardzo, ale to bardzo kocha ich oboje. A potem się rozplakał i wołał, że chce do mamy.

- Nie pamiętam jej, Pam - powiedział. - Nosilem w pamięci obraz jej twarzy i fryzury, ale potem do mnie dotarło, że to nie mama, tylko Jean Simmons, ta aktorka. Jakimś sposobem wymieszały mi się. Mama była chyba gruba? Pamiętam ją w taksówce, jak odjeżdżała do szpitala. Przypominała raczej Hattie Jacques.

- Ed, mama nie była gruba. Wtedy była w ciąży. Ze mną.

- Nie ma jakiegoś zdjęcia? - wtrącił Jack.

- Było kilka. Mama nie lubiła być fotografowana. Na wszystkich zdjęciach, jakie widziałam, odwracała głowę i twarz była ledwie widoczna. Andrew zabrał album.

- Jak to?! - krzyknął premier. - Mama była moją matką, nie jego!

- Mama była w tym samym albumie, co jego ulubiona labradorka Patsy - wyjaśniła Pamela.

- Jaka była? - dopytywał się premier.

- Nie wiem. Spytaj kogoś, kto ją znał. Wujek Ernest mieszka w domu opieki niedaleko Cheltenham.

- Chcę się z nim zobaczyć. Już. Natychmiast - stwierdził premier.

- Jutro - powiedział Jack.

Premier ściągnął perukę. Jego własne włosy przylegały do czaszki w nieładzie. Pamela i Jack pomogli mu wdrapać się po schodach i zaprowadzili do ładnie umeblowanej sypialni. Premier koniecznie chciał się przebrać.

- Dać ci piżamę czy koszulę nocną? - zapytała Pamela.

- Ma w torbie koszulę. Pomogę mu - powiedział Jack.

Kiedy Jack wrócił do kuchni, Pamela siedziała przy stole przy trzeciej butelce wina. Chciała porozmawiać o bracie.

- Nie znoszę, gdy ludzie go atakują - powiedziała. - Wiem, sama nie akceptuję prawie niczego, co on sobą reprezentuje, i nienawidzę,

jak się płaszczy przed jankesami, ale to mój starszy brat i chyba go kocham.

O dziesiątej włożyła kurtkę i powiedziała:

- Czas położyć psy spać.

Jack wyszedł z nią. Od dawna nie przebywał w takich ciemnościach. Zadarł głowę, spodziewając się ujrzeć gwiazdy, i faktycznie je zobaczył - niebo było ich pełne. Kiedy szli do psów, zauważył:

- W mieście nie widać gwiazd.

Pamela przechyliła głowę w tył, żeby spojrzeć w górę.

- To taka mała rekompensata za życie na cholernej wsi - stwierdziła.

- Nie jesteś tu szczęśliwa - powiedział.

- Nie. Jestem dziewczyną z miasta. Andrew mnie porwał i sprowadził tutaj. Nawet niezbyt przepadam za psami.

Chodziła od pokoju do pokoju, wyłączała psom telewizory i życzyła im dobrej nocy. Jedenaście par oczu wpatrywało się w nią, gdy odwracała się, mówiąc: „Do zobaczenia rano”, przed zamknięciem drzwi.

Pod osłoną ciemności Jack wziął ją za rękę i prowadził ścieżką do domu, chociaż to on był tym, który nie znał drogi.

Już wewnątrz zapytał, czy może zrobić kawę.

- Może Andrew zostawił trochę - powiedziała. Po chwili dodała, jakby dotarło do niej, że od odejścia męża upłynęły już trzy miesiące: - Może być stara.

Jack wiedział, że po wypiciu kawy powinien iść spać. Pamela ziewała w trakcie całej rozmowy. Kilka razy wspomniała, że musi wstanie wcześnie wstać, żeby zajrzeć do psów. Jack jednak odwlekał chwilę rozstania. To ona wstała od stołu pierwsza, mówiąc:

- Padam z nóg.

Jack przeprosił, że trzymał ją tak długo.

- Znasz takie chińskie przysłowie: „Po trzech dniach ryby i goście śmierdzą”? - powiedziała.



- Znam.
- No właśnie. Przekonałam się na własnej skórze, że już po jednym dniu ryby i goście śmierdzą.
- Nie martw się. Znikniemy jutro przed południem.
- Do tego czasu będziecie już mieli mnie dość.

To była odpowiednia chwila na złożenie jakiejś deklaracji, na wyjawienie jej swoich uczuć, jednak Jack nic nie powiedział, gdy Pamela szła po schodach do sypialni. Długo jeszcze siedział nieruchomo przy kuchennym stole, próbując przywyknąć do myśli, że teraz żyje w całym innym wszechświecie.

## 18.

Alego obudził dzwonek telefonu. Otworzył oczy i zobaczył, że leży w pościeli z wizerunkami postaci z *Króla Lwa*. Sedek, ośmioletni syn, dzwonił do niego z pytaniem o nazwę najdłuższej rzeki Wysp Brytyjskich. Ali powiedział, że to może być Tamiza, ale nie był pewien.

Usłyszał głosy przed domem, więc wstał i wyrzął przez okno. Jack i Pamela przypinali smycze do psich obroży. Ali otworzył okno i zapytał ich o najdłuższą rzekę. Odpowiedzieli jednocześnie:

- Severn.

Ali udzielił synowi odpowiedzi na pytanie potrzebne do pracy domowej i zażyczył sobie porozmawiania po kolei z każdym z dzieci. Powiedział im, że przespał tę noc w cudownym pokoju przygotowanym dla dziecka.

- Zupełnie jak dla małego królewicz - zachwycił się. - Jest tu wszystko, co może pragnąć taki maluch, oprócz telewizor i wideo.

Pamela rozdzieliła psy między siebie i Jacka - sama wzięła ich sześć. Powoli oddalali się od domu zwirową alejką. Ona paliła pierwszego w tym dniu papierosa. Psy ujadły okropnie. Były niezdyscyplinowane i nie chciały iść w jednym kierunku. Kiedy dotarli do końca alejki, wyszło słońce i Pamela zsunęła ciemne okulary z czubka głowy na oczy. We włosach miała skarpetkę innego koloru niż poprzedniego dnia, zauważył Jack.

- Daleko idziemy? - zapytał, przekrzykując psi jazgot.

- Do wioski i z powrotem - odpowiedziała. - Potrzebuję fajek.

Prawie nie było ruchu, szli więc środkiem wąskiej drogi. Co jakiś czas musieli się zatrzymać, żeby rozplatać smycze. Jack podziwiał dzikie kwiaty wśród przydrożnych krzewów. Słońce świeciło mocno.

- To moja ziemia. Musiałam sprowadzać sadzonki ze szkółki roślinnej. Ci przekłęci farmerzy wszystko wykończyli pieprzonymi nawozami.

- Czyli nie nienawidzisz wsi? - stwierdził Jack.

- Nienawidzę tego, co oni z niej zrobili - odpowiedziała ze złością.

Nowiuteńki oliwkowy land-rover, za którego kierownicą siedział mężczyzna z bujnymi bokobrodami w tweedowej czapce, przemknął z taką szybkością, że omal nie wpełchnął ich do rowu. Trzeba było długo uspokajać psy, żeby chciały iść dalej.

- To farmer, którego ziemia graniczy z moją - powiedziała Pamela. - W ubiegłym roku rozczulał się w telewizji nad swoimi owieczkami. Że niby były dla niego jak rodzina, że tak bardzo cierpi, widząc zniszczone stado i takie tam. No i naciągnął Eda na pół miliona rekompensaty, a to mu znacznie poprawiło humor. To jedno stado było tak często przeganiane z jednego gospodarstwa do drugiego, że biedne owce chyba myślały, że są na wycieczce krajoznawczej.

Doszli do wioski Swale-on-the-Wold. Ze spojrzeń, jakimi mieszkańcy obrzucali Pamelę, widać było wyraźnie, że nie jest tu lubiana. Zatrzymała się przed starą pocztą. Dwaj mężczyźni wstawiali okno z PCV, z szybą zespoloną, w otwór ziejący po starym oknie.

Pamela i Jack poszli dalej. Jack zastanawiał się, czy mógłby żyć z kimś, kto ma w sobie tyle goryczy i złości. Trzymał wszystkie jedenaście psów, kiedy ona weszła do małego sklepu Spar. Wysła po chwili,

niosąc pudełko vesta chow mein.

- Musisz przyjechać do Londynu - powiedział Jack. - Zabiorę cię na Gerrard Street i postawię ci prawdziwe chińskie jedzenie.

Ku jego zdumieniu powiedziała:

- Kiedy?

- Jak tylko Ed wróci na Downing Street - odpowiedział Jack.

- Dla mnie to oczywiste, że Ed jest już skończony.

Kiedy w drodze powrotnej mijali starą pocztę, zobaczyli, że jakiś robotnik przymocowuje nad drzwiami wykuty z żeliwa napis: „Twoja stara poczta”.

Ali rozpracował, jak zagotować wodę w czajniku na piecu, i zrobił herbatę. Opowiadał właśnie premierowi, dlaczego nigdy już nie zagłosuje na laburzystów:

- Po pierwsze, zmarnowali tyle forsa na zorganizować ta cała Wystawa Uzbrojenia. No bo kto przy zdrowych zmysłach wyda trzy dychy, żeby pokazać do dzieci jakieś stare karabiny i miecze, co nie? Do tego ten głupi system ulice jednokierunkowe i pasy tylko dla autobusów, a poza tym kto im kazał pozamykać baseny, zanim mój najstarszy zdobył medal?

Premier siedział z głową w dłoniach i wszystko się w nim kotłowało. Czemu brytyjski elektorat nie dostrzega różnic między władzą państwową a lokalną?

Weszła Pamela.

- Gratulacje, Ed. Urznąłeś się wczoraj jak ta lala. Dziesięć punktów na dziesięć.

Premier zamrugał nerwowo i wymamrotał przeprosiny.

Jack poszedł na górę po bagaże. Pokój dziecięcy był otwarty. Wracając, Jack wszedł do środka i rozejrzał się. Meble i zabawki były nowe i najwyraźniej nieużywane. Jack otworzył górną szufladę komody. Była

pełna małych ubranek w pastelowych kolorach. Delikatnie zasunął szufladę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy odjeżdżali, Pamela była zajęta. Zwracała właśnie małego pieska kobiecie z opalenizną, jaką przywozi się z Karaibów. Jack ucałował Pamelę w oba policzki, poczuł zapach jej perfum i obiecał, że się odezwie w sprawie chińszczyzny.

Pamela posłała mu tak piękny uśmiech, że od razu zrobiło mu się cieplej na sercu, i nawet perspektywa odwiedzin u osiemdziesięcioletniego wuja Ernesta w domu opieki nie zdołała ostudzić tego żaru.

Jack poprosił Alego, żeby jechał powoli, bo chciał pokazać towarzyssom podróży dzikie kwiaty rosnące przy drodze.

- Wiesz, Jack, nie ma nic piękniejszego od angielskiej wsi. Z wyjątkiem Toskanii, oczywiście - stwierdził premier.

Skrajem pola leżącego przy drodze jechał traktor. Z rury na dachu kabiny wydobywała się delikatna mgielka i zanim zdążyli zasunąć okna samochodu, owa mgielka wdarła się do środka. Wszyscy trzej zaczęli się krztusić, kaszleć i czuć pieczenie w oczach. Ali zatrzymał samochód i wyłączył silnik, bo nie widział drogi przed sobą. Łzawiły mu oczy, a do tego cała przednia szyba była pokryta matową warstwą, której wycieraczki nie potrafiły usunąć.

Piętnaście minut później na posterunku policji w Cheltenham odebrano telefon od farmera ze Swale-on-the-Wold, który twierdził, że został wywleczony z traktora i poturbowany przez trzech obcych: wysokiego białego mężczyznę, jasnowłosego transwestytę i Pakistańczyka. Dyżurna, która odebrała telefon, ostrzegła farmera, co mu grozi za dowcipy telefoniczne: wysoka grzywna lub więzienie.

Kiedy rozmówca już się rozłączył, oficer dyżurna powiedziała do siedzącej obok koleżanki:

- Kolejny wariacki telefon od farmera. To wszystko przez te chemikalia, których używają.

## 19.

W recepcji Domu Opieki, gdzie kwaśny smród uryny mieszał się z wonią przemysłowego środka do dezynfekcji, Jacka i premiera powitał właściciel, Harry Rainbow, o wyglądzie emerytowanego boksera. Gdy pan Rainbow energicznie potrząsał ich dłońmi, do jego spodni w cienkie prążki łaściło się wielkie czarne kocisko.

- To jest Blackie - poinformował. - Mieszkańcy go uwielbiają.

- W życiu nie widziałem tak grubego kota - zauważył Jack.

- To faktycznie potwór - zgodził się Harry Rainbow. - Prosiłem pensjonariuszy, żeby go nie karmili, ale oni go wykańczają swoją czułością. Przerabiamy średnio jednego kota rocznie. Wszystkie nazywają się Blackie, bo to nam oszczędza zachodu z wyrabianiem nowego identyfikatora. A panowie w sprawie zamknięcia?

- Nie - odpowiedział premier. - Przyszliśmy odwiedzić Ernesta Middletona.

Rainbow zdziwił się, że Ernest ma gości.

- Jego siostrzenica przychodzi co niedzielę – powiedział - ale poza nią nikt go nie odwiedza. To smutne... wiedzą państwo, że jest wujem naszego premiera? Ale ten łajdak nie wysili się nawet, żeby mu przysłać kartkę na święta. Ernest bardzo źle przyjął wiadomość o zamknięciu. Dobrze mu zrobi, jak go ktoś rozweseli.

- Dlaczego pan zamyka? - chciał się dowiedzieć premier. - Nie ma popytu na miejsca w domach opieki?

- Jest. Ale my z żoną jesteśmy ludźmi interesu, a mówiąc szczerze, zyski ze staruszków nie są warte tych wszystkich zabiegów. Potrzebuje jeszcze pięćdziesiąt funtów tygodniowo od oddziału, żeby mnie i mojej żonie opłacało się inwestować w to nasz czas. A do tego jeszcze wchodzi nowe przepisy. Muszę poszerzyć wszystkie drzwi o cal.

- Ale gdzie oni wszyscy się podzieją? - zastanawiał się głośno premier.

Kilka zgarbionych staruszek dreptało, wspierając się na balkonikach. Harry Rainbow krzyknął w ich stronę:

- Balkonikowy gang! Ratuń się, kto może!

Staruszki roześmiały się uprzejmie z ośrodkowego żartu. Harry powiedział, ścisząc głos:

- Nie wiem, dokąd oni pójda, ale za trzy miesiące w tym miejscu będzie prywatna klinika: powiększanie piersi, botox, odsysanie tłuszczu. Tam są teraz pieniądze.

Rainbow przedstawił im pielęgniarkę o imieniu Lauren. Lauren spojrzała zza okularów w zielonych oprawkach na premiera i powiedziała:

- Skąd ja panią znam? Klub Dbających o Linie?

Jack odwrócił jej uwagę od Eda, pytając, czy można teraz zobaczyć się z Ernestem.

- Możecie go zobaczyć, ale nie wiadomo, czy zechce z wami rozmawiać. Jest obrażony. Ale niech mu świeci. Dla nich wszystkich to wielki szok, to zamknięcie.

Nie przestawała mówić, prowadząc ich korytarzem do dużej sali, w której grupki staruszków siedziały w plastikowych fotelach z przymocowanymi blatami jak dla niemowląt.

- Wiecie co, żal mi będzie patrzeć, jak oni wszyscy stąd odchodzą, ale pan Rainbow mówi, że prywatni pacjenci kliniki będą dawać duże

napiwki, jeśli będziemy się im trochę podlizywać.

W telewizji szedł właśnie program dla dzieci. Na ekranie dużego telewizora czworo aktorów - każdy w stroju o barwie podstawowej i z głową potwora - wyginało się w rytm piosenki wychwalającej zalety wspaniałego tortu.

Lauren podeszła do szczupłego mężczyzny o inteligentnej twarzy, ubranego w garnitur, koszulę, krawat i kamizelkę, i zagadnęła:

- Panie Erneście, ma pan gości.
- *Goście* Daisy Ashford<sup>30</sup>. Świetna książka. Mogła być zwykłym naiwnym nudziarstwem, ale dziewczynie się udało.

Lauren zwróciła się do gości:

- Czasem gada od rzeczy.
- To bardzo zabawna książka - odpowiedział Ernestowi Jack.

Premier odezwał się:

- Wujku Erneście, czy pamięta wujek moją matkę, a wujka szwagierkę, Heather Clare?

- Nie może być twoją matką - odparł Ernest. - Heather miała tylko dwoje dzieci. Jedno z nich to obecny premier, i oczywiście nie jesteś nim, a drugie to piękna Pamela, i nią też nie jesteś. Ktoś ty więc?

Z pomocą pospieszył mu Jack.

- To jest Edwina, nieślubne dziecko Heather Clare.  
- A, wcale mnie to nie dziwi - stwierdził Ernest pogodnie. - Twoja matka lubiła damsko-męskie figle. W latach trzydziestych, gdy była młoda, przestawała z różnymi hulakami, no wiecie, z muzykami.

Taki obraz matki w żaden sposób nie pasował do wspomnień Edwarda.

- Czy wujek ma jakieś jej zdjęcia? - zapytał.

- W pokoju - odparł starszy.

Pomogli mu wstać z fotela i podprowadzili do windy w korytarzu. Podczas jazdy na drugie piętro Jack zapytał:

- Jak długo pan tu mieszka?



- Już nie pamiętam - powiedział Ernest. - Wiem tylko, że musiałem sprzedać dom, żeby zapłacić za opiekę, a teraz nie mam już pieniędzy i jestem całkowicie zdany na łaskę państwa.

Jego pokój był niewielki, ale przyjemnie urządzone. Była tam dobrze zaopatrzona biblioteczka i gramofon Dansette.

Jack wyrzał przez okno. Zobaczył Alego, który zmywał pestycydy z samochodu. Używał do tego wiadra i wody z mydlinami, które wyprosił u sprzątacza.

Ernest grzebał w szufladzie, z której w końcu wydobył garść fotografii.

- O, tutaj Heather dobrze wyszła - powiedział, kładąc zdjęcie na kolanach premiera. - To było zimą trzydziestego szóstego.

Edward zobaczył ładną dziewczynę o żywym spojrzeniu w towarzystwie grupy nędznie odzianych mężczyzn w wełnianych czapkach z daszkiem.

Jack, zaglądając premierowi przez ramię, powiedział:

- The Jarrow Marchers. Zatrzymali się w Leicester w fabryce butów. Mój dziadek był jednym z tych, co dobrowolnie zostawali po godzinach i naprawiali im buty.

Premier chłonał każdy szczegół obrazu matki. Papieros w palcach prawej ręki, uszmkowane usta, śmieszne buty zapinane w kostce, drobna talia i błysk podniecenia w oku.

Ernest podał premierowi następne zdjęcie. Teraz matka stała przed afiszem teatralnym, śmiejąc się i pokazując palcem nazwisko pośrodku. Tym razem trzymała papierosa w lewej ręce. Premier próbował odczytać nazwisko na plakacie, ale litery były za małe.

- Grała na gitarze rytmicznej w damskim jazz-bandzie. Nazywały się Miss Monica's Hot Seven.

- Gitara? Jazz? - powtórzył Edward. - Nie, nie moja matka. To była bardzo cicha, pobożna kobieta. Nie pozwalała mi słuchać żadnej muzyki popularnej.

Ernest ukląkł i wyciągając pudełko spod łóżka, powiedział:

- To było przed ślubem z tym stalinistą Percym.

Staruszek wyjął z pudełka płytę na siedemdziesiąt osiem obrotów w pozółkłej kopercie, podał ją Jackowi i poprosił o włączenie gramofonu.

Jack ostrożnie wyjął szelakową płytę i dotykając jej samymi opuszkami, położył na talerzu.

Ernest powiedział:

- Twoja matka gra tu niezłą solówkę, jakieś dwie minuty.

Po kilku sekundach trzasków i zgrzytów usłyszeli *Stomping at the Savoy*. Miss Monica tak aranżowała utwory, aby każda z jej dziewcząt miała okazję choćby na chwilę zabłysnąć swoimi umiejętnościami. Kiedy zaczęła się solówka gitarowa, premier nerwowo pochylił się nad gramofonem i cały czas trzymał kciuki za udany występ matki.

Gdy już przebrzmiały ostatnie dźwięki solówki, Edward bił brawo i przyjmował gratulacje od Jacka, jakby to on sam przed chwilą wystąpił.

Następne zdjęcie było zwyczajniejsze. Matka stała obok ojca. Byli w ślubnych ubraniach. Jej suknia wyglądała jak drapowana biała kolumna. Wielki bukiet kwiatów zasłaniał jej brzuch.

- Była w piątym miesiącu ciąży, ale nikt by się nie domyślił - powiedział Ernest.

- Czyli Edward, jej pierwsze dziecko, był nieślubny? - zapytał premier.

- Bękart - potwierdził Ernest. - Ale Percy postąpił bardzo szlachetnie, poślubiając ją, jeśli wziąć pod uwagę moralność tamtych czasów.

- To znaczy? - dociekał premier.

- Prawdziwym ojcem Edwarda był pewien uchodźca, Sadrak Vajansky.

- No nie! A skąd był ten człowiek? - zainteresował się premier.

- Z Czechosłowacji - odpowiedział Ernest. - Przystojny gość z czarnymi oczami i kilkoma złotymi zębami. Trochę zarabiał na ostrzeniu noży w okolicy. Krążyły plotki, że pochodził z arystokratycznego romskiego rodu. Chociaż podejrzewam, że on sam je rozpowszechniał. Trzeba przyznać, że facet miał gadane.

- A niech mnie! Czy on jeszcze żyje? - chciał wiedzieć premier.

- Nie wiem. Deportowali biedaka i odesłali z powrotem za żelazną kurtynę. Heather była strasznie niespokojna. Próbowwała się czegoś dowiedzieć, ale nic z tego nie wyszło.

Na czoło Edwarda wystąpiły krople potu. Jack wyjął z kieszeni białą chusteczkę i podał mu ją. Edward przetarł czoło, przeprosił ich i poszedł szukać łazienki. Z zadowoleniem przyjął widok uchwytów dla niepełnosprawnych wokół muszli. Usiadł i wyjął z torebki kawałek papieru toaletowego Bronco.

Tak więc wuj Ernest kilkoma słowami zburzył fundamenty, na których opierało się całe dzieciństwo Eda. Jest synem Cygana. W jego żyłach płynie prawdziwa cygańska krew. Wygląda na to, że jego matka była wspaniałą kobietą. Szkoda, że nie wiedział tego wszystkiego wcześniej. Wyrzucił papier Bronco do kosza i oderwał kawałek miękkiego różowego papieru z rolki na ścianie, żeby wydmuchać nos i otrzeć łzy. Potem spojrzął w lustro i poprawił makijaż. Nie zwracał sobie głowy myciem rąk.

Clarke i Palmer wiedzieli o występach matki premiera z zespołem Miss Monica's Hot Seven, ale wiadomość o jego biologicznym ojcu była dla nich zaskoczeniem. Palmer wprowadził kilka danych do laptopa i w ciągu kilku minut dowiedział się, że Sadrak Vajansky nadal żyje. Mieszka w cygańskiej osadzie na przedmieściach Bratysławy. Według danych urzędu imigracyjnego dwukrotnie próbował osiedlić się w Wielkiej Brytanii: pierwszy raz w 1951 roku, kiedy uciekał przed

sowieckim komunizmem, i potem w 1998 roku, gdy na Heathrow darownie prosił o azyl z powodu prześladowań ze strony rasistowskich skinheadów na Słowacji. Powiedział urzędnikom imigracyjnym, że jest ojcem premiera, i prosił o pozwolenie na wykonanie telefonu do Edwarda - syna, którego nigdy nie widział. Pozwolenia nie otrzymał. Clarke powiedział do Palmera:

- Wiesz co, Palmer. Ja to w ogóle nie jestem podobny do ojca.

Kędy premier wyszedł, Jack zapytał:

- Ma pan jakieś zdjęcia Pamel, panie Erneście?

Dziesięć minut później Jack czuł już przesył fotografii napływających nieprzerwanie z rąk Ernesta. Oto ona, prawdziwa piękność, na kolanach Świętego Mikołaja, pluskająca się w majteczkach w Black Rock Sands, w skautowskim mundurku, czyszcząca samochód w dniu, w którym zdała egzamin na prawo jazdy, na zdjęciu ślubnym z Andrew, wysokim mężczyzną z grubą szyją, do którego Jack od razu poczuł niechęć.

Gdy premier wrócił do pokoju, rozległ się dzwonek.

- To dzwonek na lunch - poinformował ich Ernest.

Jack pomógł Ernestowi odłożyć zdjęcia. Wykorzystał tę okazję, by podkraść jedno z nich - dyskretnie ukrył je w dłoni, a potem wsunął do kieszeni. Sam nie wiedział, które zdjęcie ukradł. Spojrzy na nie, kiedy będzie sam.

Premier był bardziej bezpośredni. Zapytał Ernesta wprost, czy może od niego dostać zdjęcie matki.

- Weź wszystkie trzy. Ja i tak niedługo umrę - powiedział Ernest.

- Wujku Erneście, możesz żyć jeszcze dwadzieścia lat - zaprote-  
stował premier.

- Przy odrobinie szczęścia, mój drogi, kopnę w kalendarz w dwa tygodnie - odpowiedział Ernest.

Przy windzie stała kolejka starszych osób, więc Jack i premier niemal znieśli Ernesta po schodach i do jadalni, gdzie usadowili go przy okrągłym stoliku na sześć osób.

Lauren i inni pracownicy roznosili talerze z gulaszem i warzywami.

- Niech wujek zje spokojnie lunch - powiedział premier do Ernesta.

- Nie będę jadł - odparł Ernest. - Nigdy już nie będę jadł. Powiem wam coś w tajemnicy: nie jem już od dwóch dni. Chcę się zagłodzić.

Podniósł talerz ze stołu, schylił się z wysiłkiem i położył go na podłodze. Po chwili przydreptał Blackie i zaczął delikatnie wylizywać wodnisty gulasz.

Wymówiwszy się chęcią rozprostowania kości, Jack wyszedł na spacer po okolicy. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Ernest nie chce opuścić tego miejsca - ogród był naprawdę piękny: pod starymi drzewami spośród traw wylaniały się żonkile i krokusy. Jack usiadł na drewnianej ławce, do której była przybita mosiężna tabliczka z inskrypcją: „Pamięci ukochanej Elsie Strafford, która była tu szczęśliwa”. Wyjął z kieszeni skradzioną fotografię. W pierwszej chwili nie rozpoznał Pameli. Dwóch policjantów w mundurach wlokło ją przez pastwisko w Swole-on-the-Wold, a w tle widać było stado psów i jeźdźca, który do złudzenia przypominał księcia Karola.

Jack zadzwonił do Pameli, bo pragnął usłyszeć dźwięk jej głosu. Słyszał w tle szczekające psy i jakiś męski głos.

- Masz gości? - zapytał.

- To mój sąsiad, Douglas. Przydarzyło mu się dzisiaj coś okropnego. Zajmował się swoją pracą, to znaczy rozpylał na polu pestycydy, kiedy bez żadnego powodu jakiś mieszcuch wywlókł go z kabiny i wrzucił do rowu, a tam jeszcze jakiś przebieraniec i Pakistańczyk obrzucili go obelgami.

Jack wyczuł, że Pamela z trudem powstrzymuje śmiech. Powiedział jej, że wuj Ernest chce się zagłodzić. Pamela odparła:

- Taki z niego głupiec. Zaproponowałam mu, że wezmę go do siebie, a on na to, że boi się psów, odkąd przeczytał *Psa Baskervilk'ów*.

Jack miał ochotę wyznać, że ją kocha, ale pamiętał o obecności rozżalonego sąsiada. Pamela pierwsza powiedziała, że musi kończyć, bo ktoś przyszedł po pudliczkę o imieniu Harrie.

Jeszcze raz spojrzął na zdjęcie, szukając powodów, dla których powinien zapomnieć o tej kobiecie. Jej wizja świata jest całkowicie odmienna od jego. Wcześniej myślał, że lisy to zaraza, a teraz zaczyna rozumieć lisi punkt widzenia.

Przypomniała mu się etola z lisa, którą jego matka nosiła zimą na szyi - zawsze nienawidził spojrzenia szklanych lisich oczu. Zadzwoił do Normy, ale nikt nie odebrał. Poprosi premiera, żeby zajrzeli do Leicester w drodze do Londynu.

Ali krzyknął do Jacka, że mogą jechać. Premier siedział już na tylnym siedzeniu, ściskając w rękach płytę *Stomping at the Savoy*, jakby to była nitrogliceryna, która w każdej chwili może wybuchnąć.

- Ed, nie możesz tak tego trzymać dwa dni - powiedział Jack.

- Ale te płyty szelakowe są bardzo kruche - wyjaśnił premier.

Ali poczuł się urażony.

- Słuchaj, Edwino. Jak masz coś do mojej jazdy, to powiedz, co nie. Jak miałem jedenaście lat, jeździłem po Islamabad ciężarówką pełną jajka i nigdy żadne nie stłukłem. Ani razu.

Jack pomyślał, że Ali trochę przesadza, ale się nie odezwał.

Uzyskawszy zgodę premiera, Jack skierował Alego w lewo na A46 w kierunku Leicester. Ali powiedział:

- Edwino, możesz mi zaufać w sprawie tej cenna płyty. Połóż ją na siedzeniu obok siebie, a Allah będzie ją miał w opiece.

Premier zrobił, jak mu kazano. Pomyślał, że Ali jak mało kto nadałby się na rzecznika dyscypliny partyjnej.

Po przejechaniu kilku mil Ali odzyskał dobry humor i atmosfera w aucie wyraźnie się poprawiła. Premier powiedział:

- Może się gdzieś zatrzymamy na drinka? Mam ochotę splukać gardło.

- Ed, mówi się „przeplukać gardło” - poprawił go Jack.

- Zbliżamy się do Stratford - oznajmił Ali. Po chwili dodał: - Wiecie, Shakespeare się tu urodził.

- Zaraz nam powiesz, że premier mieszka przy Downing Street - powiedział poirytowany Jack.

Ali roześmiał się z satysfakcją:

- Już nie. Podobno jest w jakimś bunkrze, ale coś mi się zdaje, że nie żyje.

- Nie żyje? - powtórzył premier.

- No - potwierdził Ali. - Według mnie próbował chodzić po wodą i poszedł na dno.

Edward zmusił się do śmiechu wraz z nimi. Ali powiedział:

- Mój najstarszy syn, Mohammed, przygotowuje się z Shakespeare'a do GCSE<sup>31</sup>.

- A jak sobie radził z SAT<sup>32</sup>? - zainteresował się premier.

- Nie mówcie mi o SAT - jęknął Ali. - Wszystkie moje dzieci omal nie posiwiały od stresu przed tymi testami.

- Jaką sztukę Shakespeare'a przygotowuje twój syn? - zapytał premier.

- Nie sztukę. Sonet. To coś jak wiersz - wyjaśnił Ali i dodał, że on sam czasem pisze wiersze. Nie są dobre, nie pokazałby ich nikomu

z wyjątkiem żony. Zwykle pisze późno w nocy, jak już ostatnie dziecko pójdzie spać. Żona kupiła mu zeszyt i piórniki, które trzyma na półce w starej szafce na licznik. Niedługo po tym, jak zaczął rymować, Mohammed przeczytał mu wiersz, który ich obu rozbawił do łez. Autorem był facet, który jeszcze żyje, Simon Armitage. Mieszka gdzieś koło Leeds. Jest dość znany i Ali z radością się dowiedział, że Jack o nim słyszał. Edwina, ten gość w blond peruce, nie miał pojęcia, o kim mowa. No to Ali wyjaśnił mu, że ten Armitage pisze o zwyczajnych rzeczach - i Ali napisał wiersz o swojej taksówce, w którym porównał ją do konia kowboja. Nie był na tyle dobry, żeby go wydać, ale spodobał się żonie Alego. Przepisała go swoim ładnym pismem i posłała jego ojcu do Pakistanu.

Jack spoglądał ponuro na przeciwną stronę ulicy, na dom Anne Hathaway, przed którym ścieżką od drogi do frontowych drzwi i z powrotem dreptały gęsiego tłumu turystów.

- Nie rozumiem - powiedział premier.

Jack skrzywił się, słysząc północny akcent w ustach premiera. Po niemal siedmiu dniach bezustannego przebywania w jego towarzystwie coraz częściej zauważał tę okropną wymowę, a nawet się jej spodziewał.

- Czego nie rozumiesz? - zapytał Jack.

- Twojej niechęci do tradycyjnych krytych strzechą domów - odparł premier.

- Są takie cholernie przytulne i zadowolone z siebie - stwierdził Jack. - Chodźmy już lepiej na tego drinka.

W dzieciństwie chciałem zostać aktorem - powiedział premier.

Siedzieli z Jackiem w pubie „Bрудna Kaczka” w Stratford-upon-Avon. Przy sąsiednim stoliku jadła lunch grupa aktorów.



- Mówią, że politycy to brzydzy aktorzy - skomentował to Jack ze śmiechem.

Premier wyglądał na załamane go:

- Kto tak mówi?

- No... tak mówią, tak się mówi.

- To znaczy kto tak mówi? - naciskał premier.

- Ojej, to takie powiedzenie.

- Przecież politycy nie są brzydsi niż reszta populacji - oponował premier.

- Chodzi o to, Ed, że politycy to przede wszystkim aktorzy - wyjaśnił Jack znudzonym tonem.

Ali zaglądał przez szybę do sklepu z upominkami w centrum handlowym. W przyszłym tygodniu będą urodziny jego najstarszego syna. Kupił mu już koszulkę z Williamem Shakespeare'em, ale teraz ogarnęły go wątpliwości. Czy piętnastoletni chłopak będzie chciał nosić podkoszulek ze starym łysym facetem, co nie? No i nie może kupić prezentu tylko dla Mohammeda. Inni też będą czegoś oczekiwać.

Premier zadowolony siedział w „Brudnej Kaczce” nad campari z wodą mineralną. Był pewien, że matka byłaby z niego dumna: pije drinka w porze lunchu w towarzystwie teatralnej bohemy.

Aktor ze znajomą ospowatą twarzą pochylił się w ich stronę i zagadnął:

- Czy Victoria Rotherhide? Nie graliśmy razem w *The Bill*<sup>33</sup> w 1988? Jestem Guy Sutherland.

Premier zamrugał nerwowo i powiedział:

- Miło mi. Edwina St Clare.

- No pewnie! Nie mam pamięci do nazwisk - usprawiedliwił się Guy. - Grałaś matkę porwanych dzieci, a ja byłem tym świrem.

Towarzystwo przy stoliku wybuchnęło śmiechem.

- Zawsze to samo, Guy - powiedział jeden z nich.
- Mogę się przysiąc? - kokieteryjnie zapytał premier.

Chciał na chwilę uciec od Jacka i pobyc z ludźmi własnego pokroju. W końcu ma teatr we krwi. Jack zachowuje się ostatnio jak humorzasty nastolatek. I jeszcze ten jego cynizm - jak można nie dostrzegać uroku domów krytych strzechą?

Usiadł obok Amaryllis, ciemnowłosej aktorki, której niechlujny strój miał demonstrować artystyczny nieład.

- Rozumiem, że przyjechałaś na przesłuchanie. Jesteś ładną podobną do Edwarda Clare'a.

Jack rozejrzał się po sali i zobaczył, że premier zanosi się śmiechem z głową odchylną do tyłu, a w tej pozycji wyraźnie widać jego jabłko Adama. Jack go ostrzegał, żeby tak nie robił, bo się zdradza. Z drugiej jednak strony, co tam, przynajmniej się śmieje.

Premier i Amaryllis opowiadali sobie historie własnego życia. Edwina w swojej opowieści studiowała w Królewskiej Akademii Teatralnej z Helen Mirren i dzieliła mieszkanie z Simonem Callowem. Najpierw pracowała w teatrze w Nottingham i w Bristolu, a potem głównie w telewizji i filmach. Miłością jej życia zawsze jednak był teatr.

- Na scenie czujesz, no wiesz, że robisz to dla kogoś, dla publiczności.

Jack zauważył, że jeden z aktorów przy stoliku odwrócił głowę i przesunął sobie palcami po szyi.

Naprzeciwko pubu w biurze kierownika sceny na tyłach Królewskiego Teatru Szekspirowskiego siedział sir Digby Priest, szanowany dyrektor tegoż teatru. Za trzy dni ma zacząć próby do przedstawienia pod tytułem: *Życie i duchowa śmierć Edwarda Clare'a* na podstawie sztuki Wayne'a Sparrowa - lewicowego dramaturga, który swoją pierwszą sztuką *Pierdota* zdobył uznanie krytyków.

Sparrow przyjął zlecenie trzy lata wcześniej, notorycznie nie dotrzymywał terminów i w końcu dwa dni temu dostarczył zamówiony utwór o szefie rządu. Przyszedł zapity czy też naćpany i wymamrotał: „To cholerne gówno i trwa tylko dwadzieścia siedem minut. Mam problemy z własną tożsamością”.

Po przeczytaniu maszynopisu sir Digby poważnie rozważał możliwość wynajęcia kogoś do połamania autorowi nóg. W dzieciństwie Digby pomagał wujowi dostarczać mleko do Krayów<sup>34</sup> i nadal miał znajomości w East Endzie.

Jednak ulotki i plakaty już zostały wydrukowane i rozwieszono po całym Stratfordzie, i spektakl musi się odbyć.

Digby ciągle nie ma aktora do głównej roli. Przewracał strony *Spotlight* i przyglądał się zdjęciom aktorów, szukając kogoś, kto chociaż trochę przypominałby premiera. Na miłość boską, czemu skurwiele trzymają te same fotografie od dwudziestu lat? Przesłuchiwał już face-tów, którzy walczyli pod El Alamein!

Kiedy wychodził z sali prób, odebrał telefon od agentki, która go poinformowała, że umówiła mu spotkanie z dwoma aktorami podobnymi do Edwarda Clare'a, ale jeden będzie musiał wziąć trochę wolnego na pracę w telewizji, a drugi jest dość niski, tyle że zgodził się nosić wkładki do butów.

- Jak niski? - dopytywał się Digby.
  - Ma prawie metr pięćdziesiąt pięć.
  - To trzeba mu nie wkładek, ale jakiegoś podnośnika, do cholery!
- krzyknął Digby.

Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem to Amaryllis, która kiedyś grała w *Tramwaju* w jego reżyserii. Była beznadziejna w roli Blanche. Przez ten jej południowy akcent można było pomyśleć, że weszła na scenę wprost z walijskich dolin. Amaryllis powiedziała:

- Digby, kochany. Idealny Edward Clare siedzi właśnie w „Kacze”. To, co prawda, kobieta, ale ona to cały on.

Sir Digby wyjął małą szczoteczkę z torby, którą zawsze nosił na ramieniu, i przyczesał nią włosy i hiszpańską bródkę. Odkąd rozstał się z żoną, liczył się z tym, że w każdej chwili może spotkać kolejną partnerkę. Kiedy pędził korytarzem, a potem ulicą, był pozdrawiany, a przynajmniej rozpoznawany niemal przez wszystkich, których mijał. Często mówił w wywiadach o tym, jak bardzo potrzebuje prywatności, jednak jego wygląd Falstaffa i tubalny głos sprawiały, że - o nieszczęsny - nie był w stanie wmieszać się w tłum. Ponoć słyszano kiedyś, jak Brian Blessed mówił: „Ubóstwiam drogiego Digby'ego, ale Chryste, jakież on hałaśliwy!”

Jack widział, jak sir Digby Priest wkracza do baru. Czytał wspomnienia Priesta i po tej lekturze miał wrażenie, że wytworzyła się między nimi bliska więź. Dlatego Jack odruchowo podniósł dłoń w geście powitania. Szybko ją jednak opuścił, kiedy zdał sobie sprawę, że przecież Priest jest dla niego kimś obcym. Nie rozumiał, dlaczego facet w sześćdziesiątym piątym roku życia wbija się w dzinsy, kowbojskie buty, t-shirt z Rolling Stonesami i czarną skórzaną kurtkę.

Obserwował, jak sir Digby przeciska się przez tłum w kierunku Eda.

Digby natychmiast zauważył, że istota w cygańskiej sukience i tan-detnej blond peruce jak nikt inny nadaje się do roli szefa rządu.

Amaryllis przedstawiła ich sobie. Sir Digby huknął: „Spadać!”, na co aktorzy posłusznie wstali od stolika i przenieśli się w inną część sali.

Digby ujął dłoń premiera i chwilę trzymał je w swoich wielkich łapskach. Spoglądając Edwardowi głęboko w oczy, powiedział szep-cem, który uważał za konfiden-cjonalny, choć Jack przy barze słyszał każde słowo:

- Jestem przyzwyczajony do transseksualistów. Moja pierwsza żona była kobietą. Chodziłem do katolickiej szkoły, nie wiedziałem więc nic o kobietach i byłem raczej zielony w tych sprawach, ale to były lata sześćdziesiąte i nikt nie chciał się przyznawać do nieznamomości kobiecego ciała, no więc uznałem, że moja pierwsza żona, słodka, naprawdę urocza dziewczyna, Cassandra, ma większą niż przeciętna łechtaczkę. A moje biedactwo było zrozpaczone, bo w zasadzie to był facet z absurdalnie małym penisem. Zapłaciłem jej za operację i przez moment nasze małżeństwo trwało, ale któregoś dnia pokłóciliśmy się o jakieś głupstwo... zdaje się, że użyła mojego pędzla do golenia i nie wypłukała... i rozwiedliśmy się. No, ale opowiedz mi lepiej o sobie.

Premier opowiadał dłuższą chwilę o swoich zawodowych sukcesach: samobójczyni w *Na sygnale*<sup>35</sup>, inspektor w *Inspektor wzywa*<sup>36</sup>, Gwendolyn w *Bądźmy poważni na serio*<sup>37</sup>. Zawsze jednak marzyła o pracy w Royal Shakespeare Company. Rolą jej marzeń jest Henryk V.

Kiedy premier mówił, Digby analizował każdy gest, grymas na jego twarzy, wsłuchiwał się w dźwięk głosu, w którym słychać było charakterystyczną mieszaninę niezdecydowania i stanowczości. Digby starał się opanować podniecenie. Był już kiedyś w podobnie wymarzonej sytuacji, kiedy Sylvester Stallone o mały włos nie został zaangażowany do roli Dupka w *Śnie nocy letniej*. Skończyło się rozpaczą, gdy agent Stallone'a zażądał zapisu w kontrakcie, że aktorowi wolno będzie ukatrupić jebanego łabędzia, jeżeli ptaszysko się do niego zbliży. Digby zadzwonił do LA i powiedział, że łabędzie w Stratfordzie stanowią własność Królowej i objęte są ochroną, a wtedy agent wrzasnął: „No to nici z umowy. To nie wiecie, że taki pierdolony łabędź może człowiekowi nawet złamać rękę?”

Sir Digby powiedział do Edwarda:

- Shakespeare mnie nudzi. Będę wystawiał tylko sztuki współcześnie żyjących autorów. Chciałbym cię zaprosić na przesłuchanie do głównej roli w sztuce *Życie i duchowa śmierć Edwarda Clare'a*.

- Główna rola? - powtórzył Edward.

- Jesteś ładną podobną do naszego czcigodnego przywódcy, nawet głos masz bardzo podobny. To co, jesteś do dyspozycji?

- Tak - odpowiedział premier. - Chwilowo jestem wolna.

- No to zobaczymy, jak wyglądasz w garniturze, co?

- O rany - westchnął premier. - To naprawdę intrygujące.

Jack poszedł za premierem i Digby przez ulicę do budynku teatru. Przedstawił się jako agent Edwiny i niechętnie wpuszczono go do sali prób, gdzie miało się odbyć przesłuchanie. Garderobiana porwała Edwarda na chwilę, a kiedy po dziesięciu minutach przyprowadziła go z powrotem, był w niebieskim garniturze, białej koszuli, czerwonym krawacie i męskich butach, a na głowie miał własne, naturalne włosy. Grupa pracowników teatru, którzy byli w sali, spontanicznie powitała go oklaskami, gdy nieśmiało wszedł na scenę.

Sir Digby chodził tam i z powrotem, wydając polecenia: premier musiał śmiać się, płakać, wpadać w złość, rozmawiać z Bogiem, wygłaszać przemówienie na forum ONZ, udawać psa, śpiewać, tańczyć i grać dziesięcioletniego chłopca.

Jack aż drżał z nerwów. Jego zdaniem premier kompletnie nie potrafił grać samego siebie. I nie miał pojęcia, co robić z rękami. Mimo to po kilkuminutowej naradzie z asystentem reżysera i innymi członkami zespołu sir Digby ogłosił, że będą czekać na Eda na próbie w poniedziałek o 10:00. Jego głos drżał z emocji, gdy przemawiał do zebranych w sali:

- To naprawdę ważna sztuka, kurde. O duchowej degradacji przywódcy politycznego oraz jego uległości wobec amerykańskiego imperializmu.

Premier niespokojnie rozglądał się za Jackiem i zwrócił się do reżysera:

- Oczywiście muszę porozmawiać z agentem, ale o rany, to bardzo miłe, że daje mi pan tę rolę.

Ali znalazł się w sklepie z różnymi upominkami, zanurzony w świecie angielskiej ikonografii dziecięcej. Ze wszystkich stron otaczali go: Kubuś Puchatek, Kłapouchy, Maleństwo, Piotruś Królik, miś Rupert, Tomek Tendrzak, Gruby Kontroler, Noddy, Wielkouchy, Alicja w Krainie Czarów, Szalony Kapelusznik, Ropuch, Szczur, Borsuk i Kret. Aż się spocił z emocji. Czy trzyletnia Areefa wołałaby Kubusia Puchatka, czy misia Ruperta? Czy Sedek będzie rozczarowany, jeśli dostanie mydło w kształcie Noddy'ego? Czy żona się nie obrazi, gdy kupi jej przytulankę Ropucha (Ali w myślach nazywał ją żabką, odkąd pod koniec lat dziewięćdziesiątych miała problemy z tarczycą. Dzięki niech będą Allahowi, wszystko się dobrze skończyło). Hassiny, najstarszej córki, która ma trzynaście lat, i tak nie da się zadowolić, ale może nie będzie miała nic przeciw Piotrusiowi Królikowi?

## 20.

Norma obudziła się. Jeszcze chwilę leżała i dopiero po kilku minutach przypomniała sobie, że dziś jest wielki dzień. Odrzuciła ciężką kołdrę. Mogłaby teraz używać lżejszej, bo pokój jest cudowny, przyjemny, niczym w lecie. Odkąd James się wprowadził, ogrzewanie jest włączone całą dobę. Wiedziała, że to nierozsądne, ale James umiejętnie ją przekonał: „Rachunek za prąd przychodzi cztery razy w roku, a my możemy umrzeć już jutro”.

Podoba jej się, że James zawsze mówi „my”. Zawsze ją bierze pod uwagę, jakby byli partnerami w interesach i w życiu. Norma kocha Jamesa. Wie, że to nie jest *taka* miłość - ona ma siedemdziesiąt jeden lat, a on nie ma nawet dwudziestki. Chociaż kiedyś w programie Jerry'ego Springera była taka dziwaczna para, i twierdzili, że są szczęśliwi. On łysy, ze strużką śliny spływającą z kącika ust, a ona, biedne dziecko, szesnastolatka, trochę opóźniona w rozwoju.

Zresztą i tak cieszy się, że nie musi już *tego* robić. Lubila to robić tylko z Trevorem, a on nie kłopotał jej zbyt często. W Boże Narodzenie, na Wielkanoc, w czasie Blackpool Illuminations i przy innych okazjach, kiedy odpowiednio dużo wypił. Jak wypił za mało - był trochę nieśmiały, gdy za dużo - ciężko mu było wytrwać do końca.

Miłość, jaka łączy ją i Jamesa, jest czysta, ale trochę bardziej podniecająca niż jej uczucie do Stuarta, Yvonne i Jacka. W dodatku James



potrzebuje pomocy. Jest jak partner życiowy i biznesowy. Jak tylko wygrzebie się z épania, zabierze ją w podróż po świecie. Najpierw statkiem, żeby się stopniowo wdrożyła - nigdy nie wyjeżdżała z Anglii, chociaż planowali z Trevem wakacje w Disneylandzie, ale wtedy on spadł z tego nieszczęsnego dachu. Wystarczy, że znajdą taki statek, na którym wszyscy mówią po angielsku, a będą się czuli jak w Anglii, powiedział James.

Wspólnie posprząтали dom - Norma lubiła mieć porządek na przyjęcie gości. Wtedy James powiedział:

- No to teraz coś ugotujemy, mamo.

Zaprowadził ją do kuchni i posadził przy stole. Wyjął z szuflady rolkę folii aluminiowej i rozwinął ją na blacie stołu. Potem przygotował blachę do pieczenia, miskę ze szkła żaroodpornego, mały rondel, rolkę pergaminu do pieczenia, dużą łyżkę, ostry nóż, puszkę coli częściowo odrapaną z farby i dziurkacz. W ciągu kilku minut stół zamienił się w warsztat alchemika. Norma przyglądała się Jamesowi, jak niegdyś przyglądała się własnej matce, podczas gdy on przesiewał do miski biały proszek, dodawał szczyptę sody oczyszczonej i kilka kropel wody. Potem sięgnął po rondel, przełożył do niego miksturę, podgrzał ją, aż zaczęła trzaskać, skwierczeć i bulgotać.

Sir Digby nie miał zamiaru wypuścić z rąk swojego odkrycia, nie uzyskawszy zdecydowanej deklaracji.

- Edwino, zostań ze mną w Stratfordzie. Wynajmuję uroczy domek kryty strzechą. Moglibyśmy wspólnie pracować nad tekstem. Już trochę badałem sprawę i chyba zaczynam rozumieć postać naszego czcigodnego premiera.

- A jakie są twoje poglądy polityczne? - zapytał Edward.

Sir Digby był zaskoczony tym pytaniem. Jego nazwisko regularnie pojawiała się obok nazwisk Palina i Paxmana pod petycjami i listami

do prasy w każdej możliwej kontrowersyjnej sprawie: od reformy więziennictwa po wojnę w Iraku.

- Niestety, jestem notorycznym przeciwnikiem establishmentu. W ubiegłym roku wyrzucono mnie z MCC za próbę rozpoczęcia „meksykańskiej fali” w sektorze dla członków w Lords<sup>40</sup>.

Jack szczerze się roześmiał.

Sir Digby powiedział z irytacją w głosie:

- Wiem, że to nie to samo, co rzucić się pod czołgi, ale raczej niełatwo spotkać czołg na naszych ulicach, prawda? - wyglądał, jakby tego naprawdę żałował. Po chwili dodał: - Edwino, razem moglibyśmy coś zmienić, moglibyśmy obalić rząd Clare'a. Proszę, powiedz, że zagrasz Edwarda Clare'a.

Wtedy odezwał się Jack:

- Edwina i ja musimy o tym porozmawiać. Będziemy w kontakcie. Proszę do nas nie dzwonić. To my się odezwiemy.

Jack odeskortował premiera w miejsce, gdzie w taksówce z włączonymi światłami awaryjnymi czekał na nich Ali. Nim zjechali z krawężnika, sir Digby rzucił im przez okno egzemplarz scenariusza, mówiąc:

- Już prawie podpisaliśmy kontrakt z Sharon Stone do roli Adele. Trochę się krzywiła na wielki sztuczny nochał, ale jestem pewien, że jak przymierzy kilka...

- Jedź, Ali - powiedział Jack.

Samochód powoli ruszył i włączył się w sznur pojazdów wywożących turystów ze Stratfordu. Premier czytał na głos skąpy scenariusz Wayne'a Sparrowa. Jedna z najlepszych scen rozgrywa się w Owalnym Gabinetcie w Białym Domu. Premier Wielkiej Brytanii i prezydent USA nago rozgrywają zapaśniczą walkę przy kominku. Zwycięzcy ma przypaść wątpliwy zaszczyt wydania rozkazu wystrzelenia głowic w główne miasta wszystkich państw Osi Zła.

- Sparrow jest najwyraźniej miłośnikiem D.H. Lawrence's. Muszę pogadać z sir Digbyem, żeby podwoił ci honorarium, skoro masz pokazywać goły tyłek - powiedział Jack.

- To mi wygląda jak film, który moja pani kiedyś oglądała w telewizji - wtrącił Ali.

W innej scenie premier Sparrowa w przebraniu pudła przeskakuje przez płonącą obręcz, trzymaną przez Statuę Wolności. Dialogi zaśmiecane były przekleństwami i słowami bez sensu.

Kiedy Jack odczytał jeden z monologów, Ali zapytał:

- Co to, Jack, czytasz ogłoszenia? Ale język!

Palmer i Clarke z niechęcią przekazywali nocną zmianę innej parze i nie mogli się doczekać powrotu do pracy. Zgłosili chęć pracy całą dobę - mogliby spać i jeść w biurze - ale szef im odmówił, powołując się na przepisy BHP. Obaj agenci zdążyli już polubić obserwowane obiekty: głośno kibicowali Jackowi, kiedy wyciągał drania z bokobrodami z traktora i dawał mu wycisk.

Sledzili samochód Alego, zmierzający drogą A46 w stronę Leicester, gdzie Jack miał zamiar zajrzeć do matki. Raporty wywiadu sygnalizowały, że dzieje się tam coś dziwnego, ale zdjęcia z kamer były niewyraźne. Udało się odczytać numer rejestracyjny mercedesa coupe, który stał kilka dni przed domem, pilnowany przez wyrostków w dresowych bluzach z kapturami i spodniach typu fleki. Samochód był zarejestrowany na właściciela sieci sklepów z odzieżą sportową w Reading, został skradziony z parkingu Pink Elephant na lotnisku Stanstead i nie zgłoszono jego zaginięcia.

Adele i Lucinda jechały na Harley Street. W drugim samochodzie podążała za nimi obstawa Adele - sierżant Sandra Lock oraz jej kolega sierżant John Harvey.

Adele jeszcze nie znalazła dla siebie idealnego nosa. Wciąż szukała w różnych katalogach i w internecie. Lucindę już zaczynał męczyć temat nowego nosa Adele. Miała nadzieję, że teraz sir Nigel Hambleton przejmie od niej pałeczkę. Umówili się na siódmą wieczorem, więc kobiety miały ponad godzinę na przejazd zaledwie dwóch i pół kilometra z Downing Street na Harley Street. W kilku miejscach na tym odcinku tworzyły się korki. Na Piccadilly Circus Adele miała czas, żeby przyrzeć się tłumom kłębiącym się po turystycznym centrum świata. Spojrzała na Erosa i zaskoczyła ją jego młodość. Toż to zakochany nastolatek! Na stopniach pod pomnikiem siedziały grupy młodzieży o pięknych twarzach, w ich oczach odbijały się światła neonów. Chłopiec, który wyglądem przypominał Morgana, obejmował czarnoskórą dziewczynę w wojskowej kurtce i spodniach koloru khaki. To nie mógł być Morgan - dobrowolnie bowiem zadeklarował, że uśpi Poppy przed napisaniem rozprawki na temat pracy dzieci.

Lucinda ziewnęła, obliczając w myślach, ile powinna zażądać za spędzony z Adele czas. Skoro hydraulik bierze sześćdziesiąt pięć funtów za godzinę, to chyba jej czas wart jest sto pięćdziesiąt funtów za godzinę? W końcu musiała dziesięć lat dłużej się uczyć.

Przy Cavendish Square samochód znowu się zatrzymał. W ogrodach wokół placu rozstawione były duże namioty, alejki oświetlone płonącymi pochodniami, a goście w strojach wieczorowych okazywali zaproszenia ubranym w garnitury ochroniarzom. Adele zauważyła kilka znajomych twarzy i poczuła ukłucie zazdrości, że nie została zaproszona na tę imprezę. Nieważne, z jakiej okazji się odbywała. Lucinda mruknęła:

- To impreza charytatywna na rzecz budowy studni w Suazi.

Samochód posuwał się naprzód bardzo powoli. Adele poprosiła kierowcę, żeby zadzwonił do sir Nigela Hambletona z informacją, że żona premiera tkwi w korku.

- Co byś mi poradziła, gdybym powiedziała, że chcę zrezygnować z pełnionej społecznie funkcji, to znaczy z bycia żoną premiera? - zwróciła się Adele do Lucindy.

- Mam rozumieć, że chciałabyś się rozwieść z mężem? - zapytała Lucinda.

- Nie - odpowiedziała Adele. - Ale chciałabym separacji z zajmowanym stanowiskiem.

Lucinda powiedziała:

- Miną co najmniej dwa miesiące, zanim będziesz mogła publicznie pokazać swój nowy nos. Powinnaś więc wyjechać. Najlepiej w jakieś ciepłe miejsce. I weź z sobą Poppy. Koniecznie nie pracuj, przytyj. My, kobiety, zwalczamy się nawzajem i po co? To znaczy, jaki to wszystko ma sens?

Sir Nigel czekał na nie w recepcji swojej prywatnej kliniki. Często widywał nochal Pierwszej Damy na zdjęciach i w telewizji. Raz przy takiej okazji mruknął nawet do żony: „Ja cię, Betty, chciałbym się do niego dorwać”. I oto ma go przed sobą. Lekarz z trudem powstrzymał się przed dotknięciem nosa Adele, zbadaniem chrząstki i zajrzeniem do nozdrzy. Poprowadził Adele i Lucinę do swojego gabinetu i tam przedstawił im możliwości ingerencji chirurgicznej. Niedawno regenerował przegrodę nosową nieletniego członka królewskiego rodu, który wciągnął więcej kokainy, niż nakazywał rozsądek.

Wreszcie nadszedł moment, w którym wszyscy troje musieli jasno określić przyczynę wizyty. Sir Nigel zgrabnie uniknął kłopotliwej sytuacji, uciekając się do terminologii ze świata nauki i techniki. Mierzył nos Adele na różne sposoby. Badał go od wewnątrz za pomocą maleńkiej latarki na elastycznej rurce. Zadał Adele mnóstwo pytań dotyczących nosa. Potem chwilę udawał, że rozważa wszelkie za i przeciw,

by w końcu stwierdzić, że Adele jest odpowiednią kandydatką. Wtedy zapytał, czy ma już upatrzony jakiś konkretny kształt.

- Chciałabym, żeby był dużo mniejszy, coś jak u Barbry Streisand - odpowiedziała.

- Chyba możemy zrobić coś lepszego - stwierdził chirurg.

Usiadł przed komputerem i poprosił Adele, by przez chwilę się nie ruszała. Wcisnął kilka klawiszy i na ekranie pojawiła się jej twarz. Zaczął na nią nakładać najróżniejsze nosy. Całkiem podobał się jej nos Kleopatry - dodawał twarzy pewności siebie i władczości. Nos Sophii Loren nie pasował - pomniejszał optycznie oczy Adele, chociaż sam w sobie prezentował się pięknie. Greta Garbo! To było to. Adele zamówiła nos i przekonała sir Nigela do przyjęcia zaliczki. Chciała rzecz załatwić jak najszybciej, najlepiej następnego dnia.

Sir Nigel obiecał, że poprzesuwa swoje terminy. Przyjmie ją od razu. Nie wolno jej nic jeść ani pić po północy.

Morgan zdjął z łóżeczka Poppy amerykańską pozytywkę. Skoro ma uspić siostrzyczkę, zrobi to po swojemu. Mała leżała na plecach i obserwowała go poprzez drewniane pręty łóżeczka. Morgan przysunął się bliżej i zaczął jej opowiadać bajkę na dobranoc.

Dawno dawno temu, w 1856 roku, urodził się w Szkocji chłopiec. Nazywał się Keir Hardie. Kiedy miał osiem lat, zakończył naukę i poszedł do pracy. W wieku dziesięciu lat pracował już na dole w kopalni. Pomyśl tylko, Poppy, mały dziesięcioletni dzieciak pracujący w ciemnościach, głęboko pod ziemią. Chodził do szkoły wieczorowej i został dziennikarzem, a potem kandydował do Parlamentu, jak nasz tata. W końcu założył Niezależną Partię Pracy.

Poppy zaczęła kwękać. Zrzuciła z siebie kocyk i machała energicznie rączkami i nóżkami w zielonkawych śpioszkaach. Morgan nie

mógł wyjść ze zdumienia, widząc, jak szybko ze spokojnego maleństwa przedzierzgnęła się w rozjuszonego, wrzeszczącego bachora. Nie mógł tego dłużej znieść, zawiesił więc amerykańską zabawkę z powrotem i puścił ją w ruch.

Wjechali na przedmieścia Leicester. Byli sto mil od Londynu. Premier powiedział:

- Nie chce mi się wracać do domu, Jack. Nie można by jakoś przedłużyć tego urlopu?

- Dla mnie to wcale nie urlop - odrzekł Jack. - Ja jestem w pracy.

- No nie, Jack. Przecież to naprawdę świetna, fantastyczna zabawa.

Jack nie znosił słowa „zabawa”. Według niego nie miało ono nic wspólnego z miłym spędzaniem czasu i było nadużywane przez tych, którzy uważają za świetny żart wrzucanie ludzi do basenu. Richard Branson używa tego słowa na okrągło.

- A dowiedziałeś się czegoś? - zapytał Jack.

- Tylko tyle, że... - no wiesz... każdy i tak orze jak może, niezależnie od tego, czego my w rządzie od niego oczekujemy.

- Mogliby orać równiejsze bruzdy, gdyby mieli lepszy pług i silniejszego konia - zauważył Jack.

- Konia? - powtórzył premier. - Ja tu mówię o wysokiej klasy skomplikowanym sprzęcie rolniczym.

- Coś ci powiem, Ed. Ciekawie by było zobaczyć, jak w tym kraju działałaby demokracja, nie sądzisz?

- Przecież Wielka Brytania jest uważana za kolebkę demokracji! - oburzył się premier.

- No to dziecko wypadło z tej kolebki do wanienki i zostało wylane razem z kąpielą - stwierdził Jack.

Ali miał już dosyć słuchania owej nader osobliwej rozmowy i włączył radio.

„...Rzecznik szpitala oświadczył dzisiaj, że amputowana kończyna, która zasłynęła w tak zwanej sprawie nogi Barry'ego, została zlikwidowana przez pomyłkę wynikłą z biurokratycznego bałaganu. Jeden z pracowników kostnicy został zawieszony w czynnościach do czasu wyjaśnienia sprawy. Nasza korespondentka, Martha Tree, jest w tej chwili w szpitalu. Martho, co możesz nam powiedzieć?

- No cóż, niewiele. Jak już mówiłeś, noga została przez przypadek zlikwidowana i jednego z pracowników zawieszono do wyjaśnienia sprawy.

- Czy wiadomo, w jaki sposób pozbyto się nogi?

- Nie, jeszcze nie.

- Wiadomo już, jakie są odczucia rodziny?

- Nie, jeszcze nie. Ale sądzę, że są oni zdruzgotani. To naturalne w takiej sytuacji”.

Jack spojrzął na premiera, ciekaw, jak Edward przyjął tę wiadomość. Ten jednak wydawał się niewzruszony. Bawił się cygańskimi kolczykami w kształcie obręczy, które kupił w Stratfordzie.

Mijali rzędy dużych domów jednorodzinnych. W jednym ogrodzie kobieta w sari przycinała jakiś krzew, w innym ciemnoskóra rodzina podziwiała samochód, który wyglądał na nowy. Biali w tej okolicy byli rzadkością.

Kiedy premier podzielił się tym spostrzeżeniem z towarzyszami podróży, Jack poinformował go tonem profesjonalnego przewodnika:

- Leicester jest na dobrej drodze, aby stać się pierwszym miastem Wielkiej Brytanii zamieszkanym przez etniczną większość.

Ali roześmiał się i powiedział:

- Wasze kobiety nie chcą dzieci, co nie?

Jack, nagle uświadomiwszy sobie, że jest bezdzietny, odparł defensywnie:

- Nasze kobiety chcą skosztować w życiu czegoś więcej niż tylko nianczenia dzieci.



Premier wtrącił:

- Adele potrafi świetnie łączyć pracę, dzieci i życie towarzyskie. Sam nie wiem, jak ona to robi.

Samochód przejeżdżał obok sklepów o indyjskich i pakistańskich nazwach. W kinie wyświetlano film hollywoodzki. Obok budynku Bank of India z jednej strony wznosił się sklep obuwniczy Rahkiego, a z drugiej biuro tłumaczeń Amana. Ali stwierdził, że kiedy wysadzi Jacka i Edwinę, odwiedzi kuzyna, który mieszka przy wiadukcie w Belgrave.

- Pewnie już się nie możesz doczekać, żeby zjeść coś ze swoich narodowych potraw - powiedział premier, spoglądając na liczne restauracje i bary z jedzeniem na wynos.

Ali sprawiał wrażenie zdziwionego tą uwagą.

- Moje ulubione jedzenie mogę dostać wszędzie: to pizza z owocami morza.

Taksówka wjechała na osiedle, na którym urodził się i wychował Jack. Gdy mijali pokryte graffiti mury, Ali zapytał:

- Nie bardzo mi się podoba, że mam was tu zostawić. Na pewno nie chcecie jechać prosto do Londynu?

Premier zrobiłby wszystko, aby odwlec moment powrotu. Już zaczynało mu ciążyć brzemień odpowiedzialności. Powiedział więc:

- Nie. Musimy zajrzeć do matki Jacka i dowiedzieć się, czemu nie odbiera telefonów. Nic się nam nie stanie. Chroni nas monitoring.

Kamery były wszędzie. Powoli obracały swoje ciekawskie głowy nawet o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Ten monitoring to zwykła zabawka, Ed. Źle wyszkoleni agenci bezpieczeństwa gapią się w rozmazany, niewyraźny obraz na ekranach, na których każdy przechodzień wygląda jak yeti. Nie daj się ponieść histerii nakręcanej przez firmy ochroniarskie, które szukają klientów.

Premier coraz częściej odczuwał irytację, kiedy Jack go pouczał. Zaczynał wtedy żałować, że w ogóle wszczynał dyskusję, jak choćby przy śniadaniu w Grimshaw, kiedy Jack ubolewał nad brakiem żłobków i przedszkoli.

Jack nie poznał ufortyfikowanego domu matki. Aż dwa razy przejechali obok, nim się zorientował, że to numer 10. Od rana dzwonił do Normy, ale nikt nie odbierał. Kiedy szli z premierem ścieżką do drzwi, Jackowi wydawało się, że w okratowanym oknie od frontu mignęła jakaś twarz, która natychmiast skryła się za zasłonami. Przez mury przedostawały się głośne dźwięki perkusji i gitary basowej.

Jack uderzył w uzbrojone drzwi. Zauważył brak skrzynki na listy. Jak Norma odbiera te wszystkie listy reklamowe i ulotki, które tak ją cieszą? Dawniej często do niego dzwoniła, żeby mu powiedzieć, że jakiś Tom Champagne z Reader's Digest właśnie ją poinformował o wygraniu tysięcy funtów.

Z wnętrza dobiegały krzyki Jamesa. Chłopak chyba myślał, że do drzwi dobija się brygada antynarkotykowa. Edward rozejrzał się ze strachem. Nie przypuszczał, że matka Jacka mieszka w tak ponurej okolicy. Na ulicy nie było żywego ducha, a większość domów wyglądała na opuszczone. Robiło się ciemno. Ed pożałował, że nie kazał Alemu poczekać. Od początku podróży, czyli przez siedem dni, ani razu nie czuł strachu. Jack był dla niego prawdziwą podporą, ale była to podpora z zimnego marmuru. Bywały chwile, gdy chciał, żeby Jack nie miał żadnych poglądów politycznych, ani przez moment jednak nie wątpił w jego umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji. Teraz zobaczył, że Jack sam jest wystraszony. Edwardowi nie podobało się drżenie w głosie Jacka, gdy ten wołał:

- Mamo! Mamo, otwórz!

Norma siedziała za zamkniętymi kuchennymi drzwiami. Przy tej hałaśliwej muzyce Jamesa ledwie słyszała własne myśli, ale głos dobijającego się Jacka usłyszała wyraźnie. Chciała się zerwać i wpuścić syna, ale James zastawił swoim ciałem drzwi kuchenne i przemawiał do niej głosem, którego zaczynała się bać. Palił jednego ze swoich specjalnych skrętów - tych, o których mówił, że by ją zabiły. Zapominał po nich o jakichkolwiek manierach, okropnie się wyrażał, a potem jęczał i płakał, i robił pod siebie.

Jack zwrócił się do premiera:

- Poczekaj tu - i przeskoczył przez furtkę do ogrodu.

Edward miał ochotę uciekać, ale widok dwóch drobnych zakapturzonych postaci opartych o mercedesa odebrał mu resztki odwagi. Niepewnie pomachał w ich stronę, lecz jego gest pozostał bez odpowiedzi.

Jack dzielnie maszerował wzdłuż domu. Wszedł do ogrodu na tyłach. Zasłony w kuchni były zasunięte. Drzwi kuchenne wzmocnione tak jak frontowe. Przyłożył twarz do szyby i usłyszał głos matki przekrzykującej muzykę:

- Proszę! Muszę wpuścić Jacka.

James mocno się zaciągnął i natychmiast dziesiątki tysięcy maleńkich pęcherzyków płucnych przekazały truciznę do krwi. A kiedy ta krew dotarła do części mózgu odpowiedzialnej za uczucie przyjemności, unicestwiła milion komórek. Od tej chwili James nigdy już nie będzie czerpał równie silnej jak dawniej przyjemności z takich doznań, jak muzyka, jedzenie, seks, oraz bodźców ze świata przyrody.

Szybko rozważył wszystkie możliwości, jakie potrafił ogarnąć umysłem w tym stanie narkotycznej paranoi. Ma przy sobie spluwę kupioną nielegalnie za cztery dychy. Jest schowana w puszcze po ciasteczkach na szafce kuchennej. Nigdy z niej nie strzelał, ale chyba wiedziałby, co zrobić. Może zastrzelić Jacka i spróbować uciec samochodem. Może wziąć Normę jako zakładniczkę. Może wpuścić Jacka i wyjaśnić mu,

że jego matka w domu komunalnym prowadzi melinę dla ćpunów, za co grozi eksmisja.

Koniec końców postanowił wpuścić Jacka. Podeszedł do frontowych drzwi. Zaciągnął się jeszcze resztką skręta i zaczął odpinać łańcuchy oraz odsuwać rygle. W całym ciele czuł pulsowanie muzyki, bezwiednie szczękał zębami. Otworzył drzwi, ale Jacka za nimi nie było. Zamiast niego na progu stała jakaś blondyna z kolczykami w kształcie obręczy, która po bliższym wejrzeniu okazała się facetem w przebraniu. James omal nie parsknął śmiechem. Ci z antynarkotykowej zawsze coś sknoć.

- Gdzie jest Jack? - zapytał i wciągnął przebierańca do środka. - No, gdzie jest Jack?! - wrzasnął premierowi w twarz.

Edward często się zastanawiał, czy byłby w stanie znieść brutalne przesłuchanie lub tortury. W chwili, gdy miał okazję się o tym przekonać, do kuchni weszła Norma, a za nią Jack.

- Tu jestem! - powiedział Jack.

Norma niczym filip z konopi wyskoczyła z propozycją:

- Może się wszyscy napijemy herbatki?

## 21.

Alexander McPherson zszedł do biura prasowego, gdzie już czekali na niego współpracownicy. Byli to głównie młodzi ludzie, niektórzy inteligentni, ale nie wszyscy - jednego wybrano właśnie z powodu wyraźnej głupoty. Był to miły dwudziestoczerolatek o nazwisku Ben Fossett, starannie wybrany, by reprezentował sobą naiwnego, szanowanego brytyjskiego podatnika. Kiedyś przemawiając jako delegat na Kongresie Partii Pracy, powiedział, że politycy powinni mieć możliwość wspinania się po szczeblach partyjnej kariery tylko wtedy, gdy ich słowa i czyny są uczciwe.

Tę prostoduszną idealistyczną wypowiedź Fossetta powtarzano do znudzenia na wszelkich zgromadzeniach New Labour Party i zawsze wzbudzała ona pusty śmiech. On sam zdumiał się bardziej niż ktokolwiek, kiedy wezwano go do biura prasowego na Downing Street 10 i powierzono mu funkcję specjalnego doradcy. Działalność polityczna nie nauczyła go cynizmu. McPherson używał go jak kapitan okrętu barometru przed wyruszeniem w rejs przez Zatokę Biskajską.

McPherson oparł się o wysoki regał i powiedział:

- A więc fakty są następujące: Adele Floret-Clare przechodzi załamanie nerwowe czy też mówiąc prościej, znikowała, i przebywa na leczeniu w prywatnym szpitalu.

- Dwa. Noga Barry'ego. Już został wydany odpowiedni zakaz, żeby nic na ten temat nie przedostało się do prasy. Tak więc ta sprawa jest

skończona. Potrzebuję oświadczenia na temat Adele, które pójdzie w wiadomościach o szóstej. Macie dwadzieścia minut. Nie ma nawet czasu na włączenie tych pieprzonych laptopów.

Fossett siedział przy biurku i obgryzał gumkę na końcu ołówka. Chwilę pomyślał i napisał:

SZANOWNA PANI/SZANOWNY PANIE

NASZA MAMA ZACHOROWAŁA NA NERWY, POTRZEBUJE CISZY I SPOKOJU, WIEC PROSIMY, ŻEBYŚCIE NIE PISALI O NIEJ W GAZETACH ANI NIE MUWILI O NIEJ ŹLE W RADIU I TELEWIZJI. NIE MA Z NAMI TATY, WIEC NIE MOŻE NAM POMÓC. POJECHAŁ GDZIEŚ DALEKO ZMIENIĄĆ ŚWIAT NA LEPSZY DLA WSZYSTKICH DZIECI.

POZDROWIENIA,

DZIECI PAŃSTWA CLARE

Kiedy przyszła kolej na Fossetta, żeby odczytał swoją wersję na głos, zaczął jąkać nieśmiało:

- Ja... no... tak jakby... postawiłem się w sytuacji dziecka, to znaczy...
- To akurat nie było trudne - mruknął McPherson pod nosem.
- Gdyby tak dzieciaki to podpisały, no to... może jest też jakieś zdjęcie... I w słowie „mówili” specjalnie zrobiłem błąd.

McPherson wyrwał kartkę ze spoconych dłoni Fossetta, szybko przebiegł tekstem wzrokiem i nakazał sekretarce przepisać to dziecięcym pismem ręcznym na papierze listowym z Downing Street, koniecznie powielając błąd w słowie „mówić”. Kiedy polecenie zostało wykonane, pognął na górę do części mieszkalnej Clare’ów, gdzie zastał Morgana i Estelle, kłócących się o pilota do telewizora.

Kazał im przeczytać list i podpisać się pod nim. Morgan odmówił, twierdząc, że list jest głupi i że on, w jego wieku, na pewno by nie

napisał „muwili”. Estelle ostatnio z zapalem ćwiczyła swój podpis, więc chętnie wykorzystwała zdobytą umiejętność. McPherson wziął list, podpisał za Poppy i powiedział do Morgana:

- Wiem wszystko o twoich planach przyłączenia się do protestu antyglobalistów w przyszłym miesiącu. Powinieneś być bardziej dyskretny w rozmowach przez komórkę.

- Przecież to wolny kraj - odparł Morgan zaczepnie.

McPherson nie odpowiedział. Estelle i Poppy będą się dobrze prezentować na pierwszej stronie „The Sun”. Morgan tylko psułby obraz tą swoją ponurą pryszczatą buzią.

Palmer brał udział w zebraniu, na którym omawiano plan zamachu na Saddama Husajna i tym samym gwałtownej zmiany reżimu. Urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych powiedział tylko:

- Nikt poza premierem i chrześcijańskimi socjalistami nie ma ochoty atakować Iraku. To by było kosztowne i bardzo niebezpieczne, jeśli wziąć pod uwagę sytuację na Bliskim Wschodzie, a poza tym zrodziłoby masę papierkowej roboty, bo żaden z komputerów w Ministerstwie Obrony nie jest przystosowany do usprawniania działań wojennych.

Na sali rozległ się śmiech i wszyscy zgodnie stwierdzili, że należy szukać innych rozwiązań.

Palmer, sam miłośnik słodczy, powiedział, że czytał w piśmie „Spectator”, iż Husajn ma słabość do cukierków Quality Street.

- Zdaje się, że szczególnie lubi Country Fudge, Młoda czarnoskóra kobieta z CIA powiedziała:

- Z ostatnich raportów wywiadu wynika, że już się przerzucił na inne. Teraz to Orange Chocolate Crunch.

- Typowy dla niego oportunizm - mruknął urzędnik z MSZ.

Po tych słowach zebranie wymknęło się spod kontroli. Dyskutanci roztrząsali wątpliwe zalety kremów pomarańczowych, eklerów kokosowych, orzechowych i karmelowych. Specjalista do spraw Iraku stawał w obronie ciążutek w kształcie monet, i dopiero po chwili dyskusja wróciła na właściwe tory.

- Może poprosić Portón Down o nafaszerowanie Orange Chocolate Crunch którąś z tych strasznych bakterii i wysłać Saddamowi taką świąteczną paczkę na Boże Narodzenie?

Pojawiło się kilka głosów sprzeciwu. Ktoś stwierdził, że ci z Quality Street mogą nie pójść na współpracę, a nawet zaskarżyć rząd. Ktoś inny zauważył, że w Iraku nie obchodzi się Bożego Narodzenia. Jeszcze inny powiedział, że Saddam może ofiarować paczkę któremuś z wnuków, a przecież nie można ryzykować zabicia niewinnego dziecka.

Skoro nikt z zebranych nie chciał zaryzykować otrucia dziecka czekoladką, uzgodniono, że zmasowany atak raketowy z zaskoczenia na gęsto zaludnione obszary jest nieunikniony, chyba że premier po tygodniowej nieobecności zmieni zdanie.

Jedynie odgłosy w kuchni dobiegały z pralki, w której dzinsowe spodnie uderzały guzikami o ścianki bębna. Wszyscy czworo wpatrywali się w czajnik, czekając, aż woda się zagotuje. Muzyka w sąsiednim pokoju była włączona na pełny regulator. Premier pomyślał, że ktoś powinien to ściszyć.

W powietrzu wisiał zapach marihuany i kokainy. Peter stał w rogu klatki, monotonna popiskując.

- Biedacek całkiem postradał zmysły - powiedział Jack.

James stał odwrócony plecami do kuchennych drzwi i Jack miał nieprzyjemne uczucie, że poproszenie chłopaka o przesunięcie się



choćby o krok spowoduje wybuch wiszącej w powietrzu awantury.

Premier rozglądał się z zaciekawieniem. Oto znajduje się w kuchni prawdziwej klasy pracującej. Na suszarce do naczyń, obok pudełek po gotowym jedzeniu do mikrofalówek, stały puszki piwa. Była nawet nędznie wyglądająca papużka, której klatkę wyłożono gazetą „The Sun”. Duży nagłówek głosił: „Saddam lubi Quality Street”. Na stole leżała popielniczka z górą petów, a obok niemal jej dotykał osioł ciągnący wóz z solniczką i pieprzniczką. Wszystko w tej kuchni było pozbawione jakiegokolwiek stylu. Adele uznałaby ją za żałośnie kiczowatą.

Matka Jacka, flejtuch z przesadnie grubą warstwą makijażu, nie wyglądała na zadowoloną z wizyty syna. Przekrzykując głośną muzykę, powiedziała:

- No i czego się tak krzywisz. Mówiłam ci, żebyś nie przyjeżdżał. Że będę zajęta.

Edward zauważył, że po tych słowach Norma spojrzała na Jamesa, jakby chciała się przed nim usprawiedliwić.

Gdy matka wlewała wrzątek do metalowego czajniczka, Jack rzucał nic nie znaczące uwagi o pogodzie, próbując rozluźnić atmosferę w kuchni.

Premier niepewnie pociągnął nosem. Poczul jakiś kwaśny zapach. Niektórzy co bardziej wyluzowani studenci w Cambridge palili trawkę. On sam nigdy tego nie robił - instynkt mówił mu, że to nie dla niego, bo on musi cały czas mieć się na baczności. Teraz przyszło mu na myśl, że może kiedyś jego matka i prawdziwy ojciec palili wspólnie jakieś skrety, które przecież w środowisku jazzmanów nie były niczym niezwykłym.

- To napijecie się herbaty i pójdziecie? - bardziej stwierdziła, niż zapytała Norma.

Jack zwrócił się do Jamesa:

- Jak tam szkoła?

- Szkoła jest dla dupków - powiedział James z pogardą. - Tylko frajerzy chodzą do szkoły. Ja zajmuję się tym, co przydatne. Po co napychać sobie głowę czymś, co mi się nigdy nie przyda?

Premier słyszał już podobne oświadczenie z ust Michaela Heseltine'a<sup>43</sup>. Norma dodała:

- James poradzi sobie bez wykształcenia. To najinteligentniejsza osoba, jaką znam. Ma dopiero dziewiętnaście lat i już ma mercedesa.

Premier nieśmiało zaprotestował:

- No, wie pani, pani Sprat, według mnie wykształcenie to nie tylko narzędzie do zdobywania dóbr materialnych. Dobre wykształcenie powinno wzbogacać nasze życie, żebyśmy dzięki niemu mogli coś dać społeczeństwu.

- A pani gdzie się uczyła? - zapytał James.

- W Cambridge - odparł premier, skromnie spuszczać wzrok.

- No i dużo to nie pomogło - stwierdził James. - Popatrz no na siebie. Ni to facet, ni to baba, żadnej klasy, ktoś ty?

Premier poprawił perukę i przejechał dłonią po lekko zarośniętym podbródku. Miał zamiar się ogolić przed wejściem do tego domu, ale jakoś nie było okazji.

- Już panią gdzieś widziałem. Nie pracujesz przypadkiem w szatni w „Pedalnicze”?

Ktoś zaczął się dobijać do kuchennych drzwi z drugiej strony.

- Siedź tam i nie wylaź! - krzyknął James, jakby zwracał się do psa.

- Kto tam jest? - zapytał Jack.

- To jeden z naszych gości - powiedziała Norma. Z brzękiem kładła na stół filiżanki i łyżeczki. - Może zaniosę herbatę naszym gościom w salonie? - zapytała Jamesa.

- Nie! Trzymaj się z daleka od tego pokoju! - wrzasnął James.

Jack dostrzegł przerażenie na twarzy matki. Wstał i powiedział:

- Ale ja nie mam zamiaru trzymać się z daleka. Muszę wyłączyć tę muzykę.

Grzecznie poprosił Jamesa, żeby odsunął się od drzwi, a kiedy chłopak odmówił, wyzywając go od faszystów, Jack zachował się jak na faszystę przystało: chwycił Jamesa za prawą rękę i wykręcił mu ją za plecami z taką siłą, że omal jej nie złamał. James zawył z bólu i opadł na kolana.

- Jack! Nie zrób mu krzywdy! - krzyknęła Norma.

Jack podciągnął Jamesa do pionu i wepchnął do salonu. Wewnątrz było ciemno, ale dało się wyczuć czyjąś obecność. Jack czuł, że ta muzyka niczym żywy stwór wżera się w jego ciało. Sięgnął do kontaktu na ścianie i wtedy zorientował się, że zakleiono go taśmą.

Zdarł taśmę i wcisnął przełącznik. Górne światło ujawniło obecność czterech mężczyzn i dwóch kobiet, którzy odruchowo zastonili oczy przed nagłym oślepiającym blaskiem. Był wśród nich były kierownik sklepu z dywanami, była pielęgniarka, były mechanik samochodowy, sprzedawca samochodów, portier i dziewczyna z poprawczaka o łagodnym rygorze. Zebrali, kradli i zaciągali pożyczki, których nie byli w stanie spłacić, byle tylko dać Jamesowi po pięćset funtów od osoby za weekend w tym domu. Po obu stronach kominka stały olbrzymie głośniki. Były nawet większe od tych, których używano w Palais de Danse, gdzie Jack chodził na kurs tańca z grupą liczącą około trzystu osób. Jack myślał tylko o tym, żeby przerwać ten hałas. Rozejrzał się i zobaczył, że głośniki są podłączone do CD stojącego na jego starym biurku obok książek i wazonu w kształcie osła, w którym tkwił bukiet zwiędłych żonkili. Próbował różnych pokręteł i przycisków. Wreszcie

wszystko ucichło. Goście Normy wpatrywali się w obcego przybysza, który tak obcesowo wdarł się w ich sny.

James stał pośrodku pokoju, spoglądając na Jacka z pogardą. Gardził maluczkimi, którzy nie mają odwagi brać koki. To zwykła hołota. Nigdy nie doznają takiego uniesienia, jakiego doświadczył James po pierwszym zażyciu. W tym momencie poczuł się jak światowy przywódca, który protekcyjnym tonem wydaje rozkazy, i w tym duchu zaczął przemawiać do wszystkich zebranych.

- Celem naszego życia jest branie koki. Po tośmy się urodzili i tylko po to istniejemy. Tylko nieliczni wybrańcy mają okazję doświadczyć dobrodziejstw tego skarbu. Jesteśmy prawdziwą elitą. Ci uprzywilejowani - tutaj wskazał gestem mechanika samochodowego - są święci i trzeba im pozwalać na gromadzenie się w celu czczenia koki. W jej imię wszystko jest dozwolone: gwałty, morderstwa, tortury... nic nie zostanie oszczędzone tym, którzy chcieliby zapobiec oddawaniu czci koce. Jeżeli kokainista nie ma forsy, trzeba mu pozwolić na okradanie takich frajerów, jak ty i twoja matka, Jack. Zabijać, gwałcić, porywać, torturować takich frajerów to żaden grzech. Kokainista zna prawdę, a tą prawdą jest błogość tak wielka, że aż trzeba by wynaleźć nowe słowa, żeby móc wyrazić jej ogrom.

Wyobraźcie sobie nieskończoność, bezkres przestrzeni rozciągającej się w bezgraniczną przyszłość, a potem wyobraźcie sobie właśnie taką olbrzymią przyjemność. Kto nie chciałby czuć się tak odjaaaaaz-dooooowo, tak blooooooogo, tak czadoooooowo, tak zajeeeeeeeeeebieście?

Crack to Bóg  
Crack to Jezus  
Crack to Allah  
Crack to Budda  
Crack to Kriszna  
Crack to Abraham

Crack to Mojżesz  
Crack to Martin Luther  
Crack to Mandela  
Crack to Beckham  
Crack to Puff Daddy  
Crack to crack...

Głos Jamesa lekko się załamał:

- To właśnie obietnica koki. Dlatego ćpamy ją i ćpamy i jeszcze i jeszcze i ciągle nam mało....

Była pielęgniarka zauważyła:

- Ale to niespełniona obietnica i już nigdy, nigdy, przenigdy, nie udaje się nam osiągnąć tej samej błogości, choćbyśmy nie wiem, ile tego wzięli, i nie wiem, ile wydali.

James ciągnął:

- Ale nie możemy ustawać. Zawsze jest nadzieja. Musimy wierzyć.

Sprzedawca samochodów odezwał się:

- I musimy być przygotowani na utratę rodziny, żon, mężów, dzieci, utratę pracy, przyjaciół, pieniędzy, nieruchomości, domów, szacunku do siebie, dumy i samych siebie.

James ciągnął:

- Tak. I będziemy żyć w ciemnościach, w których każdy jest naszym wrogiem, cienie czekają na naszą śmierć, każdy dźwięk zagraża naszemu życiu, a słońce tylko nam przypomina o pragnieniu, którego nie mamy czym zaspokoić.

Nie ma też nikogo, kto zwilżyłby nam usta.

James poczuł, że opuszczają go siły. Położył się na chodniku przed kominkiem i wydawało się, że natychmiast zasnął.

Jack zgasił światło i dokładnie zamknął za sobą drzwi, jakby właśnie ułożył dzieci do snu. Poszedł na górę i zdjął z szafy największą walizkę Normy.

Norma opowiadała Edwinie, jak bardzo przypomina wyglądem premiera.

- Cały Edward Clare - powiedziała. - Ten głos, uśmiech, nawet te krzywe zęby i sposób mrugania, wszystko.

Premier, nieporuszony tyradą wygłaszaną przez Jamesa w sąsiednim pokoju, usiłował sobie przypomnieć, jak się rozmawia z prawdziwym przedstawicielem klasy robotniczej. O czym się rozmawia? O zwierzątkach domowych? O bingo?

Norma powiedziała mu, że byłby milion razy lepszy w roli premiera niż Rory Bremner<sup>44</sup>. Po chwili zmieniła temat:

- Dobrze, że Jack się tym zajął.

Premier odpowiedział odruchowo:

- Nasi policjanci robią naprawdę dobrą robotę.

Zapytał Normę, co sądzi o obecnym rządzie. Sprawiała wrażenie, jakby nie zrozumiała pytania.

- Bo ja wiem. Nie interesuję się polityką... no, z wyjątkiem Rona Phillpota. Podobało mi się, jak dołożył temu facetowi.

Edwardowi dziwnie odpowiadała obojętność Normy. Po co przewracał się niespokojnie całą noc, myśląc o Porozumieniu z Kyoto, skoro olbrzymia większość społeczeństwa spała spokojnym snem, zagrożona w błogiej nieświadomości zagrożeń, które powodują gazy emitowane przez elektrownie?

W kuchni zadzwonił wiszący na ścianie telefon. Norma spojrzała na niego z obawą. James przestrzegął ją i przed odbieraniem telefonu, i przed telefonowaniem.

Będąc na górze, Jack usłyszał dźwięk dzwonka i zbiegł, by podnieść słuchawkę. Dzwoniła jego siostra, Yvonne.

- Gdzie jesteś? - zapytał, szczerze zainteresowany. Przecież mogła być wszędzie.

Norma trochę się zaniepokoiła, słysząc, że za jakąś godzinę będzie u niej Yvonne.

- Nie spodobają się jej nasi goście - powiedziała.

Jack był zdziwiony zdolnością matki do okłamywania samej siebie. Nazywanie ćpunów z salonu „gośćmi” było jak nazywanie mrówek w dzemie „mile widzianymi gośćmi”.

- Mamo, gdzie on trzyma towar? - zapytał.

- Nie mogę ci powiedzieć - wyszeptła. - Obiecałam mu, że nie powiem. Kazał mi przysiąc na życie Pete'a. Powiedział, że włoży go do mikrofalówki i zje z jajkiem. Mówił, że będzie nosił piórka Pete'a we włosach. Cieszę się, że przyjechałeś, Jack.

- No to mi nie mów - cicho powiedział Jack - tylko pokaz.

Norma otworzyła szufladę ze sztućcami w kuchennym stole i wyjęła z niej puszkę po tytoniu Old Holborn. W kawałek granatowej szmatki były zawinięte lśniące kryształki.

- Kryształły? - zapytał premier.

- Crack! - stwierdził Jack.

Premier cofnął się, jakby się spodziewał, że któryś z tych maleńkich kryształków wedrze się w jego ciało i doprowadzi go do szaleństwa, które wygna go na ulice i każe napadać oraz popełniać niewyobrażalnie okrutne czyny, skierowane przeciwko bliźnim. Poczul się znacznie lepiej, kiedy Jack owinął kryształki szmatką, zamknął puszkę i włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestowała Norma. - Goście zapłacili z góry.

Jack zwrócił się do matki:

- Zdjąłem twoją walizkę z szafy i położyłem na łóżku. Idź na górę i spakuj się. Wyjeżdżasz stąd jeszcze dzisiaj.

- A dokąd mnie zabierzesz? - zapytała.

- Nie wiem.

- Nie mogę zostawić Pete'a.

- To go zabierzemy - powiedział Jack, choć według niego Pete nie wyglądał na dość silnego, żeby znieść trudy podróży.

Jack pełnił straż w korytarzu, gdy Norma poszła na górę i zaczęła się pakować.

- Jack - odezwał się premier - jestem tolerancyjny, ale crack wykracza poza wszelkie granice tolerancji. W tej sytuacji czuję się dość niezręcznie. Dla ciebie to pewnie nic nadzwyczajnego, ale przyznam, że ja jestem... no... jakby to... w szoku. Jack, masz obowiązek zabrać mnie z tego miejsca! Zadzwoń do Alego, żeby natychmiast przyjechał.

Jack odpowiedział mu ze złością:

- Sądzę, że to twoja wina. Od dziesięciu lat wiesz o narkotykach i głównie w tej sprawie zrobiłeś. Uciekleś i schowałeś swoją umiarkowaną główkę w piasek, udając, że to taka upierdliwa mucha, która sama odleci, jak nikt nie kiwnie palcem, i wszyscy będziemy udawać, że nic nie widzimy. No i oto skutki - wrzasnął - w domu mojej matki!

Premier zaczął przytaczać dane statystyczne. Mówił o milionach wydanych na edukację i zapobieganie uzależnieniom. Że iks procent czegoś tam wydano na coś tam i że iks procent przeznaczono na coś tam i że iks procent iksa procent ma zostać wydane w następnym etapie.

- Tak, tak. A osiem i pół procent Apostołów zdradziło Chrystusa. Procenty nic nie znaczą, dane statystyczne to zwykle bzdury.

- Rząd wydał cztery i pół miliona funtów na finansowanie badań - bronił się premier.

Jack ryknął:

- Przestępstwa związane z zażywaniem narkotyków kosztują ten kraj miliardy! Powiem ci coś, Ed. Salon mojej mamy jest pełen ekspertów od dragów. Może oni coś ci doradzą. Twój rząd nie wyda na te konsultacje złamanego pensa.



Yvonne powoli oswajała się z deską rozdzielczą w BMW. Odważyła się nawet zjechać na szybszy pas, gdzie tak docisnęła pedał gazu, że osiągnęła prędkość dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Pogoda była okropna. Yvonne żałowała, że nie włożyła żółtego rozpinanego swetra, który kupiła w Marbelli. Zwiększyła ogrzewanie, chwilę manipulowała przy radiu, próbując znaleźć jakąś znośną muzykę: Franka Sinatrę, Neila Diamonda, Queen - coś, co dałoby się zanucić. Natrafiła jednak tylko na przygnębiające wiadomości o Anglii. Że przegrali w krykieta, że West County odwiedziła powódź, że M25 była zamknięta przez siedem godzin, że już jutro Edward Clare ponownie obejmie obowiązki premiera i że dzieci premiera opublikowały prośbę do prasy o poszanowanie prywatności ich matki. Yvonne zastanawiała się, jak mogła tak długo żyć w tym kraju. W porównaniu z Marbellą to istny dom wariatów. Czy w Anglii można jeść śniadania na słonecznym tarasie obrośniętym bugenwillą? Popijać świeży sok pomarańczowy i jeść croissanty z dobrą kawą, spoglądając na błękitne morze? Nie, to, do cholery, niemożliwe. Czy zimą w Leicester można sobie spacerować w białym dzinsowym kostiumie i złotych sandałach, ze zdobioną złotą nicią torbą, i nie wyglądać jak głupek? Nie. Czy w Anglii można jeść kolację na zewnątrz o dziesiątej wieczorem i nie odmrozić sobie cycków? Raczej nie.

Dotknęła złotawej torebki leżącej na miejscu pasażera obok niej. Wewnątrz spoczywa pękata koperta pełna banknotów euro. Yvonne nie może się doczekać chwili, w której wręczy to matce. Już wyobraża sobie jej minę. Chętnie pokaże mamie mieszkanie w kompleksie apartamentów na plaży, przeparuje przez białe pokoje z posadzkami z marmuru i jasnymi meblami, pochwali się lodówką z maszyną do robienia lodu, ustawi klimatyzację tak, żeby mamie odpowiadała, wprowadzi mamę do salonu z łazienką obok, żeby jej udowodnić, że nie

tylko Jack odniósł sukces w tej rodzinie. I co z tego, że Yvonne ma czterdzieści osiem lat. Pedro, jej aktualny partner, twierdzi, że wygląda na co najmniej dwadzieścia lat mniej. Trzeba przyznać, że służy jej opalenizna, tak samo jak i fryzura à la Mia Farrow. Jakiś facet na lotnisku w Maladze zarzucił jej, że się wpycha bez kolejki, i nazwał ją europejską snobką. Odebrała to jako komplement: zawsze chciała być Europejką, odkąd po raz pierwszy usłyszała Edith Piaf śpiewającą *La Vie en Rose* i zobaczyła Audrey Hepburn na tylnym siedzeniu skutera Vespa w *Rzymskich wakacjach*. Minęła pola z masztami stacji radiowej w pobliżu Daventry, a potem zaglądając do wnętrz wyprzedzanych samochodów, zauważyła, że niemal wszyscy kierowcy i pasażerowie mają bladą, ziemistą cerę i są brzydko ubrani. Wydało się jej, że całe angielskie społeczeństwo jest zaniedbane.

Yvonne pamiętała dokładnie ten moment w 1990 roku, kiedy przestała o siebie dbać. Była na górze, leżała w łóżku zmożona grypą. Przypadkowo usłyszała rozmowę telefoniczną Derka z którymś z kumpli na temat starej szopy ogrodowej. Z daleka dobiegło jej uszu zdanie: „No, muszę kończyć. Muszę iść na górę do tego obiboka w łóżku”.

Obibok w łóżku. Jego słowa pozbawiły ją płci i zawstydziły. Kiedy poczuła się lepiej, jak przystało na obiboka objiała się po domu w elastycznych ciuchach, które rozciągały się na tyle, że mogła się w nie wcisnąć. Przestała farbować włosy i wiązała je z tyłu. Nie korygowała kształtu brwi, nosiła skarpetki Derka, a w powstającej czasami szczelinie między butami a nogawkami spodni widać było owłosione łydki. Dołączyła do całej rzeszy kobiet, które przestały o siebie dbać. Spotykała je wszędzie: przed szkołą, na przystankach, w przychodniach.

Pani Thatcher uratowała ją przed nią samą. Yvonne obserwowała, jak jej bohaterka opuszcza Downing Street, płacząc na tylnym siedzeniu limuzyny. Przegrana.

„Zapuści się, jak ja”, pomyślała Yvonne. Jednak kilka miesięcy później Maggie była tak samo zadbana i silna. Inspiracją dla Yvonne była niezwykła wiara Margaret w siebie oraz fakt, że potrafiła ona zarabiać dwadzieścia tysięcy funtów na godzinę dla Thatcher Foundation - fundacji charytatywnej promującej kapitalizm jako siłę czyniącą dobro. Yvonne posłała na adres fundacji czek o wartości dziesięciu funtów. Kiedy w święta powiedziała o tym Jackowi, ten się roześmiał i stwierdził:

- Nie licz na wdzięczność za tego swojego dziesiątaka. Ta baba to twarda sztuka, jak baton orzechowy.

Yvonne nie znosi Edwarda Clare'a. Gdyby jej na torturach wbijano drzazgi pod paznokcie, nie umiałaby powiedzieć, o co mu chodzi. Facet tyle gada o „środku” i „klasie średniej”, ale środek znaczy nic - kto by dał kupę kasy za miejsce przy samym ringu, żeby oglądać walkę bokserką zawodników średniej klasy?

Nigdy nie żałowała swojego wyjazdu z Anglii. Obiecała sobie, że wyjedzie, jeśli laburzyści dojdą do władzy. Zajęło jej to kilka lat i oto udało się, w przeciwieństwie do Franka Bruno<sup>45</sup> i Paula Danielsa<sup>46</sup>, którzy o ile jej wiadomo, wciąż tu są.

Ona i Derek zawsze głosowali na Partię Pracy, do chwili, gdy na scenie z wielkim hukiem pojawiła się pani Thatcher w całym swoim majestacie. Nikt nie mógł jej tknąć. Przede wszystkim łatwo było ją zrozumieć. Przecież zmniejszyła rolę związków zawodowych, nie? Ze związkiem w fabryce Derka zawsze były tylko kłopoty - ciągle domagali się forsy, lepszej opieki i bezpieczeństwa. Jak komuś maszyna ucięła palec, to przecież sam sobie był winien. Derek jakoś zachował wszystkie palce. Pani Thatcher załatwiła się z tymi starymi związkami. Derkowi zupełnie nie przeszkadzało, że nosił do pracy własny papier toaletowy. Bo i czemuż to szef miałby płacić za wycieranie tyłka Derka? Maggie pozwoliła firmie Derka kupować blachę w Indiach zamiast

w odlewni na sąsiedniej ulicy. No dobra, jakość nie była taka sama, ale za to cena pięć razy niższa, pięć razy! I związki nie miały nic do gadania, bo książki zamówień pękały w szwach. Derek pracował po godzinach wieczorami i w weekendy, i w końcu stać ich było na wykupienie domu, w którym mieszkali od ślubu - po cenie o osiemdziesiąt procent niższej od wartości rynkowej.

Premier był zaskoczony tym, jak normalnie wyglądali narkomani. Spodziewał się ujrzeć zupełnych degeneratów, których upadek moralny widać na pierwszy rzut oka, a tu zobaczył zwykłych ludzi.

Pielęgniarka powiedziała, że w przyszłym tygodniu ma rozprawę sądową - jest oskarżona o okradanie szafek przy łóżkach pacjentów. Martwiła się tylko o to, jak zdobędzie w więzieniu koks.

- Z tego, co słyszałem, nie będzie trudno - uspokoił ją Jack. - Tam łatwiej o narkotyki niż o aspirynę.

Portier powiedział, że nie wie, jak długo wytrzyma w pracy. Jest winien pieniądze różnym osobom w całym mieście. Gangsterzy przychodzą do niego do pracy i grożą, że mu przestrzelą kolana. Jest piątek, powinien teraz stać przy drzwiach hotelu Starlight, a on zostawił żonę bez grosza przy duszy i z trójką dzieci do wyżywienia. Zabronił jej otwierać drzwi. Słyszał, że wierzyciele zaczęli karać ociągających się dłużników za pomocą kwasu. Nie zniósłby, gdyby zniszczyli piękną twarz jego żonie. Nie mógłby żyć z kobietą w bliznach.

- Czemu nie pójdziesz na policję? - zapytał premier.

To pytanie wszystkich serdecznie rozbawiło.

Edward rozejrzał się i czekał cierpliwie, aż ktoś wyjaśni mu, co w tym zabawnego.

Sprzedawca samochodów wyrażał się najmniej logicznie i Ed musiał włożyć sporo wysiłku myślowego, żeby zrozumieć, że gość wydaje na swój nałóg więcej, niż zarabia. Wydał na crack jedenaście tysięcy

funtów przeznaczone na wesele i podróż poślubną. Jego narzeczona nie ma pojęcia o nalogu i dowie się o nim dopiero w dniu ślubu, kiedy nie przyjedzie po nią wynajęty samochód i nie zabierze jej do kościoła, który nie jest zamówiony.

- Próbowaliście korzystać z poradni? - zapytał Edward.

Pielęgniarka udzieliła mu rzeczowej odpowiedzi:

- Jest tylko jedno takie miejsce w kraju. Na skierowanie czeka się sześć miesięcy.

Po tych słowach zwróciła się do Jacka:

- Obudź tego skurczysyna. Potrzebuję działki.

Wszyscy spojrzeli na Jamesa, który leżał na podłodze, pogrążony we śnie.

- Wygląda na martwego - powiedział premier. Jack zbadał jego tętno i stwierdził:

- Niestety, żyje.

Premier zwrócił się do nich wszystkich:

- Czemuście to sobie zrobili?

Dziewczyna z poprawczaka odpowiedziała pierwsza: - Ja nie wiem. Jak byłam mała i ledwo zaczęłam chodzić, wypięłam wybielacz i też nie wiem, czemu to zrobiłam. Byłam w poprawczaku i James też tam był, i tak jakoś... zabawialiśmy się, żeby zobaczyć, kto wypije więcej tequili i nie zaśnie, i ja wygrałam, i wtedy James nam pokazał te śliczne kryształki. To był pierwszy raz. Rano się budzę i no... i jest super. I wtedy sobie przypominam. Muszę wyjść, muszę zrobić jakiemuś facetowi laskę albo postraszyć jakiegoś obcego frajera, żeby zdobyć kasę. To ciężka harówka, nigdy nie mogę odpocząć. Cały czas muszę główkować, planować i jeszcze ukrywać się przed ludźmi. Matka jest na mnie zła, bo forsę na jej czynsz wydałam na towar i ciągle jestem, no... w strachu. Są takie miejsca i ulice, gdzie nie mogę się pokazywać. Policja mnie zna. Jak przejeżdżają koło mnie, to krzyczą przez okna, że jestem za brzydka na numerek. Nazywają mnie Alicją Ćpunka. Uciekłam raz

do Nottingham, ale mnie tam pobili i wróciłam. Jechałam pociągiem na gapę: konduktor potraktował mnie jak ostatniego śmiecia, no to go popchnęłam, tylko trochę popchnęłam, a oni to uznali za napad. To wcale nie był napad... No, zapytajcie kogokolwiek, nie skrzywdziłabym muchy... chyba że to ona skrzywdzi mnie pierwsza. Gardzę tym konduktorkiem. Tylko tyle do niego czuję: pogardę.

Były mechanik powiedział ze złością:

- Nie przyszedłem tu na pogawędkę. Chcę ciemności, muzyki, jeszcze jednej działki i więcej lodu. Zapłaciłem i wymagam. Wziąłem pożyczkę. Połączyłem swoje długi: teraz mam tylko jeden wielki dług i z odsetkami będę go spłacał, dopóki nie skończę sześćdziesięciu pięciu lat - przy tych słowach wybuchnął śmiechem - ale nigdy nie dostanę tej pieprzonej forsy. Wtedy będę już dawno gryzł ziemię.

- Urząd Doradztwa dla Obywateli prowadzi poradnie oddłużeniowe, gdzie można uzyskać konkretne, praktyczne wskazówki - powiedział premier.

Pielęgniarka jęknęła:

- Albo dostanę następnego krysztalek, albo zwróćcie mi kasę.

Norma wypełniła walizkę swoimi skarbami. Włożyła mnóstwo błyskotek, trzy torebki wieczorowe, ale niewiele ciepłych wygodnych ubrań. Jack usłyszał, jak ciągnie walizkę po schodach, i pobiegł jej pomóc.

Yvonne zjechała z trasy przy skrzyżowaniu 21 i musiała przejechać przez szereg dwupasmówek i kilka rond wielkości małych wysp. Mijała parterowe budynki bez okien, w których produkuje się lub magazynuje jakieś towary, oraz podmiejskie centra handlowe, gdzie w identycznych sklepach sprzedaje się identyczne produkty i stale hula wiatr.

Przejechała obok multipleksu i sąsiadujących z nim sieciowych restauracji, w których sprzedaje się źle odgrzane przetworzone jedzenie klientom za mało pewnym siebie, by odważyli się zaprotestować. Wreszcie dotarła do wąskiej drogi wdzierającej się w stare dzielnice.

Przyjemnie było usłyszeć w słuchawce głos Jacka. On jest taki nieskomplikowany, ale Yvonne właśnie to w nim lubi. Zawsze kiedy musi podjąć trudną decyzję albo stawić czoła dylematom moralnym, zadaje sobie pytanie: „Co zrobiłby Jack?”

Wkrótce mijała znajome miejsca na skraju znajomej dzielnicy. Jedyną dobrą rzeczą, jaką można powiedzieć o jej rodzinnym gnieździe, jest to, że leży zaledwie półtorej mili od M1, dzięki czemu łatwo stąd uciec. Zwolniła i spojrzała na fabrykę, w której Derek pracował od chwili, gdy w wieku piętnastu lat skończył szkołę. Był trybikiem w fabrycznej maszynie. Pracował osiem godzin dziennie, pięć i pół dnia w tygodniu. Dostał nawet dyplom za przestrzeganie czasu pracy. Powiesił go na ścianie w kuchni. Jednak jak ciężko by harował, zawsze byli biedni. Nie głodowali ani nie marzli, ale bez przerwy musieli się ograniczać. Zawsze spędzali tylko jeden tydzień na kempingu w St Leonard's-on-Sea, nigdy dwa. Nie rozumieli, jak to się dzieje, że nie są w stanie odłożyć nic na starość ani kupić samochodu. W końcu Yvonne zaczęła nienawidzić Derka za to, że przychodzi do fabryki pierwszy, a wychodzi z niej ostatni.

Yvonne i Ali podjechali pod dom Normy jednocześnie, oślepiając się nawzajem światłami. Niemal ramię w ramię szli ścieżką do drzwi.

- Kto wzywał taksówkę? - zapytała Yvonne.
- Nie jestem taksówką. Jestem tu prywatnie, co nie.

Drzwi otworzył im Jack. Ujrzawszy siostrę, po raz kolejny zdziwił się zdolnością kobiet do transformacji.

Ta Yvonne na progu była niczym motyl, który opuścił kokon dawnej Yvonne. Teraz wyglądała młodziej, wytworniej, jej niegdyś okrągła sylwetka nabrała ostrzejszych, bardziej wyrazistych kształtów.

Jack skierował Alego do kuchni, a siostrę zatrzymał w korytarzu. Yvonne ze spokojem przyjęła wiadomość, że matka prowadzi melinę narkomanów i jest zakochana w dziewiętnastoletnim dilerze o imieniu James, a James wraz z sześcioma innymi ćpunami są właśnie w salonie, gdzie albo wychodzą ze stanu otępienia, albo gwałtownie domagają się kolejnej działki.

Kiedyś, jeszcze w dzieciństwie, Yvonne, wróciwszy ze szkoły, zastała w domu zbiegłego więźnia o nazwisku Kevin O'Dwyer, który jakby nigdy nie siedział przed telewizorem i zjadał spaghetti. Widziała jego zadowolenie z tego, że jest głównym tematem wiadomości. Rzecznik prasowy policji ostrzegwał, żeby nikt nie zbliżał się do zbiega. O'Dwyer skręcił jointa i podał go Normie, mówiąc:

- Normo, jesteś prawdziwą przyjaciółką opuszczonych. Czeka cię nagroda w niebie.

Yvonne była właściwie dumna z chrześcijańskiego miłosierdzia matki, jednak odczuła prawdziwą ulgę, gdy O'Dwyer został schwytany w drodze na poranną mszę i z powrotem wsadzony do więzienia.

Yvonne weszła do kuchni i została przedstawiona premierowi.

- Pewnie wszyscy pani mówią, że wygląda pani całkiem jak ten drań Edward Clare - powiedziała Yvonne.

- Premier nie jest draniem, Vonnice - wtrącił Jack. - To porządny chłop, który haruje jak wół, tylko popełnił ten błąd, że próbuje rządzić krajem, nie mając żadnych przekonań politycznych.

Premier spojrział na Jacka niemal z wdzięcznością. Norma zwróciła się do Yvonne:

- Gdzie moja forsa, ty złodziejko?



Yvonne wyjęła z torebki kopertę i rzuciła ją na stół. Wysypały się banknoty: trzydzieści osiem tysięcy czterysta euro.

- To pieniądze z Monopoli - stwierdziła Norma.

- W euro - zauważył premier. Ali powiedział:

- Miałem takiego klient... jakiś Niemiec... chciał mi zapłacić w euro. Zawiozłem go do komisariat, ale tam mi zarzucili marnotrawienie ich cenny czas. Musiałem przyjąć tych jego euro i wymienić w banku, co nie.

- Vonnie, jak zarobiłaś taką kasę? - zapytał Jack.

- To mój system wsparcia „Kobiety Kobietom”- odparła. - Znajduję dwie kobiety, które równocześnie wpłacają po trzy tysiące funtów, i każda z nich znajduje dwie kolejne kobiety, które wpłacają tyle samo, a tamte znajdują znowu po dwie i tak dalej.

- To piramida finansowa - stwierdził Jack. - Departament Przemysłu i Handlu już się tym zajmuje. Zostali wprost zalani skargami od kobiet, które straciły wszystkie swoje oszczędności.

- Mój obszar to Marbella, a tam ludzie mają trochę kasy - powiedziała Yvonne.

- Tak jak ja - wtrąciła Norma. - Dałam jej trzy tysiące.

- A ja ci przywozłam dwadzieścia cztery tysiące funtów! - krzyknęła Yvonne.

- Vonnie, nic na tym świecie nie dostaje się za darmo - zauważył Jack.

- I tu się mylisz - odparła Yvonne - bo niektórzy dostają coś za nic. Choćby bankierzy, a to wszystko opiera się na zaufaniu. Działa tak długo, jak długo wszyscy wierzą. Pamiętasz, Jack, jak poszliśmy na *Piotrusia Pana* i wszyscy klaskaliśmy co sił w rękach, żeby udowodnić, że wierzymy we wróżki? Właśnie tak działa biznes, i mój też. Chodzi tylko o to, żeby wszyscy nie zażądali pieniędzy jednocześnie. I ludzie tego nie robią, za bardzo są zajęci klaskaniem, bo chcą wierzyć, a w

dotadku są zachwyceni Dzwoneczkiem.

- Nigdy nie byłem na *Piotrusiu Panu* - powiedział Jack.
- No dobra. Niech ci będzie. To był Stuart.

Premier zapytał:

- Czy to znaczy, że każdy ma gwarancje wygranej?
- Wcześniej czy później. A co, chciałyby pani zainwestować?
- Chętnie i ja coś się bym dowiedział - odezwał się Ali.
- To tylko dla kobiet. Jak tylko mieszają się do tego mężczyźni,

zawsze są jakieś kłopoty - burknęła Yvonne.

- No, w każdym razie - ciągnęła Yvonne - mam, powinnaś zamieszkać ze mną w Hiszpanii. Widziałam w Marbelli nawet „Leicester Mercury”. Jedna z moich klientek to prenumeruje. Omal nie padłam trupem, jak zobaczyłam twoje zdjęcie na pierwszej stronie. Taka pobita, posiniaczona! No, to wracasz ze mną.

- A Pete? - zaprotestowała Norma. - Przecież on nie umie latać.

Yvonne nigdy nie darzyła szczególną sympatią ptaków ani zwierząt i podziwiała władze Hiszpanii za obojętność w tym względzie.

- Kupię ci większego, jeszcze bardziej kolorowego ptaka, takiego, co będzie miał w sobie więcej życia. I będziemy go trzymać w trzypoziomowej klatce na tarasie.

Norma spojrzała na Pete'a i odpowiedziała:

- Nie. Nie mogę go zostawić. Był przy mnie w dobrych i złych chwilach, więc i ja muszę być przy nim.

- Ależ, Normo. To naprawdę... wzruszające - westchnął premier.
- Zajmę się Pete'em, mam - zaproponował bez entuzjazmu Jack.
- Moje dzieci chciałyby mieć jakiś ptaszka - powiedział Ali.
- Ja z chęcią się nim zaopiekuję - zgłosił się premier.

Norma odparła ze złością:

- Ale on kocha mnie! - i zwróciła się bezpośrednio do papużki: - To ja jestem twoją panią, prawda, Pete?

- Mamo, weź swój paszport - zdecydował Jack. - Jutro pojedziesz z Vonnie na dwa tygodnie do Marbelli, a ja zajmę się wszystkim, co trzeba załatwić tutaj. Pete będzie sławny. Będzie pierwszą papużką na Downing Street. Chociaż nie pierwszym ptasim mózdzkiem, oczywiście.

Z korytarza dobiegły ich jakieś głosy. Jack poszedł zobaczyć, co się tam dzieje. James wypychał gości za drzwi i wyrzucał za nimi ich buty i ubrania. Sprzedawca dywanów szedł już boso chodnikiem, pielęgniarka zbierała z ziemi zawartość swojej torebki. Jamesowi chyba się zdało, że ma do czynienia z agentami rządowymi. Wszedł do kuchni i otworzył szufladę w stole. Kiedy się zorientował, że puszka po tytoniu zniknęła, oskarżył Normę, że sama zużyła cały towar.

Yvonne próbowała coś wyjaśnić, ale Jack posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, i niechętnie zamilkła od razu. Podeszła jednak do matki i obronnym gestem objęła ją.

Jack zauważył strach w oczach premiera, więc objął go w podobny sposób.

Ali był przyzwyczajony do ćpunów wszelkiej maści. Jego praca w dużej części polegała na wożeniu takich typów do i z różnych domów w poszukiwaniu towaru. Tacy prawie nigdy się nie targują i nie przeszkadza im, kiedy uprzedza, że musi zostawić włączony taksometr na czas, kiedy oni będą załatwiać swoje sprawy. Wiedział, jak to jest być uzależnionym - sam kiedyś palił pięćdziesiąt bensonów dziennie i zdarzyło mu się iść prawie pięć kilometrów do stacji całodobowej, kiedy jego wóz był zepsuty. Dobrze więc wiedział, o czym mówią.

- Macie mi oddać to, co moje - domagał się James. - Jestem Panem, jestem Wszchemgący.

Kiedy nikt się nie poruszył ani nie odezwał, James zdjął z góry puszkę po herbatnikach i wyjął z niej mały pistolet. Przyłożył go premierowi do skroni i lufą zahaczył o perukę. Jackowi wydało się, że włosy Eda znacznie posiwiały w ciągu tego tygodnia.

- Od pierwszego dnia wiedziałem, że to pan - skłamał Ali.

- No to się wkopałeś w mnóstwo papierkowej roboty, Ali - powiedział Jack. - Ustawa o zachowaniu tajemnicy państwowej i te rzeczy.

James był tak zaskoczony widokiem tak sławnej osoby, że aż dźgnął premiera lufą w skroń. Edward skrzywił się i James natychmiast powiedział:

- Oj, przepraszam. Zabolalo?

- Nie. Nie bardzo. Nic się nie stało - odparł premier.

James odezwał się konfidencjonalnym tonem:

- Mam poufne informacje o Gibraltarze. Nie wolno pozwolić tym hiszpańskim draniom zagarnąć Gibraltaru.

I zaczął tłumaczyć, że rząd Hiszpanii chce odzyskać Gibraltar dlatego, że podstawowym budulcem tworzącym tę wyspę jest crack. Cała wyspa to taki jeden wielki kawał kryształu. To geologiczny cud, prezent od Pana Boga dla ludzkości. I gdyby to rozsądnie wydobywać, wystarczyłoby, żeby dać szczęście każdemu mężczyźnie, kobiecie i dziecku na świecie.

Premier słuchał z taką uwagą, na jaką stać człowieka z bronią przystawioną do skroni. Potem powiedział automatycznie:

- Jestem niezmiernie wdzięczny temu młodzieńcowi za informacje. Na pewno przekażę je odpowiednim organom.

Edward w jednej chwili zrozumiał sens powiedzenia „mieć pistolet przystawiony do głowy”. To naprawdę niezwykle, jak taki pistolet rozjaśnia myślenie. W pierwszej chwili pomyślał, że rząd faktycznie

powinien przedsięwziąć jakieś poważne działania w sprawie kokainy, a w miarę jak mijały długie sekundy, podjął decyzje w wielu innych kwestiach, które go niedawno dręczyły.

Atak na Irak byłby szaleństwem. Zamiast niego zarządzi walkę z ubóstwem. W najbiedniejszych miejscach kraju powstaną domy kultury. Tushinga nauczy się grać na gitarze albo na skrzypcach w ognisku muzycznym niedaleko domu. Oczyma wyobraźni Edward ujrzał obraz przyszłości, utrzymamy w stylistyce pisma „Strażnica”, na którego okładce świadkowie Jehowy wielu ras wędrują zgodnie pośród zielonych pól i lasów, mijając przejrzyste, szumiące strumienie. Dzieci mogą biegać, skakać i bawić się beztrąsko, nie zważając na zastrzeżenia towarzystw ubezpieczeniowych. Widział usuwane kamery systemów monitorujących, których miejsce zajmuje dobre oświetlenie ulic, widział państwowe przedszkola, w których fachowy personel uczy dzieci zapomnianej już sztuki zabawy. Widział bezpłatne państwowe przedszkole na końcu ulicy, gdzie mieszka Tushinga. Toyota mogłaby w ciągu dnia pracować i chodzić do szkoły. Widział wspaniałe ośrodki sportowe i jeszcze więcej parków miejskich. Nawet mając przystawiony pistolet do głowy, już się rwał, żeby podpisać nowy program wyborczy. Następne pokolenie dzieci i młodzieży otrzyma szansę wykorzystania tkwiącego w nich potencjału.

Niecałą sekundę później Jack wytrącił broń z dłoni Jamesa i młodociany diler znalazł się na podłodze, przywalony przez Alego i Jacka, którzy natychmiast siedli na nim okrakiem.

- Nie krzywdź go, Jack. To tylko dzieciak - błagalnym tonem odezwała się Norma.

Yvonne podniosła pistolet i chwilę przyglądała się mu z uwagą.

- Odłóż to, Yvonne - powiedziała Norma. - Nigdy nie byłś zbyt zręczna, jeszcze kogoś pozbawisz oka.

Premier po raz kolejny odwołał się do statystyk - stwierdził, że w Wielkiej Brytanii jest około siedmiuset czterdziestu tysięcy sztuk niezarejestrowanej broni i że liczba przestępstw z jej użyciem wzrosła w ciągu ostatnich pięciu lat o osiem i pół procent.

Yvonne ostrożnie zaniósła broń do zlewu, wrzuciła ją i zalała wodą z kranu. Z lufy wydostały się pęcherzyki, które utworzyły na powierzchni kształty przypominające pociski.

Straciwszy kontrolę nad przebiegiem zdarzeń, James rozplakał się jak dziecko. Powiedział, że to nie jego wina, że jest taki zły. Jack przeżywał mu:

- Oszczędź nam szczegółów. Pewnie zaraz opowiesz to, co zawsze się słyszy w takich sytuacjach: o śmierci, separacji, rozczerowaniu, niesprawiedliwości i cierpieniu, mam rację?

James skinął potakująco i Jack pozwolił mu usiąść. Chłopak zalał się rzewnymi łzami, których olbrzymie krople spływały mu z podbródka na podkoszulek. Nie mogąc znieść tego widoku, premier odwrócił głowę.

Ali pozostał niewzruszony.

- Gdyby tak wciągnął w ćpanie moje dzieciaki, znalazłbym kogoś, kto by mu odstrzelił ten głupi łeb, co nie!

W Leeds to kosztuje dwie i pół stowy, w dodatku można dostać sezonową zniżkę.

- Jack, puść go - poprosiła Norma. - Pomyśl o Stuarcie.

- Stuart nie kupował heroiny w osiedlowym sklepie, mamu. Wciągnął go w to taki sam drań, jak James - odparł Jack.

Norma oderwała dwa papierowe ręczniki z rolki i wręczyła je Jamesowi, a on wytarł nimi oczy i nos.

Jack poprosił Yvonne, żeby poszła na górę do pokoju Normy i znalazła coś do związania Jamesowi rąk i nóg. James cały czas był jak pies.

- Masz szczęście, James - zwrócił się do niego Jack. - Pójdiesz do więzienia na dość długo i zdążysz tam skończyć szkołę. Wyjdiesz jako człowiek wykształcony.

Potem zabrał klatkę Petera i wyprowadził wszystkich z domu.

## 22.

Clarke i Palmer obserwowali niewielką grupkę wychodzącą z domu. Obaj agenci byli już po pracy, ale ociągali się z wyjściem z centrum obserwacji, ciekawi zakończenia tej historii. Czekali w napięciu, aż samochody Yvonne i Alego opuszczą dzielnicę, a do domu numer 10 przybędą agenci z wydziału narkotyków, którzy na miejscu stwierdzili, iż James brał udział w dziwnym rytuale seksualnym, gdyż ręce i nogi miał związane podwiązkami i psią obrozą, z której zwisała metalowa płytką z napisem „Bobek”.

Wyjechali z Leicester i kolumną dwóch samochodów skierowali się drogą M1 na południe. Premier siedział z tyłu taksówki Alego z jedną ręką na klatce. Z każdą milą stawał się bardziej nerwowy. Czuł wzbie-  
rający w sercu strach. Dobrze znał to uczucie. Z przerażeniem myślał o powrocie do pracy. Będzie na niego czekać tysiąc obowiązków i cała masa światowych problemów zwali się na jego barki.

Odezwwał się do Alego i Jacka:

- Dobrze by było móc teraz pojechać do Dover, wsiąść na prom i zniknąć gdzieś w Europie.

- O nie - powiedział Ali - ja tęsknię do własne łóżka. Nie mogę dobrze spać bez Salma, ona jest gruba, ja chudy, dobrze do siebie pasujemy, co nie.

Jack obrócił się w stronę Edwarda i powiedział:



- Ed, przecież nie musisz być premierem. Nikt nie przystawia ci spluwy do głowy.

Wszyscy trzej roześmiali się po tych słowach. Jack poprosił Alego, żeby się zatrzymał na najbliższej stacji benzynowej. Yvonne zjechała za nimi i zaparkowała przed stacją. Towarzystwo z obu samochodów w radosnym nastroju ruszyło w stronę kompleksu restauracyjnego. Norma zachwycała się dekoracją: w wejściu do jednego z barów samoobsługowych stał wielki plastikowy Róg Obfitości, z którego wnętrza wysypywały się smakowite warzywa i owoce. Zakurzone kolby kukurydzy i maleńkie pudełka płatków śniadaniowych Kellog's zostały tak ułożone, aby sprawiać wrażenie, że jest ich więcej niż w rzeczywistości. Premier poczuł ślinę w ustach. Podszedł do bufetu z gorącymi daniami, gdzie stał już Jack z Normą. Jack podał matce tacę, nakazując, żeby sobie wybrała to, na co naprawdę ma ochotę. Potem powiedział, że musi wykonać kilka telefonów, i zniknął.

Pierwszy telefon był do Alexandra McPhersona. Jack poinformował go, że dotrą na Downing Street nad ranem. McPherson powiedział:

- Właśnie dostałem dziwny e-mail od tych upierdliwych służb bezpieczeństwa. Mówią, że w domu twojej matki aresztowano jakiegoś faceta, który twierdzi, że premier Edward Clare skępował go podwiązkami i ukraść mu kokainę. Co się, kurde, dzieje?

- To wszystko znajdzie się w moim raporcie - odparł Jack. - Proszę zarezerwować pokój w Travel Inn w pobliżu lotniska Luton dla mojej matki i siostry, i zarezerwujcie im pierwszy ranny lot do Malagi.

- A co ty myślisz, że co ja jestem? - odparł McPherson. - Jakaś agencja turystyczna czy co?

- To nowa strategia, panie McPherson. Kobiety w mojej rodzinie mają długie języki.

- A co teraz robi Eddy? - zainteresował się McPherson.

Jack zajrzał do baru.

- Stoi w kolejce po swój pierwszy dzisiaj posiłek. Za nim stoi jakiś kierowca, który próbuje mu zajrzeć w dekolot.

McPherson oznajmił jeszcze, że następnego dnia o drugiej po południu oczekuje wstępnego ustnego raportu.

Jack obiecał, że się stawi, choć nie może zagwarantować obecności premiera, który ma poważne wątpliwości co do kontynuacji swojej kariery politycznej.

- Właśnie ten urlop miał mu dodać energii. Uważaj, Sprat, bo jeśli on odejdzie, pociągnie za sobą i mnie, i ciebie.

Jack zajrzał do baru akurat w chwili, kiedy Edward zgarniał garściami saszetki z solą, pieprzem i cukrem, i upychał je wszystkie w torebce.

Jack miał jeszcze jedną rozmowę do wykonania. Musiał porozmawiać z Pamelą. Czuł się jak rzeka, która za chwilę wystąpi z brzegów. Musiał powiedzieć jej, że ją kocha. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, wciągnie go nurt zwykłego życia. Oparł się o Róg Obfitości i wcisnął numer jeden na swojej komórce. Kiedy Pamela odebrała telefon, poznał po odgłosach w tle, że wykonuje wieczorny obchód. Poczul ucisk w gardle, jak tylko usłyszał jej głos próbujący przekrzyczeć szczekanie psów:

- Halo! Halo! Jack, to ty?

- Tak - odpowiedział.

- Gdzie jesteś?

- W Watford Gap.

Roześmiała się:

- Przysłowiowy Watford Gap, zawieszony między surową północą a łagodnym południem?

Słyszał, jak zapala papierosa, i pomyślał, że sam mógłby zacząć palić. Był przekonany, że gdyby się uparł, mógłby to nawet polubić. Wstydził się wyznać jej swoją miłość, wiedząc, że ta deklaracja zostanie odebrana przez wszystkie satelity komunikacyjne świata, ale mimo

tych wątpliwości zdobył się na odwagę - bo i czemuż by świat nie miał się o tym dowiedzieć?

- Kocham cię - wyznał.
- Och! - odpowiedziała zaskoczona.

Chwilę milczeli, a potem Jack usłyszał, jak Pamela życzy psom dobrej nocy. Zapadła cisza, w której słyszał tylko jej oddech. Wyobrażał ją sobie idącą ścieżką w stronę domu. Odczuwał jej nieobecność niemal jako ból fizyczny. Żałował, że nie czeka teraz na nią w kuchni z drinkiem i czystą popielniczką. Wreszcie ciszę w słuchawce przerwał odgłos płynu wlewanego do szklanego naczynia.

- Co to, Pamelu, czyżbyś coś świętowała? - zapytał. Pomyślał, że zawsze będzie ją nazywał Pamelą, nigdy Pam.

- Właściwie tak - odparła. - Bardzo długo nikt mi nie mówił, że mnie kocha, a jeszcze dłużej nie kochałam sama siebie.

- Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia.

- To musi być to - zgodziła się.

- Za kilka godzin będę w Londynie. To kiedy przyjedziesz na to chińskie jedzenie?

- Niedługo - odpowiedziała. - Odkąd wyjechałeś, ćwiczę posługiwanie się pałeczkami.

Norma krzyknęła, że kawa mu stygnie. Jak odezwał się do słuchawki:

- Jeszcze zadzwonię. Dobranoc, kochana.

Wszedł do sklepu z upominkami i kupił absurdalnego puchatego zwierzaka, przypominającego wyglądem niedźwiedzia. W przednich łapach stwór trzymał czerwone satynowe serce, na którym w jakiejś fabryce w odległej Azji wyhaftowano napis „I love you”.

Później, już w samochodzie, kiedy premier zapytał, co jest w tej torbie, Jack pokazał mu misia, mówiąc:

- To dla twojej siostry.

- Pam nienawidzi takich rzeczy. Jak była dzieckiem, okropnie się obchodziła z moimi starymi zabawkami.

- To jej się spodoba - stwierdził Jack zdecydowanym tonem.

Następny przystanek złożonego z dwóch samochodów konwoju odbył się przy motelu w pobliżu lotniska Luton, z którego samolot linii Easy Jet miał unieść Normę i Yvonne przez zatłoczone niebo na lotnisko w Maladze, skąd udadzą się do Marbelli.

Po obejrzeniu pokoju w motelu Norma wyszła z Yvonne na parking, żeby pożegnać się z Peterem. Ptaszek znajdował się w klatce na tylnym siedzeniu taksówki Alego. Ledwo go było widać w ciemnościach. W pobliżu huczała autostrada. Norma kucnęła obok samochodu. Powiedziała oszołomionemu ptaszekowi, żeby był grzeczny, i zapewniła, że nie pozwoliłaby Jamesowi włożyć go do mikrofalówki. Powiedziała też Pete'owi, że jest najważniejszą osobą w jej życiu. Jack i Yvonne wymienili między sobą ironiczne spojrzenia, a Yvonne jeszcze mruknęła:

- Wielkie dzięki.

Norma wsunęła dłoń między pręty klatki i pogłaskała ptaszka po łepku.

- No to pa, Pete - powiedziała.

- Normo - odezwał się premier - mogę cię zapewnić, że zrobię co w mojej mocy, żeby Peter był traktowany jak pełnoprawny członek mojej rodziny. Zostanie umieszczony w klatce zgodnej z dyrektywami Unii Europejskiej i będzie pod stałą kontrolą weterynaryjną.

- Lubi, żeby z nim rano pogadać - poinformowała go Norma.
- Chodź już, mamó. Oni chcą jechać - odezwała się Yvonne.

Miała rację. Jack już dreptał niecierpliwie. Ucałował matkę w policzek i powiedział:

- Jesteś naprawdę wspaniałą mamą. Dla Pete'a.

Norma skinęła na pożegnanie głową w stronę Alego i premiera, chwyciła Yvonne pod rękę i razem weszły do Travel Inn. Nim drzwi się za nimi zamknęły, usłyszeli jeszcze, jak Norma pyta:

- Czy papierosy w Marbelli są dużo tańsze?

Jack zwrócił się do premiera:

- Była okropną matką dla mnie, Vonnii i Stuarta. Leniwa, samolubna, niedouczone i dumna z tego, że nigdy nie przeczytała żadnej książki. Moja matka to prawdziwa przedstawicielka proletariatu.

- Teraz wszyscy jesteśmy klasą średnią, Jack - zauważył premier.

- No nie, Ed, nie bądź aż tak naiwny. Wyobrażasz sobie Toyotę wydającą przyjęcie i dyskutującą o Nagrodzie Turnera?

Adele obudziła się. Na dworze było ciemno, a ona w pokoju sama. Położyła się z powrotem na szpitalnym łóżku i sięgnęła ręką do pustego miejsca, w którym kiedyś kończył się jej nos. Potem dotknęła bandażu na nowym nosie i od razu wiedziała, że nikt już nigdy nie nazwie jej za plecami: „Concorde”.

Spojrzała na biały sufit i zobaczyła dwie małe muchy w tańcu. Czowała przyjemną sennieść: nie miała ochoty nic mówić, wyrażać opinii w jakiegokolwiek sprawie. Na szafce przy łóżku leżały książki, ale na myśl o ich otwarciu i podjęciu jakiegokolwiek wysiłku myślowego poczuła zmęczenie. Przypomniała sobie, że jest żoną premiera Wielkiej Brytanii, Edwarda Clare'a, oraz matką Morgana, Estelle i Poppy, że pisze książki i artykuły, wygłasza wykłady, uczestniczy w spotkaniach, kolacjach, przyjęciach, potrafi pisać na maszynie, jeździć na nartach, nurkować, obsługiwać komputer, prowadzić samochód, mówić po francusku, niemiecku i włosku, gotować, prasować, usuwać plamy z dywanu i żonglować. Tymczasem wystarczy leżeć w czystej pościeli i obserwować taniec much pod sufitem. Po prostu istnieć.

Malcolm Black siedział w łóżku i czytał *O położeniu klasy robotniczej w Anglii* Engelsa. Robił notatki dla Morgana Clare'a, bo mu to obiecał. Hannah wyszła z łazienki. Miała na sobie krótką koszulę nocną z białej bawełny. Pachniała mydłem i pastą do zębów.

- Ojej, Male, znowu zaplamiałeś pościel atramentem.

Malcolm odłożył pióro i z powagą pokiwał głową, zapamiętując spostrzeżenie żony, ale nie przerywając przewracania kartek. Szukał szczególnie przejmującego fragmentu o szczurach na obszarze Greater Manchester. Hannah wślizgnęła się do łóżka obok niego, pochyliła się i wyjęła z jego górnej kieszeni pizamy plik kartek - miał zwyczaj robić notatki przed snem.

Kupiła mu kieszonkowy dyktafon, ale on nie potrafił go obsługiwać, więc dyktafon leżał nieużywany w szufladzie szafki nocnej wraz z innymi gadżetami.

Rozłożyła jedną z kartek i przeczytała:

*Drogi Edwardzie,*

*Z ubolewaniem składam na Twoje ręce rezygnację...*

Spojrzała na kolejną:

*Drogi Edwardzie,*

*Z ubolewaniem informuję Cię, że podczas Twojej nieobecności złożyła mi wizytę delegacja posłów i członków New Labour Party, którzy domagają się, bym przejął obowiązki premiera...*

Treść trzeciej była następująca:

*Drogi Edwardzie,*

*Z ubolewaniem informuję Cię, że mam zamiar utworzyć nową partię polityczną o nazwie Old Labour Party...*

Żadna z tych notatek nie była skończona ani podpisana.

- Posłuchaj tego - powiedział Malcolm Black i przeczytał na głos:

„Tam, gdzie zachowały się tereny zielone, biedacy mogli wypasać osła, świnię, gęsi, a dzieci i młodzież mogły się bawić i mieszkać na świeżym powietrzu. To jednak stopniowo dobiega końca. Zarobki robotnika są niższe, a młodzi ludzie pozbawieni miejsc do gier i zabaw chodzą do piwiarni.”

- Albo do melin dla ćpunów - mruknęła Hannah i dodała: - Male, czy musisz pomagać Morganowi w tych pracach domowych? Przecież to zajęcie dla rodziców.

- Chłopak teraz przerabia socjalizm - odparł Malcolm. - A Ed i Adele nic na ten temat nie wiedzą.

Hannah położyła głowę na jego szerokiej klatce piersiowej.

- Którą z tych notatek dokończysz? - zapytała.

- Pewnie wszystkie trzy - odpowiedział ze śmiechem.

- Ja będę siedziała na wsi i jak już zostaniesz premierem, będziesz odwiedzał mnie i nasze ewentualne dzieci w weekendy. Co ty na to?

Odparł, że to brzmi naprawdę nieźle.

Taksówka Alego, naprowadzona przez kolegów Jacka, wyminęła barierki na Downing Street. Drzwi numer 10 otwarły się i premier z klatką Petera w ręku, Jack i Ali zostali sprawnie wprowadzeni do wnętrza domu. Jack otrzymał polecenie, by natychmiast zaprowadzić premiera na górę i pozostawić Alego pod opieką agentki, która przedstawiła się jako Ms Pollock.

Alexander McPherson na widok premiera wybuchnął śmiechem.

- Jezu, Ed, wyglądasz jak tania dziwka.

Szef rządu poczuł się urażony uwagą McPhersona. Ostentacyjnie wszedł do łazienki i energicznie zatrzaskał za sobą drzwi.

- Panie McPherson, proszę go nie traktować zbyt surowo. To kobieta na skraj załamania nerwowego - powiedział Jack.

Następnego dnia rano, kiedy Estelle zeszła do salonu, zastała ojca na rozmowie najwyraźniej z samym sobą. Usłyszała, jak mówi:

- Przecież nie muszę tego ciągnąć, prawda, Pete?

Wtedy dopiero zauważyła, że tata zwraca się do klatki, w której siedzi mała, mizerna papużka w kolorze jej ulubionej niebieskiej kredki.

Tata powiedział, że papużka ma na imię Peter.

Klatka była mała i zardzewiała, ale w ciągu kilku godzin dostarczono nową klatkę wraz ze stojakiem i czymś, co właściciel sklepu w Pimlico określił, jako „najnowocześniejsze akcesoria dla papużek”.

Tego dnia po południu Estelle klęczała na krześle w salonie i uważnie przyglądała się Peterowi. Ciekawe, ile ma lat. Przeczytała w internecie, że papużki żyją sześć- dziesięć lat. Pomyślała, że Peter wygląda na zmęczonego, jakby miał wszystkiego dosyć. Trochę jak wszyscy ci dorośli, którzy ją otaczają w jej własnej klatce na Downing Street. Postanowiła być twarda: nie da się smutkowi i nie będzie płakać, gdy papużka umrze. Wszystko umiera: ludzie, kwiaty, ptaki, ryby, ojcowie i matki, niemowlęta i psy, gwiazdy i drzewa. „W końcu - myślała Estelle - cokolwiek byśmy robili, i tak niczego nie zmienimy”.

Kiedyś podzieliła się tym spostrzeżeniem z mamą i Adele odpowiedziała, że egzystencjalizm nie może być usprawiedliwieniem zaniedbywania obowiązków domowych. Mama uważa, że tata jest dobrym



przykładem kogoś, kto coś zmienia. Już udało mu się odmienić oblicze brytyjskiej polityki.

Morgan spał do południa. Potem włożył wojskową kurtkę oraz wysokie buty i zszedł na dół powitać ojca. Biedny tata przedzierał się przez stertę czerwonych pudełek, ale gdy zobaczył Morgana, odłożył pióro, rozpostarł ramiona i powiedział:

- Cześć, Morgan, jak się masz, synu?

Chłopiec aż zawadził kolanami o kant biurka, tak spieszo mu było do objęcia ojca.

- Jak było w bunkrze? - zapytał. - Fajnie?

- Dowiedziałem się sporo o sobie - odpowiedział premier.

- Na przykład? - chciał wiedzieć Morgan.

Edward chciałby opowiedzieć synowi o tych wszystkich ludziach, których spotkał, miejscach, które widział, i przygodach, które przeżył. Zamiast tego powiedział:

- Powiem ci tylko, że nasz kraj jest przygotowany na najgorszy scenariusz.

- Tato, gadasz jak polityk.

- Przecież jestem politykiem - uśmiechnął się premier.

- Politykiem bez polityki - mruknął Morgan.

- Absurd. Mam bardzo jasno sprecyzowaną filozofię polityki.

- Ależ nie, tato - podchwycił z zapalem Morgan. - Przejrzałem twoje przemówienia. Szukałem w nich jakiejś wyraźnej wizji socjalizmu i nie znalazłem. Jesteś jak taki ksiądz, który nie potrafi się zdecydować, czy Bóg istnieje, czy nie. Jeśli nie mają pewności, no to... powinni chyba odejść z Kościoła i zająć się jakąś pracą społeczną albo czymś takim.

Edward wstał i strącił pudełka na podłogę. Upadły z głośnym brzękiem.

- Ja właśnie wykonuję pracę opartą na służbie społeczeństwu. Dostosowuję się do wszystkich. Patrzę na rzeczy ze wszystkich punktów widzenia. Usiłuję wszystkich zadowolić. I kiedy, no wiesz, jeszcze trochę dorośniesz, ty też może zrozumiesz dwuznaczności i złożoność współczesnej polityki.

Morgan podniósł czerwone pudełka i położył je z powrotem na biurku.

- Naszej rodzinie wystarczyłby zwykły pracownik socjalny - powiedział.

Premier wyszedł zza biurka.

- Moja rodzina jest dla mnie najważniejsza.

- Nieprawda, tato - zaproponował Morgan z uniesieniem. - Jesteśmy gdzieś między Afryką a Bliskim Wschodem. Poświęciłeś nas, kiedy wygrałeś wybory. A mogliśmy być normalni, po prostu zwyczajni.

- Ale Morgan, chciałem być dla ciebie bohaterem, idolem.

- Wszyscy moi idole już nie żyją, oprócz jednego - stwierdził Morgan.

- A kto to taki? - zaciekawił się premier.

Morgan jednak nie potrafił się zdobyć na powiedzenie ojcu, że jego prawdziwym idolem jest Malcolm Black. Powiedział więc:

- The Rock, zapaśnik.

Edward zabrał dzieci do szpitala w odwiedziny do Adele. Poppy pociągała za bandażę na nosie matki. Czarne oczy Adele lśniły ze szczęścia. Estelle opowiedziała jej o Peterze, po czym stwierdziła, że kiedy dorośnie, chciałaby mieć własny sklep ze zwierzętami. Adele zgodziła się z nią, że byłby to całkiem przyjemny sposób zarabiania na życie. Morgan wygłosił krótkie przemówienie na temat kwestii etycznych-moralnych związanych z trzymaniem żywych stworzeń w zamknięciu

i stwierdził, że Peter powinien przynajmniej mieć możliwość latania po pokoju dwa razy dziennie.

Rodzina przedyskutowała sprawę i uzgodniono, że drzwiczki klatki będą otwierane w porach ustalonych przez Estelle.

# Epilog

Jack stał przy drzwiach Downing Street 10 oparty o czarną barierkę i przyglądał się mężczyznom ładującym meble na ciężarówkę. Tradycyjne pierwszomajowe zamieszanie przebiegło spokojnie. Było tylko kilka przypadków kradzieży kraciastych spódnic z wystawy na Regent Street, a o tej porze już część demonstrantów łapała metro i autobusy po przyjemnie spędzonym dniu.

Z Trafalgar Square uszu Jacka dobiegały słowa ostatniego przemówienia.

Malcolm Black wyszedł przed dom i stanął obok Jacka.

- Przyjemny wieczór, panie premierze.

Malcolm spojrział w kierunku barierki na początku Downing Street, gdzie zebrał się spory tłum. Pomachał ręką w tamtą stronę. Jego gest został przyjęty zarówno wiwatami, jak i okrzykami wyrażającymi dezaprobatę. Samochód premiera podjechał i Malcolm Black usiadł obok kierowcy.

Jack uniósł głowę i dostrzegł w górze maleńki punkcik kobaltowo-błękitnej barwy na tle jasnego wieczornego nieba. Był to Peter. Jack rzucił się w pościg. Pobiegnął za ptaszkiem do końca ulicy przy ironicznych komentarzach policjantów i tłumy za barierkami. Peter leciał ponad głowami wzdłuż ulicy Whitehall do Cenotaph, gdzie odpoczął chwilę, niezauważony przez zgromadzone na dole tłumy.

Jack nie był w stanie nic zrobić, gdy maleńki ptaszek leciał w kierunku większych ptaków na Trafalgar Square, na niemal pewną śmierć.

# Od tłumaczki

Książka Sue Townsend *Numer 10* osadzona jest bardzo mocno w realiach Wielkiej Brytanii. Autorka opiera na owych realiach (kulturowych, społecznych, ekonomicznych, itp.) charakterystyczny humor, którego oddanie stanowiło dla tłumaczki spore wyzwanie. Dlatego zdecydowałam się na wprowadzenie przypisów. Bez wątpienia zawsze istnieje możliwość, iż czytelnik znajdzie w nich informacje oczywiste, natomiast nie znajdzie czegoś, co może powinno zostać wyjaśnione. Przypisy te nie mają zastępować encyklopedii i obciążać tekstu dodatkowymi informacjami, a wręcz przeciwnie, są po to, by można było odwołać się do podobnych skojarzeń, co czytelnik brytyjski, bez przerywania lektury. Celem moich objaśnień jest zatem skierowanie uwagi czytelnika na dany kontekst.

# Przypisy

Znana rymowanka dziecięca, pierwszy raz opublikowana w 1639 roku. Wierszyk wyśmiewa króla Karola I i jego chciwą żonę Henriettę Marię. Parlament odmówił finansowania wojny z Hiszpanią (król „chudo jadł”), wtedy władca rozwiązał go, a królowa („wygłodzona”) nałożyła niezgodny z prawem podatek wojenny, który zmuszał mieszkańców do finansowania armii. W ten sposób para królewska „wylizała gar do cna”.

*Blue Peter* - program edukacyjny dla dzieci, emitowany przez BBC 1 od 1958 roku.

Richard von Kraft-Ebing - austriacki psychiatra, neurolog, kryminolog, jeden z pionierów seksuologii, autor pracy *Psycho-pathia sexualis*.

*The South Bank Show* - najstarszy program telewizyjny o kulturze (prowadzący Melvin Bragg).

Gore Vidal - amerykański pisarz (autor powieści historycznych i satyrycznych), dramaturg, a także polityk o kontrowersyjnych poglądach. W 1960 roku kandydował do Kongresu z ramienia Partii Demokratów.

*Coronation Street* - popularny serial (opera mydlana), nadawany od 1960 roku.

*Late Night Line-Up* - nocne pasmo telewizyjne, poświęcone kulturze.

Tom Paulin - poeta, krytyk, dramaturg; konflikty w Irlandii stanowią ważny element jego twórczości.

Royal Scot - słynny pociąg, kursujący z Euston do Szkocji (od 1862 roku).

O Perrier Award - nagroda dla młodych aktorów komediowych, kabaretowych i in., przyznawana od 1981 roku podczas Festiwalu w Edynburgu.

Kwik Save - sieć tanich supermarketów (typu dyskont) w Wielkiej Brytanii.

Ampleforth College - katolicka szkoła średnia, prowadzona przez benedyktynów w Ampleforth.

Gorbals - dzielnica slumsów w Glasgow, jedna z największych w Europie; słynie z konfliktów na tle religijnym i narodowościowym.

Partia Liberalna i Partia Socjaldemokratyczna utworzyły sojusz przedwyborczy, który istniał w latach 1981-1988. Później przekształciły się w partię Liberalnych Demokratów.

5 Shirley Williams - początkowo w Partii Pracy (Labour Party); jedna z tzw. bandy czworga, założycieli Partii Socjaldemokratycznej w 1981 roku (Social Democratic Party, SDP).

16 Donald McGill (1875-1962) - brytyjski rysownik, autor komicznych kart pocztowych, zwany „królem pikantnych pocztówek”. Słynął z kilku serii kart, m.in. przedstawiających tłustych Brytyjczyków o czerwonych twarzach nad morzem, zmysłowe kobiety w ciasnych sukniach i in. Za „sprośny” humor w latach pięćdziesiątych ukarany grzywną i aresztem.

RSPCA (Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals) - Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt.

Bardzo popularny w Wielkiej Brytanii wierszyk, za pomocą którego rodzice uczą dzieci, jak ważne są drobiazgi.

Roy Hattersley - polityk związany z Partią Pracy (Labour Party), dziennikarz, pisarz. Jego poglądy polityczne nie zawsze były zgodne z linią partii.



*Emmerdale* - drugi pod względem długości nadawania serial brytyjski. Od 1972 roku jako *Emmerdale Farm*, od 1989 jako *Emmerdale*.

Aneurin Bevan (1897-1960) - walijski polityk, działacz związkowy, organizator strajków, zwolennik równości społecznej i „państwa opiekuńczego”. Członek Labour Party (lewe skrzydło), po drugiej wojnie światowej jako minister zdrowia wprowadził system powszechnej opieki zdrowotnej.

Słynne zdanie Bevana wygłoszone na Konferencji Partii Pracy w 1949 roku.

23 William Beveridge (1879-1963) - autor tzw. raportu Beveridge'a, którego założenia zrealizował powojenny rząd. Oznaczało to wprowadzenie powszechnej bezpłatnej opieki medycznej i otoczenie obywateli opieką „od kołyski do grobu”.

*Champagne socialist* - zwolennik socjalizmu, który sam chętnie korzysta z dobrodziejstw luksusu.

Kawa z żołądździ - napój pity jako namiastka kawy z powodu braku prawdziwej kawy (np, podczas drugiej wojny światowej) lub braku pieniędzy (przez osoby, dla których kawa była za droga).

26 Vita Sackville-West (Victoria Mary Sackville West; 1892-1962) - angielska pisarka, poetka. Wiele lat prowadziła kolumnę poświęconą ogrodom w „Observerze” (jej artykuły zostały opublikowane w formie książek). W Polsce znane są jej powieści z życia arystokracji *Wygasłe namiętności*, pol. 1982, i *Pepita* pol. 1939).

Dick Turpin (1706-1739) - słynny rozbójnik angielski, bandyta i koniokrad, którego życie owiane jest legendą, a szczególnie podróż z Londynu do Yorku (gdzie został powieszony) na koniu Black Bless.

Styl georgiański - styl w architekturze za panowania Jerzego V (1910-1936).

*Crossroads* - serial (opera mydlana) od 1964 roku na antenie (bohaterami jest grupa ludzi prowadzących motel).

30 Margaret Mary Julia (Daisy) Ashford (1881-1977) w wieku dziewięciu lat napisała *The Young Visitors*. Książka została opublikowana wiele lat później i stała się klasyką dziecięcą.

31 GCSE - General Certificate of Secondary Education - egzamin na zakończenie szkoły średniej (zdawany w wieku szesnastu lat).

SAT - testy pisane przez uczniów pod koniec każdej klasy w szkole średniej.

*The Bill* - serial kryminalny (grany przez kilka lat, wiele odcinków, mnóstwo epizodycznych postaci).

Bracia Kray - najszynniejsi gangsterzy brytyjscy (bliźniacy i starszy brat), mieszkający w londyńskiej dzielnicy East End, kojarzonej z przemocą, gangami oraz imigrantami.

*Casualty* (pol. *Na sygnale*) - brytyjski serial o pracy szpitala.

*An Inspector Calls* (*Inspektor wzywa*) - sztuka J.B. Priestleya, często wystawiana w teatrach Wielkiej Brytanii (pojawiła się również w adaptacji filmowej).

*Importance of Being Earnest* (*Bądźmy poważni na serio*) - romantyczna komedia omyłek Oscara Wilde'a.

Blackpool Illuminations - jedna z największych atrakcji turystycznych Blackpool, impreza odbywająca się pod koniec sezonu (wrzesień-październik); główna promenada nadmorska jest wtedy iluminowana kolorowymi światłami na pamiątkę pierwszego oświetlenia miasta 19 września 1879 roku. Obecnie w tej imprezie biorą udział gwiazdy filmu i estrady.

MCC (Marylebone Cricket Club) - Brytyjski Związek Krykieta.

Lords - pole do krykieta, zarazem siedziba MCC. Strzelectwo, polowania na lisy oraz krykiet to sporty uważane w Wielkiej Brytanii za rozrywki elit.

41 Richard Branson - brytyjski miliarder, założyciel koncernu Virgin, znany z ekscentrycznych pomysłów. W swojej autobiografii i wywiadach podkreśla, że źródłem jego sukcesów jest czerpanie przyjemności z tego, co robi.

Portón Down - rządowe laboratorium naukowe, założone w 1916 roku; znane głównie z badań nad bronią biologiczną i chemiczną.

Michael Heseltine (ur. 1933) - brytyjski polityk i biznesmen, zwoleńnik partii konserwatywnej.

Rory Bremner - brytyjski komik telewizyjny, zajmujący się satyrą polityczną. Zrealizował kilka komedii (i wystąpił w nich), wyśmiewających rządy laburzystów (*Front Blair to Here*, *The Blair Essentials*, *Blair Did It All Go Wrong?*).

Frank Bruno - bokser wagi ciężkiej, mistrz świata.

Paul Daniels - popularny iluzjonista brytyjski.

Watford Gap - miejscowość, której nazwa pojawia się w powiedzeniu „na północ od Watford Gap”, co oznacza „na północy Anglii”. Uważa się, że mieszkańcy północy różnią się charakterem od tych z południa, a Watford Gap jest symboliczną granicą, dzielącą północ i południe Anglii.

Turner Prize - prestiżowa nagroda w dziedzinie sztuki współczesnej, przyznawana przez Tate Art Gallery od 1984 roku.

W Wielkiej Brytanii pisma i dokumenty państwowe przesyłane są w czerwonych pudełkach.